

Beata Worobiec

Niezapominajka



Beata Worobiec

Niezapominajka

© Beata Worobiec, 2017

Tym razem będziemy mordować! Nikt nie może czuć się bezpieczny!
W mieście grasuje seryjny morderca. Morduje 4 kwietnia każdego roku,
a później odmierza równe 32 dni i morduje ponownie. Jego ofiary różnią
się od siebie wszystkim. Łączy je jedynie mały bukietek niezapominajek
pozostawiony przy ciele. Dziś jest 5 kwietnia. Wczoraj odnaleziono
piąte z kolei ciało. Zaczęło się odliczanie i nikt nie jest bezpieczny...

ISBN 978-83-8104-877-4

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

Niezapominajka

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Epilog

Prolog

Wszystkie mięśnie w moim ciele się trzęsą. Nie potrafię tego powstrzymać. Wiatr przesywa mnie na wskroś. Nie mogę normalnie oddychać. Nawet powietrze wlatujące do płuc drapie lodowatymi igłami i drga w rytm urywanych oddechów. Jest mi tak cholernie zimno! Powinnam zabrać zimową kurtkę, choć wydawało mi się, że w kwietniu mrozy odpuszczają.

Noc odebrała mi możliwość swobodnego przemieszczania się po mieście. Wybiła piąta, a ja stoję jak kołek przed dworcem głównym i nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić. Choć latarnie oświetlają teren, panuje tu dziwny mrok. Nie potrafię wytłumaczyć uczucia niepokoju, które się we mnie obudziło, jak tylko wysiadłam z pociągu. Może dlatego, że księżyc gdzieś się schował. Gwiazdy również postanowiły wziąć sobie wolne. Jedyne czarne burzowe chmury zatęskniły za miastem. Znosi się na deszcz, ale nie pada. Wiatr świszczy w pustych przestrzeniach między budynkami i silnymi podmuchami wygina gałęzie młodych klonów rosnących wzdłuż ulicy. Na szczycie bloku wznoszącego się po przeciwnej stronie ulicy świeci zielony neon: „dobry wieczór we Wrocławiu”.

Kiedy mróz atakuje po raz kolejny, mam wrażenie, jakby moje ubranie zniknęło. Czuję się, jakbym stała naga. Jakby żadna powłoka nie odgradzała mnie od wichury. Nie potrafię opanować trzęsących się kończyn. Dalsze błądzenie w poszukiwaniu odpowiedniego przystanku mogłoby spowodować, że już na początku wizyty wylądowałabym w szpitalu. Spędziłam w tego typu placówkach wystarczająco dużo czasu, żeby nie chcieć wracać.

Kółka walizki stukają miarowo pokonując odległość kolejnych szerokich płyt chodnikowych. Cofam się w głąb dworca i zatrzymuję wzrok na szeregu fast-foodów. Pobyt w MacDonaldisie o piątej rano wydaje się nadzwyczaj dobrym pomysłem. Muszę się zastanowić, a ciepła herbata i frytki mogą mi to znacząco ułatwić. Kawy nie pijam. Nie lubię.

Przeprowadzkę planowałam od dłuższego czasu. Właściwie odkąd wyszłam ze szpitala. Po tym, co się wydarzyło, już nic nie trzymało mnie w Radomiu. Życie przybrało barwę pustej egzystencji. Jedna nieprzemyślana decyzja odebrała mi wszystko, więc miałam nadzieję, że druga przyniesie mi nowy sens. W ciągu kilku godzin spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy i wyjechałam. Wrocław wybrałam spontanicznie. Podświadomie czułam, że tutaj mogę znaleźć szczęście. Jestem człowiekiem z natury nieustępliwym. Takim, który jak się uprze, to nawet w zamrażalce potrafi upiec tosty. Kiedy postanowiłam wyjechać, nic nie było w stanie mnie zatrzymać. Nic też mnie specjalnie nie trzymało. Rodzice po rozwodzie zamieszkali na przeciwnych krańcach miasta. Z siostrą od dłuższego czasu nie miałam kontaktu. Z kolei moja wielka miłość... cóż, zniknęła z dnia na

dzień. Jednego dnia Igor był przy mnie, a drugiego już go nie było. Nie zabrał nawet swoich rzeczy. Czułam się nijako. Chciałabym powiedzieć, że to był stan przejściowy — etap pośredni między jednym rozdziałem życia, a drugim. Niestety nie ma czegoś takiego jak stan pośredni. Nie można być trochę zgwałconym. Linia nie może być trochę krzywa. Jest prosta, albo krzywa. Coś jest czarne, albo białe. Moje stało się czarne, a potrzebowałam choć trochę szarości. Wszystko wokół przywoływało wspomnienia i rodziło smutek. Musiałam zacząć od nowa, a Wrocław miał być moim startem.

Dość mroźnym startem — trzeba przyznać, ale nie było rzeczy, która mogłaby sprawić, żebym wróciła do rodzinnego miasta. Chciałabym powiedzieć, że lubiłam Radom, ale cóż, nigdy za nim nie przepadałam i kiedy uświadomiłam to sobie podczas wielkanocnej kolacji, zrozumiałam, że muszę coś zmienić. Najlepiej wszystko.

Teraz Wrocław stał się moim domem. Chciałam go bardziej niż czegokolwiek innego. Ze wszystkimi jego wadami i zaletami.

Rozdział 1

Dupa. To takie coś, co każdy ma z tyłu i nosi ze sobą wszędzie. Takie do siedzenia, ale też idealnie oddające stan mojego życia. Dupa, istna dupa, czarna dupa (bez podtekstów). Znalazłam się w obcym mieście bez żadnego planu i pomysłu. Miałam trochę oszczędności, ale musiałam je umiejętnie wykorzystać, żeby się utrzymać. Największym minusem spontaniczności jest brak konkretów, a takowe czasami się przydają. Chociażby do tego, żeby znaleźć nocleg.

Nie chciałam zatrzymywać się w hotelu — to by mnie rozleniwiło. Potrzebowałam mieszkania od zaraz. Zwłaszcza, że po podróży czułam się zmęczona, brudna i stara. To uczucie na pewno zna każdy, kto ukończył osiemnasty rok życia. Ja magiczną granicę przekroczyłam już osiem lat temu. Od tego czasu zdarzały mi się dni, kiedy największym sukcesem jest podniesienie się z łóżka, a już wtedy człowiekowi wydaje się, że jest zmęczony.

W myślach użalałam się nad sobą, gdy tymczasem zza lady kiwnął na mnie jakiś gówniarz w zielonej koszulce. Zaprosił do kasy i storpedował mnie standardową korporacyjną mową o produktach w promocyjnej cenie. Wydawał się mocno niepocieszony ubogim zamówieniem. Lokal świecił pustkami, ale blondynek o twarzy w całości pokrytej wypryskami krzątał się za ladą, jakby czekało na niego co najmniej dziesięciu głodnych klientów. Profilaktycznie obejrzałam się za siebie. Mogło się przecież zdarzyć, że nagle wszyscy podróżni zapragnęli burgera i po cichutku ustawili się za mną.

— Mi się nigdzie nie spieszy — powiedziałam na tyle cicho, by nie zabrzmieć zbyt obcesowo, ale żeby blondynek usłyszał. Usiłowałam sobie przypomnieć imię zapisane na tabliczce, którą miał przypiętą do koszulki. Może zareagowałby, gdybym zwróciła się bardziej personalnie.

— Aha — odparł jakże błyskotliwie i niemal wcisnął mi w rękę zamówienie. Przez chwilę patrzyliśmy się na siebie i staliśmy tak mądrzejsi o dzisiaj, głupszy o jutro.

Po siedmiu godzinach podróży wśród geriatrycznej części narodu, łaknęłam kontaktu z ludzkością, ale zdałam sobie sprawę, że w takim miejscu go nie znajdę. Ukłoniłam się grzecznie, zabrałam tacę i usiadłam przy jednym z wielu pustych stolików. Zielono-złote wysokie sufity sprawiały, że to miejsce nie przypominało typowego fast-foodu. Cały dworzec wydawał mi się magicznym miejscem. Podziwiałam go pod kątem architektonicznym.

Było jeszcze przed szóstą, więc miałam sporo czasu do zabicia. Rozważałam wyszukiwanie mieszkań przez telefon. Nie spieszyłam się jednak zbyt. O tej porze i tak nie wypadało dzwonić, żeby sprawdzić, czy oferty są aktualne. Usiłowałam uporządkować myśli i stworzyć plan działania, kiedy zauważyłam, że

na siedzeniu obok mnie leży gazeta. Wyglądała jak szmatławiec rozdawany za darmo na mieście, ale z nudów do niej zajrzałam.

Data wskazywała na 4 kwietnia, czyli gazeta była z poprzedniego dnia. Mogła zawierać w miarę aktualne informacje, a to zawsze było w cenie. Dodatkowo obrazek z niebieskimi kwiatkami poprawił mi humor. Zawsze lubiłam niezapominajki. Pamiętałam, jak siostra śpiewała mi o nich w dzieciństwie.

„Niezapominajki to są kwiatki z bajki. Rosną nad potoczkiem, patrzą rybim oczkiem”

— tak pisała o nich Konopnicka. Tak też śpiewała Lenka, a ja słuchałam jak zakłeta. Pierwszy raz usłyszałam o nich, kiedy przewróciłam się w parku i zaczęłam płakać. Kwiatki akurat rosły przy drodze. Lena zerwała ich kilka, kiedy matka zbierała mnie z podłoża. Uspokajała, ale nic na mnie nie działało. Przystałam się drzeć dopiero, kiedy siostra dała mi kwiatki i zaczęła o nich śpiewać. Później dawała mi je zawsze, kiedy gdzieś wyjeżdżała. Mówiła przy tym: „Nie zapomnij o mnie”.

Nigdy nie zapomniałam, choć z ukochaną siostrą nie miałam kontaktu już od dłuższego czasu. Wzmianka o niezapominajkach mi ją przypomniała. Byłam w stanie odtworzyć z pamięci ich delikatny zapach. Zawsze był dla mnie ledwo wyczuwalny. Podobało mi się to, bo mogłam pozwolić zmysłom na fantazjowanie. Wyobrażałam sobie całą paletę zapachów i za każdym razem, kiedy przykładałam nos do kwiatka, pachniał odrobinę inaczej. Od tego czasu, jak tylko widziałam malutkie niebieskie płatki, w głowie odtwarzam piosenkę o nich, przypominam sobie jeden z wymyślonych zapachów i poprawiał mi się humor. Tym razem jednak ogarnął mnie smutek i tęsknota za Leną. Dziennikarze wiedzą najlepiej, jak zepsuć człowiekowi dobrze rozpoczynający się dzień. W dodatku piękne kwiatki połączyli z artykułem o morderstwie. Nie wyglądało to najlepiej, ale nie przejmowałam się. Na świecie w ciągu każdej minuty ktoś umiera, a jednak ludzie nie potrafią oswoić się ze śmiercią.

Dalej trafiłam na równie optymistyczne artykuły: *„26-letni robotnik porażony prądem”* — wypadki chodzą po ludziach, zdarza się; *„Bunt proboszczów, którzy nie chcą płacić podatków od wiernych”* — no cóż, któż by im się dziwił? *„Nowoczesny biurowiec zamiast liceum”* — jasne, po co kolejne liceum, skoro społeczeństwo i tak z roku na rok jest coraz głupsze? *„Sygnalizacja wyświetlała czerwone i zielone światło jednocześnie”* — to miasto zaczynało mi się podobać!

Aby nie zrazić czytelnika w pełni, na rogu strony umieszczono kolorowy prostokąt informujący o wydarzeniach kulturalnych czekających na ludzi w najbliższy weekend. To wydało mi się najbardziej interesujące. Jako osoba zajmująca się sztuką, węszyłam za okazją do znalezienia pracy.

Zanim dotarłam do odpowiedniej strony, moją uwagę po raz kolejny przykuły niezapominajki. Artykuł na całą stronę nie pozwalał przejść obok siebie

obojętnie. Seryjny morderca grasował. Na łowy wyznaczył sobie konkretne pory. Trzeci rok z rzędu policja znajdowała ofiarę o poranku dnia 3 kwietnia, a kolejną po upływie 32 dni. Można by to uznać za zbieg okoliczności, gdyby nie fakt, że przy każdym ciele znaleziono niewielki pęczek niezapominajek. Właściwie tylko to łączyło ofiary. Poza tym różniły się wszystkim — wiekiem, płcią, statusem społecznym, kolorem oczu i włosów. Różny był także sposób, w jaki zginęli. Jedne ze zwłok były tak zwęglone, że uniemożliwiały identyfikację. Przyjęto, że to chłopak, którego zaginięcie kilka dni wcześniej zgłosiła matka. Wydało się to prawdopodobne, ponieważ na miejscu znaleziono kurtkę, w jakiej ostatnim razem był widziany. Marny materiał dowodowy.

Artykuł dodatkowo okraszono przestrogami dla mieszkańców miasta. Morderca dokonał kolejnej zbrodni, czym zapoczątkował odliczanie. Nikt nie mógł czuć się bezpiecznie, bo w dalszym ciągu nie rozgryziono schematu postępowania psychopaty. Miasto miało żyć w strachu aż do 6 maja, żeby następnie na co najmniej dziesięć miesięcy zapomnieć o sprawie.

Przewróciłam stronę, by natknąć się na repertuar kin, a później wiadomości sportowe. Ominęłam je bez zastanowienia. Tym sposobem trafiłam na sekcję pełną drobnych literek, które również bym pominęła, gdyby nie jedno ogłoszenie zakreślone grubo żółtym mazakiem. Dotyczyło wynajmu mieszkań. Zleceniodawca oferował pokoje z kuchnią, łazienką i balkonem w przystępnej cenie.

Stronę dalej nareszcie znalazłam wydarzenia kulturalne, ale niestety nie szykowało się nic, co pomogłoby mi nawiązać odpowiednie znajomości i znaleźć pracę. Z dostępnych zajęć pozostało więc szukanie mieszkań. Wyciągnęłam telefon i zaczęłam przeglądać oferty. Było to jedno z najbardziej żmudnych zajęć, jakie w życiu robiłam. Po godzinie miałam zanotowane na rogu gazety kilkanaście numerów i krótkich opisów dotyczących specyfikacji. Później wystarczyło poczekać do dziewiątej, żeby z czystym sercem zacząć dzwonić. Z nudów przejrzałam po raz kolejny gazetę i przeczytałam ją od deski do deski.

Pierwsza kobieta, która odebrała mój telefon wydawała się szalenie miła. Wytłumaczyła mi nawet jak mam do niej dojechać z dworca. Niestety jej oferta miała niewiele wspólnego z tym, co zastałam na miejscu. Kolejna pozycja na liście pasowała do opisu, ale była dostępna dopiero od następnego miesiąca. Trzecia pozycja była dostępna od zaraz, ale podejrzewałam, że przede mną wprowadzili się tam już lokatorzy w postaci pajaków, szcurów i karaluchów. Kolejna pozycja olśniewała nowoczesnością i porządkiem, ale mój portfel aż zapiszczał, kiedy usłyszał cenę. I tak wykreślałam kolejne adresy, aż w końcu zostałam na skraju miasta, gdzie dojeżdżał jeden tramwaj. Miałam ochotę się pochlastać, albo usiąść na środku ulicy i zacząć płakać. Byłam jeszcze bardziej zmęczona, brudna i głodna. Ścisnęłam w ręce gazetę, na której widniały niezapominajki i obok nich masa pokreślonych numerów. Ostatnią szansą była zakreślona na żółto oferta z działu

ogłoszeń. Modliłam się o to, żeby była aktualna i wiedziałam, że w ciemno zgodzę się na wszystko, byle tylko wziąć prysznic i się położyć.

Tym też sposobem znalazłam się przed kwartałem położonym blisko centrum. Od rynku dzielił mnie most i zaledwie dwie ulice. Zabudowa może nie należała do najnowocześniejszych, a na balkonie mieściło się nie więcej niż dwa krzesła, ale mieszkanie było umeblowane i utrzymane w czystości. To mi w zupełności wystarczało. Mogłam w końcu rzucić w kąt walizkę i odpocząć.

Zrozumiałam, że nieprzypadkowo wylądowałam właśnie w tym miejscu. Wszystkie poprzednie musiały wydać się nieodpowiednie tylko po to, żeby to jedno mogło okazać się właściwe. To zabawne, ale człowiek może wejść do setki mieszkań i nie czuje zupełnie nic, a potem wchodzi do jednego i od razu wie, że właśnie w nim zamieszka. To nie człowiek wybiera mieszkanie — to mieszkanie wybiera swojego lokatora (jak abstrakcyjnie by to nie brzmiało). Po prostu czułam, że to jest miejsce dla mnie. Pokój nie należał do największych, ale przestrzeń była idealnie zorganizowana i dostosowana do potrzeb twórcy. Od wejścia rzucała się w oczy masywna szafa w odcieniu ciemnego orzecha. Cały komplet mebli był utrzymany w tej samej kolorystyce, co ładnie komponowało się z brzoskwiniowym kolorem ścian. Poza tym lustra zamontowane w przesuwanych drzwiach szafy sprawiały, że pomieszczenie stawało się większe optycznie. Naprzeciwko znalazło się miejsce dla niewielkiej komody, do której przylegało łóżko stworzone z dwóch grubych materacy nałożonych na siebie i stosu poduszek. Przy wejściu po stronie szafy znajdowała się typowa ścianka meblowa z telewizorem, a naprzeciwko niewielki stolik i dwa fotele. Przytulne gniazdko, do którego przywiązałam się od pierwszej chwili. Poruszałam się po pomieszczeniach, jakbym mieszkała w nich od lat. Nie miałam najmniejszego problemu z rozmieszczeniem rzeczy. Nie zastanawiałam się, na której półce ułożę kosmetyki, a na której ubrania. Cały układ był stworzony jak na moje życzenie. Meble stały tak, jak sama bym je ustawiła. Przesunęłam tylko łóżko, żeby stało bliżej okna i balkonu.

Mogłam odetchnąć spokojnie. To był nowy start, o którym marzyłam.

Nie przejmowałam się mokrymi po kąpieli włosami i wyszłam na balkon. Miałam ochotę odegrać scenę z „Księcia w Nowym Yorku” i zacząć głośno witać się ze wszystkimi sąsiadami. Patrzyłam na niebo nade mną i podwórze przede mną. W przestrzeni pomiędzy blokami roilo się od miejsc parkingowych oddzielonych kilkoma karłowatymi drzewkami.

— Tylko nie wypadnij. — Kobięcy głos sprawił, że aż podskoczyłam. Zaczęłam się rozglądać i zlokalizowałam kobietę na sąsiednim balkonie. Siedziała wygodnie na krześle, opierała stopy na barierce i paliła papierosa. Jej krótkie, czarne włosy odstawały we wszystkie strony świata, jakby żyły własnym życiem.

— Jezus Maria, wystraszyła mnie pani — odpowiedziałam odruchowo. Choć nieznajoma wyglądała młodo, dobre maniery kazały mi się zwracać do niej

formami grzecznościowymi. Mogła mieć najwyżej kilka lat więcej ode mnie, ale z kobietami nigdy nic nie wiadomo.

— Błagam... jesteśmy sąsiadkami. Mów mi Marta. — Miała niesamowicie seksowny głos. Tak, seksowny to pierwsze określenie, jakie przyszło mi do głowy. Do tego zielone oczy, alabastrowa skóra i pociągłe rysy twarzy. Nawet bez makijażu, w starej koszulce wydawała się piękna. Lena miała bardzo podobne oczy. Równie zielone i magnetyczne. Strasznie za nimi tęskniłam.

— Miło mi, jestem Laura. Dopiero się wprowadziłam.

— Widzę. — Przewróciła oczami i mogłabym przysiąc, że pod nosem nazwała mnie przygłupem. Zaciągnęła się papierosem, odchyliła głowę i wypuściła dym układając usta w kształt litery „O”. — Skąd przyjechałaś?

— Z Radomia.

— Kawalek drogi...

— Chciałam uciec jak najdalej, zacząć od nowa.

— Brzmi, jakbyś wybiła pół miasta i musiała się ukrywać pod nową tożsamością.

— Spowodowałam wypadek, który zmienił moje życie. Ciężko było je później poskładać — przyznałam się.

— Czasem nie da się czegoś poskładać. Trzeba wtedy sprzątnąć odłamki i zacząć budować od nowa w innym miejscu.

— No i oto jestem. — Uśmiechnęłam się. Próbowалаm pokrzepić tym gestem samą siebie. Głos zaczynał mi drżeć, ilekroć przypominałam sobie, co wydarzyło się rok wcześniej.

— Nienajlepsze miejsce wybrałaś, dziewczyno. Nie słyszałaś o tym, że po Wrocławiu grasuje seryjny morderca?

— Ty nie wydajesz się tym specjalnie zmartwiona — zauważyłam. Zdziwił mnie spokój, z jakim wspominała o sprawie.

— Złego diabli nie biorą. — Puściła do mnie oczko i zgasła peta na parapecie, po czym cisnęła nim przed siebie. — Słuchaj, zaraz idę do pracy, ale jak chcesz, to jutro możesz wpaść na kawę. Pogadamy, poznamy się trochę. Jeśli dopiero przyjechałaś, to przyda ci się ktoś, kto zna miasto i jest blisko, w razie gdybyś potrzebowała jakichś informacji.

— Och, dziękuję. Istotnie, dobrze jest znać swoich sąsiadów — przytaknęłam, choć nie byłam pewna, czy Marta mnie usłyszała. Zdażyła już zniknąć za drzwiami.

— Nie wszystkich. Uwierz mi, nie wszystkich — dobiegł mnie uwodzicielsko chrapliwy głos dochodzący z wnętrza sąsiedniego mieszkania. Usłyszała.

Przez chwilę stałam na balkonie i patrzyłam przed siebie, ale coraz chłodniejsze podmuchy skłoniły mnie do ukrycia się w swoim przytulnym lokum.

Nie miałam jeszcze podłączonych głośników, więc nie miałam jak puścić muzyki. Od niechcienia włączyłam telewizor, bo cisza mnie męczyła. Nigdy nie potrafiłam wytrzymać w niej zbyt długo. W ciszy dużo trudniej powstrzymać natłok przemyśleń, wspomnień i rozegranych tylko w wyobraźni rozmów. Niewielu ludzi ma na tyle siły, żeby zmierzyć się z własnymi demonami. Właśnie dlatego powstały odtwarzacze muzyki i... telewizory. Lepiej słuchać bzdurnych wypowiedzi obcych ludzi, niż skazać się na własne towarzystwo. Choć zawsze szydziłam z tych, którzy włączają telewizory tylko po to, żeby grały, tego wieczora zrobiłam dokładnie to samo. Byłam sama w nowym mieście i potrzebowałam odrobiny towarzystwa. Tak bardzo chciałam, żeby był przy mnie Igor lub Lena. Niestety towarzystwo na ekranie musiało mi wystarczyć.

Nie miałam zbyt wielu rzeczy. Zabrałam tylko to, co najpotrzebniejsze. Właściwie poza ubraniami, bielizną, kosmetykami i sprzętem do pracy, nie potrzebowałam niczego. Szybko skończyłam rozkładanie rzeczy i położyłam się na łóżku, żeby odpocząć. Dopiero wtedy zaczęłam zwracać uwagę na to, jakie dźwięki dobiegają z telewizora, który wcześniej był dla mnie tylko tłem. Akurat leciały wiadomości, a tematem głównym był tajemniczy seryjny morderca. Spikerka z powagą opowiadała o morderstwach. Wszyscy byli przerażeni kreatywnością psychopaty, który za dnia mógł przechadzać się spokojnie ulicami miasta. Każdą ofiarę potraktował bardzo indywidualnie. Pierwszym celem stał się Karol Werner. Tu sposób śmierci był oczywisty — student został brutalnie podpalony w swoim samochodzie. Najprawdopodobniej przeżywał katusze porównywalne ze średniowiecznymi procesami czarownic, bo ekspertyza wykazała, że jeszcze żył, kiedy jego ciało stanęło w ogniu. Druga ofiara miała więcej szczęścia, bo śmierć przyszła do niej spokojnie. Bibliotekarka zmarła przed ukończeniem trzydziestego roku życia. Emilia Popławska została uduszona podczas snu. Trzecim razem mordercy puściły nerwy i swoją ofiarę potraktował tak brutalnie, jakby chciał się na niej wyżyć. Elżbietę Trzebiatowską, typową businesswoman, znaleziono z wieloma ranami zadanyymi nożem, albo innym ostrym przedmiotem. W dodatku została okradziona ze wszystkich pieniędzy i kosztowności. Czwartym razem pecha miał Szymon Ciepłucha. Nie udało mu się wytłumaczyć mordercy, że stara, pełna drzazg noga od krzesła, to nie jest najlepszy przyrząd do zmieniania kształtu żuchwy. No i najnowsze osiągnięcie mordercy — Wojciech Kozioł. Mężczyzna zmarł od porażenia prądem, kiedy wykąpał się z podłączoną do kontaktu suszarką. Policja usiłowała znaleźć jakieś powiązanie między ofiarami, ale żadne modus operandi nie trzymało się kupy. Elementem charakterystycznym były tylko niezapominajki.

Blondynka w niebieskim żakieciku oddała w końcu głos reporterowi, który przemierzał ulice Wrocławia. Przystojniak z ulizanymi włosami zaczął przechodzącą dziewczynę i zapytał ją o to, czy zna zagrożenia czyhające na nią

każdego dnia. Na początku z pełną powagą powiedziała, że rzeczywiście zdarzało jej się bać szkolnej matematyki. Zwłaszcza, kiedy odwracała się tyłem i nachylała nad innym uczniem.

— Mam na myśli seryjnego mordercę — sprecyzował. — Nie boisz się chodzić nocą po ulicach w czasie, kiedy odliczanie trwa?

— Ja się niczego nie boję — odpowiedziała ruda trzpiotka. Zakręciła palcami loka i uśmiechnęła się do reportera, jakby chciała go uwieść. — Ja, proszę pana, jestem dzieckiem szczęścia. Nie wierzę w pecha, więc nigdy go nie mam. Jestem przekonana, że kiedy ten świr będzie mordował, ja akurat będę się świetnie bawiła na drugim końcu miasta.

— Odważne stwierdzenie, ale czy rozsądne? — Reporter zwrócił się w stronę kamery. — Prezydent miasta radzi, aby zawsze wychodzić grupami i nie ufać nowopoznanym ludziom. Zwłaszcza nocą bezpieczniej będzie zainwestować w powrót taksówką znanej firmy przewozowej. Życie jest najcenniejszym darem, jaki mamy i nie warto ryzykować utracenia go dla chwili nieprzemysłanej zabawy.

— Mówię panu, co ma być, to będzie. Co ma zawisnąć, nie utonie. Bawcie się, ludzie! Życie jest za krótkie, żeby bać się wyjść z domu — wtrąciła przepytywana.

— Ostrożności nigdy za wiele. Policjanci psychologowie organizują coraz więcej spotkań informacyjnych, aby nauczyć wrocławian rozpoznawania osób niezrównoważonych psychicznie. W tym czasie funkcjonariusze oferują bezpłatne warsztaty z samoobrony. Chcą w ten sposób ocieplić wizerunek policji, która dwoi się i troi, żeby zapewnić ludziom bezpieczeństwo.

— Wszystko to bez sensu. — Ruda prychnęła. — I tak nigdy nie wiadomo, kiedy morderca zaatakuje. Może to być środek nocy, albo środek dnia. Raczej ciężko się obronić, kiedy się wraca do domu po pracy z siatką zakupów w rękach.

— Zawsze trzeba mieć oczy szeroko otwarte, bo niebezpieczeństwo może się czaić na każdym rogu. Do 6 maja mamy jeszcze pełen miesiąc, ale prezydent Sokołowski już zapowiedział wzmożone patrole i pełną mobilizację — zapewnił reporter.

Nie zauważyłam, kiedy moja świadomość zaczęła odpływać i obudziłam się dopiero następnego dnia. Podobno sen podczas pierwszej nocy w nowym miejscu zawsze się sprawdza. Cóż, nie najlepiej to o mnie świadczyło, bo... nie śniło mi się nic.

Rozdział 2

Życie artysty należy do tego typu egzystencji, w której ciężko znaleźć rutynę i porządek. Artysta sam sobie jest panem. Sam decyduje o tym, jaką część dnia poświęca na pracę, a ile czasu potrzebuje na regenerację sił. Lubiłam myśleć o sobie w kategoriach artystki, bo moja praca zawsze była twórcza. Z wykształcenia byłam architektem, ale częściej zajmowałam się projektowaniem wnętrz i ogrodów, grafiką lub malarstwem. Była chwila, kiedy wstrzeliłam się w temat i moje obrazy schodziły jak świeże bułeczki. Niestety nie byłam zbyt płodną artystką. Wena nie upodobała sobie przesiadywania u mnie godzinami i tylko sporadycznie wpadała na herbatę i ciastko. Tłumaczyłam sobie, że to właśnie przez jej kaprysy nie byłam jeszcze znaną malarką.

Przeciętnemu Kowalskiemu może się wydawać, że malowanie jest proste. Należy poznać podstawy, a później nic nie stoi na przeszkodzie, żeby tworzyć arcydzieło za arcydziełem. Rzeczywistość jest jednak dużo bardziej złożona. Wiele zależy od charakteru artysty i jego prac. Ja byłam typem introwertycznym. Potrzebowałam samotności i skupienia, żeby zrobić cokolwiek wymagającego kreatywności. Nawet kiedy na chwilę zatrudniłam się w pracowni architektonicznej, zabierałam zlecenia do domu i pracowałam nad nimi w zaciszu własnego pokoju. W tłumie nie potrafiłam się skupić. Każda przechodząca obok para oczu potrafiła rozbić moją koncentrację w drobny mak.

We Wrocławiu widziałam wiele możliwości. Nowe miejsca kryły w sobie nieznaną magię, od której byłam uzależniona. Nowe doznania, nowe krajobrazy, nowa okolica, nowe towarzystwo, nowa muzyka — to wszystko wpływało na moje samopoczucie i potrzebę tworzenia. Kiedy tylko wstałam, zrzuciłam ubrania, w których zasnąłam, a potem weszłam pod prysznic. Poczułam to tajemnicze coś, co sprawiało, że źrenice się rozszerzają. Ogarnęło mnie natchnienie. Miałam wrażenie, że gdybym chwyciła za pędzel, powstałoby coś wspaniałego. To na pewno sprawiłoby, że znalazłabym się na pierwszych stronach gazet. Jakże ogromnie byłam zawiedziona, kiedy uświadomiłam sobie, że wszystkie przybory zostawiłam w domu. Pierwsze kroki tego dnia skierowały mnie więc nie do spożywczaka, ale w kierunku sklepu dla artystów. Od śniadania ważniejsze były farby, pędzle, płótna i sztaluga. Ta iskra, która sprawiła, że zapłonęłam, pognęła mnie przez miasto ze sprzętem na plecach i torbą pełną przyborów w ręce. Przeliczyłam się tylko z czasem. Iskra zgasła wraz z chwilą, kiedy dotknęłam pędzlem płótna. W dodatku w pomieszczeniu rozległ się przerażający bulgot. Mój żołądek domagał się zainteresowania. Tak też krótko można było opisać los artysty przygniecionego przez podstawowe potrzeby fizjologiczne.

O piętnastej było już odrobinę za późno na jedzenie śniadania, a nie

uśmiechało mi się robienie obiadu. Pozostała mi najłatwiejsza, ale jednocześnie najszybsza opcja — zjeść na mieście. To była najgorsza chwila na zwiedzanie i poszukiwanie jadłodajni, więc skróciłam wędrówkę do minimum. Zatrzymałam się przy pierwszym barze. Trafiłam na chińczyka, z którym trudno było się dogadać. Miałam nadzieję, że nie zaserwuje mi pieczeni z kota, dlatego uśmiechałam się miło i usiłowałam uciszyć żołądek, który nie przestawał o sobie przypominać, dopóki nie zapchałam go piekielnie ostrą zupą. Miałam wrażenie, że się przekręcił i zamilkł na wieki. Ja z kolei obiecałam sobie, że moja noga nigdy więcej tam nie postanie. Powitanie z Wrocławiem z każdą chwilą robiło się coraz wspanialsze.

Kiedy wchodziłam na klatkę schodową, natknęłam się na znajomą twarz. Sąsiadka właśnie wołała windę. W przeciągu sekundy jej bystre oczy mnie namierzyły.

— Laura! — zawołała dostojnie, jakby wzywała do siebie boya hotelowego. Czulałam się w obowiązku, żeby do niej podejść, wziąć z rąk torbę i zanieść pod same drzwi. Ta kobieta miała w sobie coś władczego. Coś, co działało na podświadomość i sprawiało, że człowiek chciał wykonywać jej polecenia. Byłam przekonana, że każdy mężczyzna w jej towarzystwie tracił pewność siebie i szalał na jej punkcie. — Laura, prawda? Dobrze pamiętam?

— Tak, to ja — odpowiedziałam i podeszłam do niej ze spuszczoneym wzrokiem. Mogła mnie zrugać, albo pogłaskać po głowie. Nie odważyłabym się sprostować nawet, gdyby pomyliła moje imię.

— Chyba nie miałaś zamiaru iść na szóste piętro po schodach? Jesteś aż taką zwolenniczką ruchu? Lepiej pobiegaj na bieżni, to zdrowsze dla stawów — zasugerowała. Bąknęłam coś niewyraźnie w odpowiedzi, a ona kompletnie nie zwróciła na to uwagi. — Pamiętasz, że wpadasz do mnie dzisiaj na herbatę?

— Tak, oczywiście.

— Wspaniale. Myślę, że osiemnasta będzie odpowiednia. Zdążysz chwilę odpocząć — zarządziła. Miałam ochotę odpowiedzieć: „Yes, sir!” i zasalutować, ale powstrzymałam się. Właściwie podobało mi się to, że narzuciła swoją wolę. Gdyby kazała mi decydować, jeszcze bardziej bym się zmieszała. Przy obcych osobach czulałam się nieswojo i nie wiedziałam, na ile mogę sobie pozwolić. To najprawdopodobniej wynik jakiegoś kodu kulturowego, który mówił, żeby za żadne skarby nie urazić nieznanego.

Marta zabawiała mnie opowieścią o swoim dniu aż do momentu, kiedy rozstałyśmy się przy drzwiach do mojego mieszkania. Ja weszłam przez drzwi oznaczone wielką siedemnastką, a ona grzebała w torbie w poszukiwaniu kluczy do osiemnastki.

Czas zdawał się niepokojąco przyspieszyć. Ledwo weszłam do pokoju, a już musiałam z niego wychodzić. Byłam odrobinę zestresowana wizytą u sąsiadki.

Chciałam zrobić dobre wrażenie, bo nieładnie byłoby zaczynać pobyt w mieście od narobienia sobie wrogów w najbliższej okolicy.

Drzwi otworzyły się trzy sekundy po tym, jak do nich zapukałam. Marta powitała mnie z mokrymi włosami. Miała na sobie zwiewny, satynowy szlafrok w orientalne wzory. W pierwszej chwili miałam wrażenie, że pod nim nic na sobie nie ma. Jej piersi odznaczały się zalotnie pod materiałem. Serce zabiło mi szybciej. Nijak nie pomagało mi to poczuć się swobodnie.

— Czuj się jak u siebie — poleciała. Ani trochę nie przejęła się moją obecnością. Zostawiła mnie przy drzwiach i zniknęła w łazience. Po chwili usłyszałam dźwięk suszarki.

Jej mieszkanie miało zupełnie inny układ niż moje. Wejście prowadziło do modernistycznego salonu z kuchnią, a u mnie przez niewielki korytarz wchodziło się wprost na pokój. Moje lokum było skromną kawalerką, a tu można było znaleźć dodatkowe pomieszczenie. Sądząc po braku łóżka w salonie, musiała to być sypialnia.

Staralam się poruszać na tyle cicho, żeby nie zaniepokoić właścicielki.

— Herbata jest w pierwszej szafce po prawej. Czarna, albo Jeżynowy Loyd. Wybierz sobie — usłyszałam zza drzwi. Marta przekrzykiwała suszarkę, przez co na pewno nie usłyszała mojej odpowiedzi. Powiedziałam więc praktycznie sama do siebie, że uwielbiam jeżynowego Loyda. Uśmiechnęłam się, ale to również umknęło czyjejkolwiek uwadze.

Czajnik stał na wierzchu, więc pozwoliłam sobie na samoobsługę. Na rączce zapaliło się czerwone światelko i woda zaczęła się podgrzewać.

Marta wyszła, nim woda zdążyła się zagotować. Wciąż krzątała się w samym szlafroku. Mogła sobie na to pozwolić, bo pomieszczenie było dodatkowo dogrzewane. U mnie byłoby za zimno, żeby ganiać po mieszkaniu półnago. Zwłaszcza, że zapominałam o zamknięciu drzwi na balkon. Tymczasem ona przy ścianie miała dodatkowy grzejnik, który sprawiał, że w cienkim sweterku robiło mi się dość ciepło.

— Jak ci się podoba miasto? — zagadnęła. Posłała mi krótkie spojrzenie, kiedy przelatywała między łazienką, a kompleksem kuchennym.

— Nie zdążyłam zbyt wiele zobaczyć. To praktycznie mój pierwszy dzień, a poświęciłam go głównie na latanie po sklepach i za jedzeniem. Czas ucieka tak szybko!

— W rzeczy samej, w rzeczy samej... szaleństwo zakupowe, powiadasz? Coś konkretnego?

Marta zalała herbatę i przyniosła ją do stołu. Usiadła na fotelu z podwiniętymi nogami. Jej spojrzenie przybrało analitycznego odcienia. Miałam wrażenie, że przewierca mnie wzrokiem jak zawodowa dziennikarka. Czytała ze mnie jak z otwartej książki i znała odpowiedzi, zanim zadawała pytania.

— Głównie artykuły plastyczne. Maluję hobbystycznie, a nie zabrałam ze sobą niczego.

— Namalowałaś coś dzisiaj?

— Miałam taki plan, ale inspiracja gdzieś odleciała, zanim chwyciłam za farby. Wiem jednak, że kręci się gdzieś w pobliżu i będę gotowa, kiedy przyjdzie ponownie.

— Pozwól, że zmienię temat. Wspominałaś wczoraj o jakimś wypadku, który spowodowałaś. O co chodziło? — zapytała. Dość bezpośrednio pytanie, jak na nasz poziom znajomości. Zatkano mnie, jednak próbowałam wykrzesać z siebie odpowiednie słowa. Musiałam się wytłumaczyć, żeby nie wzięła mnie za psychopatkę.

— To był przypadek. Niefortunny zbieg okoliczności. Jechałam wieczorem samochodem. Na siedzeniu pasażera była moja starsza siostra. Trochę się zagadałyśmy w drodze, deszcz padał... wpadłam w poślizg i uderzyłam w drzewo — przyznałam się. Patrzyłam na swoje stopy, jakbym bała się, że w oczach rozmówczyni odnajdę pogardę. Milczała, więc w końcu poczułam się w obowiązku, aby jakoś się usprawiedliwić. — Nie jechałam z zawrotną prędkością, ale nie zdążyłam zareagować. Straciłam panowanie nad kierownicą. Obie z siostrą trafiłyśmy do szpitala. Na szczęście nikt nie zginął.

— Nie wiem, czy można to nazwać szczęściem — prychnęła.

— U mnie stwierdzono obrażenia czaszki i wstrząśnienie mózgu. Siostra nie doznała głębokich urazów, ale szkło z przedniej szyby powbiło jej się w twarz i ją oszpeciło. Lena nigdy mi tego nie wybaczyła. Była piękną dziewczyną. Zawsze miała powodzenie, a po tym wydarzeniu... całkowicie zerwała kontakt ze światem. Odcięła się od rodziny i znajomych. Lekarze twierdzili, że przeszła ciężką depresję, a później podobno rozpoczęła nowe życie. Bez nas. Beze mnie.

— Uważasz, że miała ku temu podstawy?

— Ja bym na jej miejscu nigdy nie opuściła rodziny. Całe życie byliśmy nierozłączni.

— Przeczysz sama sobie. Z tego, co zrozumiałam, zostawiłaś rodzinę w Radomiu i wyjechałaś. Również odeszłaś.

— Ale ja nie urywam z nimi kontaktu. Rodzice mają do mnie numer i mogą zadzwonić w każdej chwili. Nie odcinam się od nikogo. Przed wyjazdem zostawiłam im wiadomość, gdyby chcieli mnie znaleźć — usprawiedliwiałam się.

Rodzice mieli ze mną kontakt. Matka nawet do mnie dzwoniła. Niestety nie miałam akurat telefonu pod ręką, więc zostawiła mi nagraną wiadomość. Panikowała i marudziła, że nie powinnam się przeprowadzać, że sprowadzę na siebie nieszczęście i tym podobne. Po minucie rozłączyłam pocztę i obiecałam sobie, że oddzwonię w innym terminie. Jeśli odczekam ze dwa tygodnie, to jej przejdzie i będziemy mogli normalnie porozmawiać.

Moja relacja z rodzicami nie układała się pomyślnie. Ojciec znalazł sobie nową rodzinę, a matka popadła w obłąd po naszym wypadku. Nie zniosła tego, że Lena zniknęła. Majaczyła, albo wcale się nie odzywała, tylko ślepo patrzyła w jeden punkt. Czasami twierdziła, że Lena ją odwiedza, ale to nie jest już ta sama dziewczyna. Przekonywała mnie, że teraz wygląda inaczej. Nikt jednak nie wiedział tego lepiej ode mnie. Wciąż miałam przed oczami siostrę z twarzą pełną powbijanego szkła. To wszystko sprawiało, że mój wyjazd miał jeszcze więcej sensu. Musiałam się odsunąć. Sama świadomość spowodowania wypadku była dla mnie wystarczająco traumatyczna. Nie mogłam znieść oskarżycielskich spojrzeń matki. Tylko Igor był mi pocieszeniem, a kiedy jego zabrakło, wszystkie znaki na niebie i ziemi zachęcały mnie do przeprowadzi. Na ulicach dostrzegałam reklamy z innych miast, w radiu wyłapywałam informacje o firmach transportowych. Nawet na maila dostawałam spam z ofertami mieszkań we Wrocławiu.

— Każdy bierze odpowiedzialność za swoje czyny — odpowiedziała Marta. — Postąpiłaś tak, jak uważałaś za słuszną. Twoja siostra zrobiła to samo. To tak, jak nasza sąsiadka spod czternastki. Żyła z facetem przez prawie dwadzieścia lat. Nabrała kredytów, żeby mu imponować. Zabierała go na różne wyjazdy i wakacje. Myślała, że przez to będzie ją bardziej kochał. Uznała, że postępuje słusznie, bo przecież robiła to wszystko z miłości. On z kolei, kiedy dowiedział się o długach, spakował rzeczy i już więcej się nie pokazał. Uznał, że go oszukała i nie chciał mieć z nią nic do czynienia. Babka żyje teraz na skraju biedy, bo ma na głowie trzech komorników. Oboje zrobili to, co uznali za właściwe.

— Czego to ludzie nie zrobią z miłości...

— Powiem ci czego: czegoś mądrego. Jeszcze nie słyszałam o tym, żeby z miłości ktoś zdobył tytuł naukowy. Chyba, że z miłości do siebie, albo z miłości do danej dziedziny nauki. Nigdy z miłości do drugiego człowieka.

— Nie popadajmy w skrajności, z miłości ludzie potrafią robić piękne rzeczy.

— Taa... Sąsiad spod dziewiątki jest tego najlepszym dowodem — przytaknęła. Pokiwała głową, zagryzła wargę i spojrzała w sufit. — Z miłości ozdobił ścianę bloku swoją krwią. Spisał nią wyznanie do ukochanej. Prawie się przy tym wykrwawił. Wylądował w szpitalu i jak się pewnie domyślasz, miłości nie zdobył. Za to do jego pięknych wyznań następnego dnia ktoś dopisał sprayem: „I chuj”. Iście poetyckie.

— Och... — zabrakło mi słów. — Ludzie nie doceniają...

— Ale to jeszcze nic! — wcięła mi się w słowo. — Mieszkał tu kiedyś jeden taki. Leszek się nazywał. Ten to dopiero z miłości potrafił cuda robić. Zwłaszcza, że miał jej w sobie bardzo dużo. Tak dużo, że jedna kobieta mu nie wystarczała. Co kilka dni przyprowadzał sobie nową i tylko na podwórko niosły się odgłosy...

miłości. Kilka panienek się w nim zakochało i potem zaczęły mu składać niezapowiedziane wizyty. Którymś razem zeskakiwał z balkonu, żeby upozorować, że go nie ma. Innym razem jedną miał u siebie, a druga mu się zaczęła dobijać do drzwi. W końcu ta obecna nie wytrzymała i otworzyła. Prawie się pobiły o niego. Wyobraź sobie, facet w tym czasie stał i to obserwował. Przez chwilę próbował je powstrzymać, ale szybko sobie odpuścił. Wszedł do mieszkania, zamknął drzwi i poszedł na balkon zapalić. Następnego dnia przyprowadził sobie nową. Taka to już miłość.

— Och... cóż... żyjemy w takich czasach, że kobietom też zależy na seksie. Może był rakietą w łóżku i dlatego tak do niego lgnęły?

— Rakietą? Chyba raketką. Chodziły słuchy, że niewiele nosi w spodniach. Co w sumie jest bardzo zabawne. Myślałam, że jest największym chujem w mieście.

— Wrocław jest pełen przeróżnych historii. Chociażby ten seryjny morderca, który grasuje. Nie wiem zbyt wiele, ale oglądałam program o nim i... może to dziwne, ale kiedy widziałam jedną z ofiar, poczułam się jakoś... nie potrafię tego określić.

— Przeraziłaś się. I nic dziwnego. Tylko psychopata oglądałby takie sceny bez wzruszenia. Dla osób tak wrażliwych jak my, nawet sny bywają katalizatorem obaw. A co, jeśli życie staje się gorsze od snów? Już u nas w bloku można znaleźć multum problemów. Pod czwórka dla przykładu. Pani Stasia prowadzi tam coś w rodzaju nieoficjalnego komisju. Pożyczają pieniądze, bierze zastaw, a później wyciąga z ludzi dwa razy tyle, ile pożyczili. Nikt jej nie podskoczy, bo jej trzech wnukowie lubują się w sterydach. Sąsiad spod szesnastki też jest bardzo spokojny. Nie sposób go usłyszeć ani zobaczyć. Jedyne, co można zauważyć to fakt, że bardzo często do późna pali się u niego światło i czasem puszcza muzykę klasyczną. Poza tym nie słychać u niego najmniejszego szelestu, a uwierz mi, tutaj dużo słychać.

— Widać to spokojny człowiek.

— Zbyt spokojny. Coś mi w nim nie pasuje. Raz w życiu widziałam go na oczu i mówię ci, to jakiś dziwny typ.

— Co masz na myśli?

— Wspomniałaś o seryjnym mordercy. Ja myślę, że to nasz drogi sąsiad. Pomyśl sobie, taki niepozorny i cichy. Musi mieć coś na sumieniu, skoro tak bardzo stara się nie wychylać — zasugerowała. Kiedy znalazłam się pod naciskiem jej spojrzenia, nie potrafiłam zaprotestować, choć podejrzenia wydawały mi się mocno naciągane. Brzmiała po prostu jak żadna sensacji babka, która już dawno przestała żyć własnym życiem na rzecz cieszenia się doświadczeniami otoczenia. W Radomiu takie osoby można było spotkać w grupach stadnych, najczęściej pod kościołem. Ich elementem rozpoznawczym był moherowy beret.

— Ciężko mi się wypowiadać o człowieku, którego nie znam — próbowałam uciąć temat.

— Raczej nie poznasz. Chyba, że wybierze cię na kolejną ofiarę. Wtedy zobaczysz go od najgorszej strony. Mówię ci, najlepsze, co możesz zrobić mieszkając obok takiego świra, to wykupienie ubezpieczenia na życie. Przynajmniej rodzinie się zwróci — zasugerowała.

— No dzięki.

— Och, żartuję tylko. Chociaż, jakbyś chciała zainwestować w ubezpieczenie, to mogę ci pomóc. Zajmowałam się tym jeszcze do niedawna. Teraz zmieniłam pracę, ale siedziałam w temacie tyle czasu, że mogę ci doradzić, co się opłaca, a co nie.

— Dziękuję. Może skorzystam, ale najpierw muszę znaleźć pracę, żeby było mnie na to stać. — Westchnęłam, a Marta zaczęła dopytywać o szczegóły. Poleciała mi kilka miejsc, do których mogę się wybrać. Wspomniała też o takich, do których absolutnie nie powinnam iść, bo tylko zmarnuję cenny czas.

— A co do spokoju, masz plany na resztę wieczoru? — zagadnęła od niechcienia, kiedy kończyliśmy pić herbatę.

— Nie, raczej nie. Dopiero co się przeprowadziłam, nie znam miasta, poza tobą nikogo nie poznałam, więc ciężko cokolwiek planować.

— Mam bilet na koncert, ale wyskoczyło mi niezapowiedziane spotkanie. Wiesz, faceci. — Spojrzała na mnie wymownie. — Szkoda, żeby się zmarnował. Chcesz się wybrać? To dobra okazja, żeby się odprężyć i kogoś poznać.

— A co to za koncert? I ile kosztował bilet?

— Ciężko dokładnie określić. To młodzi muzycy. Grają stare, ale jare rock'n'roll'owe dziadostwa, kilka zajeżdżonych bluesów i inny popularny szajs. Każdy znajdzie coś dla siebie, będziesz się dobrze bawiła. Bilet dostajesz ode mnie w ramach prezentu powitalnego.

— Och, dziękuję. Jest mi... nie wiem, co powiedzieć. Zaskoczyłaś mnie.

— Świetnie. W takim razie miłej zabawy. — Wstała i wyciągnęła z szafki wydrukowany bilet. Wytłumaczyła mi dokładnie dojazd do miejsca koncertu, a później delikatnie zasugerowała, że ma mnie dość i wołałaby się przygotować do swojego spotkania.

Do koncertu pozostały mi dwie godziny. Nie miałam pełnej szafy ubrań, więc szykowanie się do wyjścia nie zajęło mi zbyt wiele czasu. Trzy ubrania na krzyż to najlepsza droga do spokoju duchowego. Kobieta nie marnuje czasu na wybieranie i próby decydowania. Bluzka w kolorze butelkowej zieleni, proste jeansy i byłam gotowa. Mogłam jeszcze przed wyjściem przejrzeć kilka ofert pracy z biur, które poleciała mi Marta i na planie miasta odtworzyć wskazówki dojazdu. Tym sposobem, kiedy nadszedł czas, udało mi się nie zgubić.

Znalazłam się w pubie stylizowanym na piwnicę. Ściany stanowiły surowe

cegły, a nad głową rozpościerały się sklepienia krzyżowo-żebrowe. Podobał mi się klimat, ale zdziwiłam się, że prawie nikogo tam nie było. Jedna osoba, której płęć ciężko było określić, siedziała przy barze. Poza tym czterech chłopaków kręciło się między sceną, a kanciapą. Montowali sprzęt, podłączali kable, stroili się. Dwa razy sprawdziłam, czy jestem w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze. Według biletu koncert powinien trwać od dziesięciu minut.

Usiadłam przy stołku, zamówiłam piwo i dla pewności zagadnęłam barmankę, czy dobrze trafiłam. Wytłumaczyła mi, że chłopaki zawsze zaczynają z niewielkim opóźnieniem. Kiedy zapytałam o brak gości, dowiedziałam się, że w ciągu godziny sytuacja się zmieni. No i kobieta miała rację. Nim ubiegło trzydzieści minut, ludzie zaczęli wchodzić coraz większymi grupami. Muzycy już się rozgrzali i zaczęli serwować coraz bardziej skoczne numery. Przysłuchiwałam się i poruszałam stopą do rytmu. Nie potrafiłam jednak zintegrować się z towarzystwem. Miałam wrażenie, że każde kilka osób stanowi odrębną grupę i nikt nie ma ochoty nawiązywać znajomości z nikim nowym. Nie zwracali na mnie uwagi. Przynajmniej tak mi się wydawało do momentu, kiedy zauważyłam spojrzenie mężczyzny siedzącego w łoży przy samej scenie. Poza nim nie było tam nikogo, więc rozwalił się wygodnie. Jedną nogę oparł na siedzeniu i głaskał delikatnie swoją czerwoną gitarę. Wyglądał dość mrocznie. Poza czarnymi włosami, które zasłaniały mu pół twarzy, miał też na sobie czarną koszulę. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, poczułam, jak nagle robi mi się cieplej. Jakby przewiercał mnie na wylot.

Szybko uciekłam wzrokiem, odwróciłam się i przez chwilę patrzyłam w kufel piwa, które szło mi nad wyraz ciężko. Długo ze sobą walczyłam, żeby nie spojrzeć na niego po raz kolejny i oczywiście za każdym razem przegrywałam walkę. Usiłowałam sobie wmówić, że może akurat nie będzie patrzył w moim kierunku, ale na pięć spojrzeń, zaledwie dwa razy był zajęty dotykaniem gitary. Coś brzdąkał, ale nie było go słychać. Dopiero kiedy zespół zrobił sobie przerwę, w całej sali rozległy się dźwięki jego gitary. Tajemniczy nieznajomy zagrał „Lenny” Steviego Reya Vaughana. Był skupiony wyłącznie na gitarze, a ja nareszcie miałam możliwość przyjrzenia mu się bez obaw, że mnie na tym nakryje. Mógł mieć dwadzieścia pięć lat, mógł mieć trzydzieści pięć, nie potrafiłam określić. Czarne włosy zakrywały ciemne brwi i jeszcze ciemniejsze oczy. Poza tym miał wąsy i bródkę jak Johnny Depp w „*Dziewiątych wrotach*”. Na ustach miał wymalowane skupienie. Kiedy podniósł wzrok, wycelował dokładnie we mnie. Uśmiechnął się w taki sposób, że poczułam się oszołomiona. Nie wiedziałam, czy powinnam się cieszyć, czy bać. Zwłaszcza, że kiedy skończył utwór, odłożył gitarę i ruszył prosto w moim kierunku. Jak puma, która wypatrzyła zdobycz. Parł przed siebie pewnie i ani przez moment się nie zawahał. Wiem, bo czułam się jak zahipnotyzowana i nie potrafiłam oderwać od niego wzroku.

Stanął przy mnie, wymienił spojrzenia z barmanką, pokazał jej dwa palce i złapał mnie za rękę.

— Chodź — polecił. Miał szalenie zmysłowy, głęboki głos. Nie uznawał sprzeciwu. Zaprowadził mnie do swojej łoży.

— Ale moje piwo...

— Siki — uciał. Rozłożył się na tym samym miejscu, w którym siedział wcześniej i czekał aż usiądę obok. Kiedy to zrobiłam, złapał gitarę i dopiero wtedy zauważyłam, że był podłączony do wzmacniacza. Zastanawiałam się, czy jest częścią zespołu.

— Napij się ze mną.

Podsunał w moją stronę jedną z dwóch przyniesionych przez kelnerkę szklanek z whisky. Była na nich wygrawerowana nazwa lokalu i czaszka z byczymi rogami.

— Nie piłam nigdy czystej whisky — wytłumaczyłam. Jeśli już w ogóle sięgałam po takie trunki, to zwykle w towarzystwie coli, która neutralizowała cierpki, dymny smak whisky. Mój towarzysz jednak za nic miał protesty. Spojrzał na mnie lekceważąco i prychnął. Chwycił drugą szklankę i przesunął ją w moją stronę, jakby chciał, żebym stuknęła o nią swoją szklanką. Żądał reakcji i uniesienia jej do ust, a ja przez dobre trzy sekundy wpatrywałam się w jego dłonie.

Miał piękne dłonie. Nie w standardowych kategoriach piękna, ale było w nich coś wspaniałego. Silne, wyraziste, szorstkie i spracowane, choć jednocześnie zadbane. Długie palce, które idealnie układały się na gitarze. Zawsze podobały mi się dłonie. Dłonie nigdy nie kłamią. Uśmiech może zwieść, spojrzenie może zwieść, ale dłonie nigdy nie ukryją tego, co doświadczyły. W dodatku mogłam zobaczyć jego przedramiona w pełnej krasie, bo miał podwinięte rękawy koszuli. Na nadgarstku od skóry odcinały się dwa ciemno brązowe rzemienie, a na wewnętrznej stronie przedramienia widniał tatuaż złożony z jakichś dwóch łańcuchowych słów.

Nieznamy przewrócił oczami i przechylił szklankę wlewając całą jej zawartość do gardła za jednym zamachem. Wrócił do głaskania gitary. Kiedy siedziałam bliżej, słyszałam, że coś grał. Robił to jednak bardzo delikatnie. Nie jakby wykorzystywał instrumentu do grania, ale zaspokajał kobietę. W jego grze było coś erotycznego.

— Tak w ogóle to jestem Laura — przedstawiłam się, ale nie widziałam reakcji. — Od dawna grasz? — zapytałam. Podniósł wzrok i spojrzał na mnie wilkiem. Miałam wrażenie, że zastanawia się nad zaatakowaniem. Miał temperament dzikiego zwierzęcia, czułam to od początku. Nie zaatakował jednak. Po chwili, która dla mnie trwała zdecydowanie za długo, wrócił do grania.

— Od zawsze — odpowiedział, a po skończonym utworze odłożył gitarę na bok. Idealnie zgrał się z chwilą, kiedy koncertujący zespół wrócił na scenę

i ponownie rozległa się głośna muzyka.

Nieznajomy zbliżył się i przekroczył granicę mojej strefy bezpieczeństwa. Odsunął włosy z mojego policzka i zbliżył twarz.

— Whisky już się schłodziła — powiedział przy moim uchu, żeby przebić się przez muzykę. Sekundę później kelnerka przyniosła kolejną szklankę i zabrała tę pustą. Nieznajomy po raz kolejny uniósł szkło i przysunął je w moim kierunku, jakby chciał wznieść toast. Tym razem zebrałam się na odwagę i odpowiedziałam na zaproszenie. Wypiliśmy oboje. Skrzywiłam się, bo nie byłam fanką alkoholi. Widziałam, że wywołało to uśmiech na jego ustach. Nie potrzebował słów. Wyrazem twarzy mówił: „Grzeczna dziewczynka”. Zamówił następną kolejkę i tym razem nie czekałam, aż lód się rozpuści.

— Fajnie grają — zagadnęłam.

— Kamil beznadziejnie gra. Uduszę go za to, ale dopiero na chwilę przed jego śmiercią. Tak, żeby wiedział, że spierdolił, ale jednocześnie nie skracając jego życia o chwilę dłuższą niż źle zagrany utwór. Swoją drogą, nie widziałem cię tu wcześniej. — Przysunął się bliżej mnie pod pretekstem łatwiejszego prowadzenia rozmowy. Poczulałam jego piżmowy zapach i odrobinę zaszumiło mi w głowie. Nie byłam pewna, czy to kwestia wypitego alkoholu, czy obecność tego tajemniczego człowieka.

— Dopiero się przeprowadziłam.

— Nie. Nie bywasz tutaj, w tym miejscu. W mieście już wcześniej cię widziałem. Dużo gram na ulicy. Widzę wszystko, co się wokół mnie dzieje.

— Doprawdy? A dałabym sobie rękę uciąć, że kiedy grasz na gitarze, nie widzisz niczego poza nią. — To musiała być sprawka alkoholu, bo zrobiłam się przesadnie pewna siebie.

— To nie jest pierwsza z brzegu gitara. — Przejechał palcem po gryfie. — To Gibson ES-345 z bigsby. Najlepsza, jaką trzymałem w rękach. Zresztą widziałem, że na mnie patrzysz. Widziałem też jak facet obok ciebie przez pół godziny zbierał się na odwagę, żeby do ciebie zagadać.

— Niemożliwe. Siedziałam tam od... Ej, obserwowałeś mnie?

— Nie obserwuję. Widzę — poprawił. Ponownie uniósł szklankę w moim kierunku. Trochę się bałam, bo zaczynało mi szumieć w głowie, ale nie ośmieliłam się zaprotestować. Facet usiłował mi udowodnić, że nie dam rady, czy co? Im więcej piłam, tym bardziej chciałam mu pokazać, że się myli.

— I co takiego widzisz?

Spojrzał mi prosto w oczy. To był jeden z tych momentów, kiedy atmosfera gwałtownie gęstnieje i rodzi się tak silne napięcie, że niemal widać niewielkie wyładowania elektryczne między dwoma osobami.

— Ciebie — odpowiedział.

Przez chwilę miałam wrażenie, że mnie pocałuje, ale on tylko przesunął się

obok mnie i wyszedł z łoży. Widziałam, że szedł w kierunku toalety. Po drodze zaczepił go jakiś koleś. Przez chwilę z nim rozmawiał, później się pożegnali i zniknął za przeciwnym rogiem sceny.

Czekałam dobre piętnaście minut, a jego nie było. Musiał kiedyś wrócić — w końcu zostawił swoje rzeczy. Czas dłużył mi się jednak niemiłosiernie. W końcu i ja poczułam zew natury. Niestety, kiedy wróciłam z toalety, jego rzeczy już nie było.

A niech go szlag! Niechaj mu kostka zawsze wpada do gitary, a struny pękają! Olał mnie? Tak po prostu sobie poszedł? Nie mogłam uwierzyć. Wyszłam z pubu niepocieszona, zmieszana i odrobinę zdenerwowana. Wracając na piechotę przez środek miasta o trzeciej w nocy zastanawiałam się, czy właśnie o takiej porze seryjni mordercy wychodzą na łowy. Gdybym tej nocy spotkała jakiegoś na swojej drodze, to nawet bym się nie dziwiła.

Rozdział 3

W dzieciństwie z siostrą lubiliśmy wymyślać sobie przezwiska. Do Leny nikt nigdy nie zwracał się Magdalena. Zawsze była słodką Lenką lub „Loczkiem”, bo miała śliczne kręcone blond włosy. Mi trafił się równie uroczy przydomek — „Pokemon” przez to, że często oglądałam bajkę o takim tytule. Później w liceum zmieniłam kolor włosów i od tego czasu wołali na mnie „Ruda”. Przykleiło się to do mnie na dobre, mimo że rok później wróciłam do naturalnego, brązowego koloru włosów. Dopiero we Wrocławiu trafiłam na kreatywnych ludzi. Tu na ulicy obcy człowiek potrafił wołać mnie słowami: „Ej, ty, daj piąta!” Niewątpliwy awans społeczny.

Miasto z każdym dniem podobało mi się coraz bardziej. Po trudnym początku nadeszły dni radosne i spokojne. Dobrze dogadywałam się z Martą i w ciągu kilku dni udało mi się znaleźć pracę w zawodzie. Mogłam pracować ze swojego komputera, a do biura przysyłać jedynie gotowe projekty, co jeszcze bardziej mi pasowało. Poświęcałam się sztuce, choć w większości polegała ona na picciu wina i wpatrywaniu się w czyste płótno, na którym nie chciała się narodzić żadna konkretna wizja. Natchnienie, które dopadło mnie po przyjeździe bezpowrotnie zgubiło się gdzieś pomiędzy starymi kamieniczkami, którym lubiłam robić zdjęcia. Żałowałam, że nie mogę pokazać ich Igorowi i załamywałam się za każdym razem, kiedy docierało to do mojej świadomości. Nie potrafiłam przeżyć żadnej pięknej chwili. Myślałam tylko o tym, że dałabym wszystko, aby był tam ze mną. Nie potrafiłam się niczym cieszyć. Szukałam różnych zajęć, byle zapchać jakoś swój czas.

Wkrótce na jednej ze ścian powstał kolaż. Byłam staromodna i w erze Instagrama wywoływałam zdjęcia, aby układać je w albumach. Akurat żadnego nie miałam, więc ściana musiała mi wystarczyć. Na szczęście dwa kroki od mieszkania miałam punkt, w którym od ręki wywoływali zdjęcia za niewielką opłatą.

Któryś razem, kiedy po raz kolejny próbowałam coś namalować z kieliszkiem w dłoni, zamyśliłam się patrząc na te zdjęcia. Zamknęłam oczy i w wyobraźni poruszałam się między blokami. Pod stopami miałam kocie łby, którymi wybrukowane były uliczki. Czulałam zapach świeżych gofrów dochodzący z pobliskiej restauracji. Nie byłam pewna dokąd zmierzają moje myśli, ale nagle pod moimi palcami zaczęły się mieszać odpowiednie farby. Wpadłam w szal twórczy i kiedy obudziłam się rano, na płótnie zobaczyłam coś, czego się nie spodziewałam. Szaro-brązową paćkę, która nie przypominała dosłownie niczego.

Choć malowanie kompletnie mi nie szło, to szybko udało mi się zadomowić. Od pierwszego dnia miałam wrażenie, jakbym mieszkała w tym miejscu od dawna. Nic dziwnego, że już po tygodniu przełączyłam się na autopilota i niektóre

czynności wykonywałam bez zastanowienia. Zwłaszcza kiedy zarywałam noc, robiąc projekt na zlecenie, a następnego dnia pozwalałam sobie na wylegiwanie się w łóżku do południa. Pech chciał, że właśnie w taki dzień rozległo się pukanie do drzwi. I to nie było zwykłe pukanie (bo takie bym olała), to było chamskie pukanie. Niczym pukanie do bram piekła. Tak też się czułam, kiedy musiałam zwlec śpiący tyłek z łóżka i sprawdzić, co to za nieczysta dusza postanowiła burzyć mój spokój o tak wczesnej porze.

— Laura! Szybko! — Marta pociągnęła mnie za rękaw piżamy, jak tylko uchyliłam drzwi. Była niezdrowo podekscytowana jak na poranek. Wszakże wskazówki zegara zbliżały się zaledwie do czternastej.

— Gdzie się pali i ile jeszcze mogę spać, zanim ogień dosięgnie mnie? — zapytałam półprzytomna. Rozważałam nawet pozostanie w łóżku mimo pożaru. Są takie dni, że łatwiej przyjąć do świadomości myśl o spłonięciu niż o tym, że trzeba się podnieść.

— Co? — zdziwiła się. Chyba nie zrozumiała, co do niej powiedziałam. — Nigdzie się nie pali, ale szykuje się morderstwo.

— Morderstwo? — Nagle się rozbudziłam. Są słowa, które sprawiają, że najgłębszy sen odchodzi w niepamięć. Słowa takie jak „pożar” lub „morderstwo”. Ewentualnie „czekolada”.

— Tak, morderstwo.

— Ale jak? Kto kogo zabije?

— W pierwszej kolejności... ja ciebie, jeśli się nie pospieszysz.

Zorientowała się, że nie jestem odpowiednio ubrana. Wepchnęła mnie w głąb mieszkania i z szafy wyciągnęła pierwsze z brzegu jeansy. Kazała mi je włożyć, a sama w międzyczasie co chwilę podbiegała do okna.

— Szybko, szybko! Czas nie penis, nie stoi! Facet nam ucieka — pospieszała mnie, a gdy tylko zapięłam guzik od spodni, pociągnęła mnie do drzwi. Rozczochrane włosy i brak makijażu nie przeszkadzały jej w tym, żeby pokazać się ze mną w miejscu publicznym. Dopiero w windzie rozplątał jej się język.

— Ten sąsiad spod szesnastki. Mówiłam ci, że to podejrzany typ. Wczoraj przez pół dnia siedział na balkonie i czegoś wypatrywał. Dopiero dzisiaj zrozumiałam, o co chodziło.

— O co? — zapytałam nie do końca ciekawa odpowiedzi.

— O morderstwo, oczywiście! Wypatrywał ofiary. Dzisiaj słyszałam jak tłukł się w kuchni, a przed chwilą wyszedł z zapakowanym plecakiem. Mówię ci, Laura, przygotował się i poszedł kogoś zamordować.

— Ale to nie ta data. Przecież ten seryjny morderca robił sobie miesięczną przerwę, a jest dopiero dziesiąty kwietnia. Minał zaledwie tydzień od poprzedniego morderstwa — przypominałam. Byłam jeszcze odrobinę zaspana, ale nie przeszkadzało mi to w logicznym myśleniu. Marta z kolei wydawała się w pełni

zamroczona swoją koncepcją. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem za mordercę nie wyznaczyli jakiejś nagrody. Coś jak listy gończe na dzikim zachodzie. Poszukiwany żywy lub martwy. Coś takiego nadałoby sensu niezdrowym podejrzeniom rzuconym na sąsiada.

— Wiem. Też mi się to nie zgadzało, ale przemyślałam sprawę. Zobacz, nigdy nie wiadomo, kiedy morderca porwał swoje ofiary. Mógł to robić dużo wcześniej, a później tylko podrzucił ciała w odpowiedniej chwili. To odsuwało od niego wszelkie podejrzenia, bo na noc, w której hipotetycznie dokonywane było morderstwo, mógł sobie zapewnić alibi.

— Z tego, co wiem, specjaliści w każdym przypadku ustalali czas zgonu i zawsze była to noc poprzedzająca odkrycie zwłok.

— Ale nie ustalali daty porwania. Ofiara mogła czekać na śmierć choćby i dwa tygodnie. Później wystarczyło znaleźć sobie alibi i urwać się na krótką chwilę, żeby dokonać morderstwa, które było przygotowane pod każdym względem. — Marta upierała się przy swoim, a w międzyczasie prowadziła mnie w znanym tylko sobie kierunku. Podobno właśnie w tym, w którym podążył nasz psychopatyczny sąsiad. Ja tymczasem wciąż nie mogłam uwierzyć w jej wersję wydarzeń. To się nie trzymało kupy.

— I miałby tego dokonać właśnie nasz sąsiad?

— Tak! Widzę, że zaczynasz rozumieć. — Podłapała natychmiastowo. Nie miałam siły wyprowadzać jej z błędu. — O, jest!

Kiedy dotarliśmy do parku, dziewczyna odrobinę się pochyliła, jakby to miało zapewnić jej niewidzialność. Marnie wtapiałyśmy się w tło. Było piękne kwietniowe popołudnie. Ludzie wychodzili do parku całymi rodzinami, aby przejść się po sytym niedzielnym obiedzie. Natura raczyła świat pierwszymi zieleniami i pąkami. Słońce przebijało się przez chmury coraz śmielej. Obmywało szare ludzkie twarze, nadając im blasku. Nawet na dostojnym obliczu Marty pojawiły się rumieńce.

— Widzisz, poszedł do parku. Po co taki facet wychodziłby sam do parku? Szuka ofiary, mówię ci. Porwie ją w biały dzień, bo to nie wywoła żadnych podejrzeń. Jak myślisz, co ma w plecaku? — Moja towarzyszka wciąż niezdrowo się ekscytowała, a ja miałam w końcu okazję przyjrzeć się człowiekowi, który wywołał w niej tak skrajne uczucia.

Wyglądał normalnie. Idealnie pasował do pojęcia zwykłości — krótkie myszowate włosy, przeciętny wzrost i kilka nadprogramowych kilogramów. Błada skóra, okulary na nosie, żadnych znaków szczególnych. Ani ekstrawaganckiej fryzury, ani ubioru, ani dodatków. Szary prochowiec, czarny plecak i tyle. W życiu nie rzuciłabym na niego cienia podejrzeń, ale chyba właśnie o to chodziło Marcie.

— Nikt normalny nie siedzi pół dnia na balkonie i nie patrzy w siną dal.

Obmyślał plan, a teraz wprowadza go w życie. Ciekawe, czym tak wypakował plecak — nie mogła przestać się zastanawiać.

Utrzymywałyśmy bezpieczną odległość, choć tak naprawdę mogłybyśmy iść krok za nim i nic by to nie zmieniło, bo nigdy wcześniej nie spotkałyśmy się twarzą w twarz z sąsiadem. Przynajmniej ja. Z tego, co wynikało z relacji Marty, ona również.

Może to kwestia atmosfery, może neuronów lustrzanych, a może po prostu w moim życiu za mało się działo, ale z każdą chwilą czułam większy dreszczyk emocji i pozwalałam sąsiadce, aby zarażała mnie swoimi teoriami spiskowymi.

Tymczasem sąsiad (vel seryjny morderca) przechadzał się spokojnie. Czasami zatrzymywał się i rozglądał wokół, po czym ruszał dalej, aż w końcu spoczął na ławce. To odrobinę wybiło nas z rytmu. Miałyśmy nadzieję na to, że skręci w jakiś ciemniejszy zaułek, albo chociaż zacznie podążać za jakąś konkretną osobą. On jednak, jak na złość, robił same nudne rzeczy.

— Może zauważył, że za nim idziemy? — zasugerowałam. Wyjrzałam zza drzewa w jego kierunku. Przyglądałam się jego plecom opartym o ławkę. Byłyśmy dobre 50 metrów od niego i szeptałyśmy, więc mało prawdopodobne, żeby nas usłyszał, albo zobaczył. Nigdy nikogo nie śledziłam, ale obejrzałam wystarczająco dużo filmów, żeby wiedzieć, jak się zachowywać w podobnej sytuacji.

— Cii! Otwiera plecak! — Marta przyglądała mu się, wyglądając z drugiej strony drzewa. Natychmiast zajęłam swoją pozycję obserwacyjną. W napięciu czekałyśmy na rozwój sytuacji.

Sąsiad chwilę pogrzebał w plecaku i wyciągnął z niego... książkę. Miałam dość. Zastanawiałam się, co mi w ogóle wpadło do łba. To była głupota od samego początku. Dwie dorosłe kobiety skradają się przez pół parku i śledzą bogu ducha winnego człowieka, który wyszedł poczytać książkę. Może gdybyśmy były w podstawówce, nie brzmiałyby to aż tak niedorzecznie.

— Nie tego się spodziewałam. — Marta westchnęła. Mina od razu jej spochmurniała, mimo że na niebie świeciło pięknie słońce. Narobiła sobie nadziei na to, że dopadnie seryjnego mordercę. Kompletnie nie rozumiałam jej zapału.

— A mnie to ani trochę nie dziwi. Ludzie nie mordują się w parku w takie dni jak ten.

— To byłby genialny motyw, nikt by się nie domyślił!

— Najwidoczniej nawet morderca się nie domyślił. Jesteś zbyt inteligentna. Może powinnaś zostać mordercą? — zasugerowałam i obie się roześmiałyśmy.

— No trudno. Nie udało się tym razem. Wracamy?

— Jak chcesz, to wracaj. Ja zostaję. Tu jest całkiem przyjemnie. — Rozsiadłam się wygodnie pod drzewem i łapałam promienie słońca.

— Rób jak uważasz, ja wracam. Za dużo świeżego powietrza się nałykałam, a papierosy zostawiłam w mieszkaniu. Idę nakarmić raka. Trzymaj się. —

Machnęła na odchodne.

— Ty też się nie puszczaj — odpowiedziałam jej. Pomachałam oddalającym się ode mnie plecami, zaśmiałam się i zamknęłam oczy. Musiałam ochłonąć po zabawie w detektywów.

Słońce delikatnie ogrzewało bladą skórę przyzwyczajoną do chłódów zimy. W Radomiu potrafiło przeraźliwie mocno wiać. Wróciłam myślami do chwili, kiedy byłam z Igorem. To był środek zimy, a my wybraliśmy się na spacer po mieście. Najpierw przy pierwszej okazji kupił mi różę, a później odmarzały mi palce, kiedy ją niosłam. Nie oddałabym jej jednak za nic w świecie. Pamiętam jakby to było wczoraj. Zanim mi ją wręczył, zapytał, czy wiem, co oznaczają kolory róż. Wyłożył mi całą regułkę o tym, że białe to niewinność, a także tęsknota. Różowe to podziękowanie, pomarańczowe duma, żółte przyjaźń. Zatrzymał się na czerwonych. Powiedział: „A czerwone to...”, po czym mnie pocałował. Moja róża była czerwona. Serce waliło mi z radości tak mocno, że nie potrafiłam się opanować. Przez resztę spaceru podskakiwałam i wciąż się uśmiechałam. Oboje pociągaliśmy nosami przez mróz, ale szliśmy ramię w ramię słuchając muzyki puszczonej z jego telefonu. Dzieliliśmy się wszystkim, nawet słuchawkami. Tego, co między nami było nie sposób porównać do czegokolwiek innego.

— Przepraszam — obcy głos wyrwał mnie z fali wspomnień. Otworzyłam oczy i zobaczyłam młodego, wysokiego mężczyznę w militarnym płaszczu. Na bank nie miał skończonych trzydziestu lat. Powiedziałabym bardziej, że bliżej mu było do dwudziestu pięciu. Jasnobrązowe włosy burzyły się przy podmuchu wiatru, ale nie wpadały mu do oczu. Kończyły się na pół centymetra od nich. Oczy z kolei miał bardzo ładne. Intensywnie niebieskie. Zwykle niebieskoocy mają dość mętne tęczęwki. Stonowane, przybrudzone szarością. On miał szlachetne, czyste oczy.

Spojrzałam na niego nie wiedząc do końca, o co chodzi.

— Siedzi pani na trawie, więc pomyślałem, że ustąpię miejsca na ławce. — Wskazał miejsce, które zajmował, jakieś dziesięć kroków ode mnie.

— Dziękuję, nie ma potrzeby.

— Nie ubrudzi pani sobie płaszcza. Trawa jest dość brudna.

— Obawiam się, że na takie zabiegi odrobinkę za późno, zważywszy na to, że już siedzę na trawie. — Posłałam mu porozumiewawcze spojrzenie. Nie byłam szczególnie zadowolona, że przerwał moje rozmyślenia. Byłam w swoim szczęśliwym miejscu. Na chmurce, z której zostałam brutalnie zepchnięta w rzeczywistość. Takie upadki boją, a jak wiadomo, człowiek z obolałym tyłkiem nie należy do najzyczliwszych.

— Pani wybaczy. Racja, mogłem pomyśleć wcześniej. — Zaśmiał się dostojnie. Zastanawiałam się, ile czasu siedziałam pod drzewem. Nie mogło mi to zająć zbyt długo, a jednocześnie miałam w pamięci, że kiedy żegnałam się

z Martą, nikt nie siedział na tamtej ławce. — Może to przesadna opieszałość z mojej strony, ale byłbym wielce ukontentowany, gdyby dała się pani zaprosić na spacer w ramach rekompensaty za to, że nie pomyślałem wcześniej o ustąpieniu miejsca.

Podniosłam wzrok i spojrzałam uważniej na tego człowieka. Rany, z której choinki urwał się ten nieukontentowany koleś? I czy powinnam go ukontentować?

Nie wiem, czy wstałam, bo chciałam, czy dlatego, że byłam zaskoczona i ciekawa dalszego przebiegu rozmowy. Facet zaczął kobietę śpiącą (miałam w końcu zamknięte oczy) w parku i zapraszał ją na spacer. Nieumalowaną i nieuczesaną — warto podkreślić. Jakby tego było mało, pod zielonym płaszczykiem miałam górę od piżamy.

Kiedy się podniosłam, okazało się, że facet jest o głowę wyższy ode mnie.

— No dobra, chodźmy — przytaknęłam. Sama sobie się dziwiłam, że tak łatwo uległam.

— Nazywam się Kordian Żółkiewski, a pani madame?

— Yyy... Laura — odpowiedziałam dość niepewnie. Trochę jakbym zastanawiała się, czy na pewno tak się nazywam. Dziwny był cały ten Kordian. W jakimś stopniu przystojny, ale chyba jednak bardziej dziwny. Nie tak standardowo dziwny, ale też ciężko było go nazwać normalnym. Wyrwany z innej epoki — to najlepsze określenie.

— Miło mi. — Pocałował mnie w rękę, po czym wsunął ją sobie pod ramię i poprowadził mnie wzdłuż alejki. Chodziliśmy tak przez dłuższą chwilę. — Laura to imię pochodzenia łacińskiego. Charakteryzuje zwykle osoby, które nie są impulsywne. Bardziej ufają przemyśleniom i logice, niż intuicji. Ty również należysz do takich osób, Lauro?

— Mhm, no. — Błyskotliwa odpowiedź w moim wykonaniu. — A co znaczy twoje imię?

— Och, Kordian to imię wymyślone przez Słowackiego. Można szukać jego wyjaśnienia w łacinie, gdzie *cordis* znaczy serce. W dziewiętnastowiecznym słownictwie można również odnaleźć powiązanie ze słowem *kordiak*, czyli śmiałek. Jestem więc śmiałkiem o wrażliwym sercu. — Zaśmiał się, choć właściwsze byłoby określenie zachichotał. Jakoś tak grzecznie, bez przesadnej euforii. Znam ludzi, których śmiech usłyszałby cały park, gdyby uznali, że powiedzieli coś zabawnego. Może Kordian się powstrzymywał, bo i tekst nie należał do najlepszych.

— Śmiałkiem na pewno, w końcu zabrałaś na spacer dziewczynę, która spała pod drzewem. — Buchnęłam śmiechem. W moim wydaniu nie brzmiało to już tak dostojnie.

— Nie sądziłem...

— Nie! Nie spałam — wytłumaczyłam szybko. — Ale miałam zamknięte

oczy, więc mogło to tak wyglądać.

— Domyśliłem się, że nie śpisz. Musiałabyś być niespełna rozumu, żeby siadać pod drzewem i zasnąć, kiedy nie było przy tobie nikogo, kto mógłby cię pilnować.

— Zasadniczo jestem nowa w mieście i nie ma zbyt wielu osób, które mogłyby to zrobić. Staram się raczej nie zasypiać pod drzewami. Po prostu słońce tak ładnie świeci, że usiadłam i chciałam przez chwilę cieszyć się niedzielą, zanim wrócę do pracy — wytłumaczyłam. Zaskakująco dobrze czułam się w jego towarzystwie.

— Pracujesz w niedzielę? Karygodne zaniedbanie. Niedziela winna być dniem odpoczynku. Nawet Pan Bóg odpoczywał dnia siódmego.

— Mam zawód, w którym sama wyznaczam sobie godziny pracy. Moją niedzielą potrafi być wtorek, albo czwartek, kiedy normalni ludzie urabiają się po łokcie i czekają na weekend.

— Czym się zajmujesz? — zapytał. Miałam odpowiedzieć, ale coś zaświeciło prosto w moje biedne źrenice. Nie mogło tego dokonać słońce, bo — jak wiadomo — świeci z góry, a ja patrzyłam przed siebie. Zignorowałam pytanie i zaczęłam szukać wzrokiem jakiegoś głupiego dzieciaka bawiącego się lusterkiem. Nie udało mi się namierzyć żadnego cwaniaczka, ale okazało się, że prawie zatoczyliśmy koło po parku i wylądowaliśmy dość blisko ławki, na której czytał książkę mój sąsiad. Z niemałym zaskoczeniem odkryłam, że to on był sprawcą mojego oślepienia. Nie bawił się jednak lusterkiem — miał nóż. Trzymał go w jednej ręce, a drugą grzebał w plecaku. Serce natychmiast zaczęło mi bić szybciej.

— Jeśli to prywatna informacja, to wybacz opieszałość. Nie musisz odpowiadać. — Kordian nie zauważył, że kompletnie go olałam. Moje myśli pognały w kierunku tyłu głowy, którego już nigdy nie zapomnę, choć wyglądał tak zwyczajnie i typowo.

Poczułam, że muszę jak najszybciej pozbyć się towarzysza.

— Tak, tak, tak... słuchaj, bardzo miło mi się z tobą rozmawiało.

— Czy moje towarzystwo zaczyna cię nużyć, Lauro? — zapytał. Wyglądał na strasznie przejętego.

— Nie, było mi bardzo miło, ale muszę już uciekać. Przypomniałam sobie o bardzo ważnej sprawie. Kota muszę nakarmić i w ogóle.

— Rozumiem, nie zatrzymuję — przytaknął. Ja w tym czasie kilkakrotnie odwróciłam się w stronę sąsiada. Z plecaka wyciągnął osetkę i zaczął na niej ostrzyć nóż. Byłam przerażona, a Kordian nie miał zamiaru odpuścić. — Może jednak uraczysz mnie swoim numerem telefonu i jeszcze kiedyś wybierzemy się na spacer?

— Jasne, chętnie — odpowiedziałam i szybko podyktowałam mu swój

numer. — Ale teraz już mi wybaczyć, muszę szybko zadzwonić.

— Oczywiście, już przestaję niepokoić. Miłego dnia, Lauro. — Ukłonił się i odszedł tyłem. Cały czas mi się przypatrywał, jakby chciał sprawdzić, w którą stronę pójdę. Z natury jestem osobą złośliwą, więc nie ruszyłam się o krok. Odpowiadałam uśmiechem na jego uśmiech, a w międzyczasie wykręcałam numer do Marty.

— Marta? Miałaś rację! On jest mordercą! — zaczęłam krzyczeć szeptem. — Widziałam jak wyciąga nóż i go ostrzy!

— Widzisz go?

— Siedzi na ławce — powiedziałam. Obejrzałam się za siebie, żeby upewnić się w stanie sytuacji. Niestety sąsiad zdążył zniknąć z pola widzenia. — Cholera! Poszedł gdzieś! Nie widzę go.

— Poszukaj, nie możesz go zgubić. Idź do ławki. Zajmij jego miejsce i się rozejrzyj. Zobacz, co widział. Może to da nam jakiś punkt odniesienia.

— Dobra, idę.

— Dopalę papierosa i zaraz do ciebie biegnę — powiedziała. Ja tymczasem pognałam do ławki. Kilka razy obejrzałam się za siebie, czy Kordian nie śledzi mojego postępowania. Cały czas miałam też ustawiony radar na szare prochowce, ale akurat w tej chwili nikt w takowym się nie pojawił. Wszyscy szaroprowcowcy pochowali się po krzakach.

Jak niecieńko się domyślić, nie udało mi się znaleźć sąsiada. Kiedy dołączyła do mnie Marta, usiadłyśmy razem na tej nieszczęsnej ławce i płakałyśmy nad rozlanym mlekiem. Sąsiada nie było, narzędzia zbrodni nie było, śladów nie było. Jedyne, co po sobie zostawił, to okruszki chleba dla gołębi, które co chwilę przylatywały i dziobały między naszymi nogami. Marta wymierzała w nie solidne kopniaki, ale na szczęście ani razu nie udało jej się dosięgnąć celu. Pierzaste szaraki odlatywały, by po chwili powrócić na miejsce i dokończyć posiłek.

— Nie rozumiem, jak mógł ci uciec.

— To był moment. Żegnałam się i na chwilę odwróciłam wzrok. Potem od razu do ciebie zadzwoniłam, a on w tym czasie się ulotnił — wytłumaczyłam.

— Ciekawe, czy kogoś złapał.

— Jeśli nawet, to raczej nikogo nie zamordował. Wciąż mamy szansę go złapać. Jest w końcu naszym sąsiadem, możemy go pilnować. Obserwować, czy gdzieś wychodzi. Raczej nie zabierze nikogo do mieszkania, bo byśmy usłyszały. Przez prawie miesiąc nie zostawi też ofiary samej. Będzie musiał choćby do niej zaglądać, a wtedy go namierzemy.

W mojej głowie układał się kompletny plan. Byłam w stanie poświęcić swój czas dla dobra ludzkości. Nawet jeśli facet już namierzył ofiarę, to nikt nie miał pewności, kogo wylosuje następnym razem.

— Da się to zrobić — bąknęła Marta. Nie przejawiała większego entuzjizmu

pomysłem. Nic z tego nie rozumiałam. Wcześniej była prowokatorką całego zamieszania.

— No i wciąż niepokoi mnie sprawa poprzednich ofiar. Rękę bym sobie dała uciąć, że znałam jednego z mężczyzn, tylko nie mogę sobie przypomnieć skąd. Masz tak czasami? Wiesz, że kogoś znasz, ale nie możesz skojarzyć konkretnej sytuacji.

— Zdarza się każdemu. Nie zastanawiaj się nad tym za dużo. Mi na przykład mocno utkwiał w głowie facet, którego ostatnio widziałam w supermarkecie. Przez dwa dni się zastanawiałam, skąd go znam. Później jak oglądałam „*House of cards*” to skojarzyłam, że po prostu był łudząco podobny do jednego z aktorów.

— Możliwe. To też się zdarza.

— Cóż, trzeba żyć dalej. Jeśli nasz morderca kogoś porwał, to w ciągu kilku dni powinny się pokazać jakieś ogłoszenia o zaginięciu. Teraz media trąbią o każdej pierdole w obawie o to, że znowu coś przeoczą.

— Odliczanie trwa dalej. — Westchnęłam. Nie było łatwo pogodzić się ze świadomością przegranej. Na szczęście to była tylko bitwa. Wojna wciąż była przed nami.

Rozdział 4

Od incydentu w parku minęło czternaście dni. Bie dwa tygodnie siedziałam jak na szpilkach i oglądałam każde wydanie wiadomości. Często siedziałam po cichu i nasłuchiwałam, czy za ścianą cokolwiek się dzieje. Przez kilka pierwszych dni martwa cisza mnie niepokoiła i doprowadzała wręcz do paranoi. Później zaczęłam racjonalizować całą sytuację i tłumaczyłam sobie, że musiałyśmy się przeliczyć. Nie było przecież żadnych konkretnych dowodów na to, że sąsiad kogoś porwał. Mógł ostrzyć nóż chociażby po to, żeby ukroić kawałek chleba i rozrzucić go gołębiom. Nie ogłoszono również żadnego nowego zgonu, albo zaginięcia. Miałam wrażenie, że to cisza przed burzą, miasto wydawało się oazą spokoju. Sporadycznie zdarzały się bójki, albo mniejsze rozróbki, czasem jakiś wypadek samochodowy, ale nic większego. Chciałoby się rzec, że człowiek mógł bez obaw wyjść na miasto i zapomnieć o zmartwieniach.

Powoli dochodziłam do siebie i przestałam ze strachem reagować na każdy najmniejszy hałas. Spotkałam się również kilkakrotnie z Kordianem, który swoim dystyngowanym zachowaniem i urokiem sprawił, że miałam ochotę na więcej. Traktował mnie jak damę. Sam zresztą uważał się za szlachcica. Pochodził z rodu Żółkiewskich. Podobno był potomkiem samego hetmana Stanisława Żółkiewskiego, po którym zostało wiele spisanych dzieł i listów. To on był pierwszym Europejczykiem, który zdobył Rosję i jedynym, który okupował jej stolicę. Jak twierdził Kordian, to właśnie on spopularyzował zaczerpnięte od Horacego stwierdzenie: „pięknie i słodko umrzeć za ojczyznę”. Byłam skora uwierzyć w jego opowieści, bo rzeczywiście biła od niego jakaś dziwna aura wyższości. I to nie dlatego, że miał prawie dwa metry wzrostu. Czasami zachowywał się jak wyjęty z eposu rycerskiego. Przyznał się nawet, że ćwiczy szermierkę i ma w swoim mieszkaniu kilka mieczy, szabli, szpad i rapierów. Te ostatnie lubił najbardziej. Nie znałam się na broni białej, więc obiecał mi ją kiedyś zaprezentować, a nawet zaoferował lekcję szermierki i jazdy konnej. Ani trochę nie zaskoczyło mnie, że jego rodzina jest w posiadaniu niemałej stadniny za miastem.

Brakowało mi w nim tylko jednego — iskry. Nie potrafiłam tego wytłumaczyć, ale był dla mnie bardziej kolegą, niż materiałem na partnera. Nie potrafiłam mówić o relacji, którą ciężko określić, więc wygodniej było w ogóle nie wspominać o swoim zalotniku, choć Marta niejednokrotnie dopytywała o to, czy kogoś poznałam. Pewnego wieczoru, kiedy po raz kolejny odpowiadałam przecząco, zacisnęła wargi. Klepnęła się w kolano i wstała.

— Pora to zmienić — zarządziła.

— Co masz na myśli?

— Zbieraj się, wychodzimy na miasto.

Jęknęłam w ramach odpowiedzi. Liczyłam, że udało mi się stworzyć bardzo przekonujący obraz. Miałam przerażoną minę i siedziałam w starym, rozciągniętym swetrze. To nie była zbyt improwana stylizacja, a ja nie miałam najmniejszej ochoty, żeby cokolwiek zmieniać. Staralam się wzbudzić w dziewczynie litość, ale jej mina nie wskazywała na to, żeby dobrze mi szło.

— Dobrodziejko, pani złociutka, miej litość...

— Nie. Wychodzimy. Ubierz się w coś seksownego i przyjdź do mnie, to cię pomaluję. Będziemy się świetnie bawiły.

— Ale ja nie mam w co się ubrać.

— Na miłość boską! To przyjdź do mnie, coś ci znajdę.

— Ale ja nie mam siły...

— Jak cię kopnę, to będziesz miała — upierała się przy swoim.

— Ale...

— Żadnego „ale”.

— Ale dlaczego?

— Dlatego, że mogę ci zaproponować zabawę w chowanego.

— W chowanego? Mam się chować?

— Chował to się będzie mój but w twojej dupie, jeśli zaraz się nie ruszysz,

Laura — warknęła. — Rany boskie... zmuszasz mnie do wyciągnięcia argumentu ostatecznego!

— Czyli...?

— Idziesz i chuj! Koniec dyskusji. Widzę cię u mnie za dwadzieścia minut — oznajmiła, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła. A ja co? Nie miałam innego wyjścia, jak tylko położyć się na łóżku i jęczeć do siebie o tym, że bardzo mi się nie chce. Spędziłam tak dobre dziesięć minut, po czym zorientowałam się, że jeśli szybko nie zrobię czegoś ze sobą, to naprawdę wyląduję w mieście w rozciągniętym swetrze. Nie potrafiłam się sprzeciwić Marcie. Od pierwszej chwili, kiedy tylko ją zobaczyłam, wiedziałam, że to nie jest osoba, której można narzucać swoją wolę.

Stawiłam się u sąsiadki punktualnie, co do minuty. Zanim weszłam, serce podskoczyło mi do gardła. Za plecami usłyszałam kroki. I to nie były jakie — zatrzymały się przy pierwszych drzwiach. Tajemniczy sąsiad, którego podejrzewałyśmy o mordowanie ludzi stał dwa metry ode mnie. Odwróciłam głowę w jego stronę i zastygłam ze strachu. To był paranoiadalny rodzaj strachu, bo oczywiście nie zrobiłby mi niczego w miejscu, w którym w każdej chwili ktoś mógł się pojawić. Za dużo potencjalnych świadków.

— Dzień dobry — przywitał się, a ja dalej stałam jak zamurowana. — Niezbyt to grzeczne — powiedział już chyba sam do siebie, kiedy nie odpowiedziałam. Chwilę później zniknął za drzwiami swojego mieszkania. Stosunkowo dobrze zniosłam pierwszą konfrontację.

Tymczasem Marta czekała na mnie w kremowej, gustownej sukience kończącej się przed kolanem. Przylegała niczym bandaż do jej wyrzeźbionego ciała. Marta bez wątpienia wyglądała w niej zjawiskowo. Długie kolczyki zwisające jej z uszu podkreślały smukłą szyję i subtelnie kierowały wzrok na odsłonięte ramiona.

— Teraz będziemy się bawić w kopciuszka? — zapytałam od wejścia. Miałam na myśli to, że chciała mnie ubierać i malować przed wyjściem na bal, ale chyba nie zrozumiała, bo zamiast się zaśmiać, albo podłapać temat, prychnęła i przewróciła oczami. Zauważyłam, że robiła to dość często.

Marta wskazała mi kanapę w salonie, na której leżał chabrowy materiał. Podeszłam bliżej i wzięłam go do rąk.

— Pomóc ci? — zaproponowała właścicielka.

— Och, eee... poradzę sobie — zapewniłam, po czym dodałam już ciszej: — Chyba.

Zniknęłam za drzwiami łazienki, ale wciąż czułam na karku spojrzenie Marty. Tymczasem kiedy spojrzałam na siebie w lustrze, okazało się, że nie do końca rozumiem, na co patrzę. Sukienka była piękna. Nie potrafiłam się tylko oprzeć wrażeniu, że wyglądam jak podrzędna lafirynda. Dekolt miałam mocno wycięty i przykryty zaledwie cienką siateczką. W dodatku mogłabym przysiąc, że ubranie było o rozmiar za małe, bo materiał kończył się dosłownie cztery centymetry za moim tyłkiem.

Choć wydawało mi się, że zamknęłam drzwi, po chwili bezceremonialnie wparowała do mnie Marta. W rękach miała dziwne czarne pudło, z którego po kolei zaczęła wyciągać różne okrągłe i kwadratowe pojemniki oraz całą paletę pędzelków. Spojrzała na mnie przebiegle i zorganizowała zamach na moją twarz. Natura nie miała szans w starciu z pudrami, fluidami i innymi cudami świata kosmetycznego, które sprawiły, że w lustrze kompletnie przestałam się poznawać. To stworzenie, które się odbijało odrobinę przypominało mnie, ale było o kilka szczebli wyżej na drabinie społecznej. Przekręciłam głowę na bok i spojrzałam na siebie pod innym kątem. Nigdy nie przepadałam za makijażem, ale zaczynałam tego żałować. Na pocieszenie Marta zaproponowała kolejkę tequili. Nie odmówiłam. Gorzki smak aż mnie wykrzywił.

Kiedy Marta wyszła z łazienki, zaczęłam stroić do lustra głupie miny i ze zdumieniem odkryłam, że nawet wtedy wyglądam całkiem dobrze. Po chwili moja czarodziejka wróciła z lakierem do włosów i lokówką. Tym sposobem dorobiłam się fali na głowie, a falą po gardle spłynęła kolejna porcja ognia. Nigdy nie lubiłam alkoholu. To chyba dobrze, bo mawiają, że jeśli alkohol zaczyna komuś smakować, to już poważny problem.

— Nosisz rozmiar trzydzieści osiem, prawda?

— Tak. Kiedy ostatnio sprawdzałam, właśnie taki był — przytaknęłam.

Robiło mi się coraz bardziej wesoło, więc usiłowałam zwracać uwagę na to, żeby język nie zaczął mi się plątać.

— Włóż je. — Podała mi niebieskie szpilki. Obejrzałam je z każdej strony i jeszcze przez chwilę ważyłam w rękach, zanim w ogóle pomyślałam, że mogłabym je założyć.

— Myślałam, że masz większą stopę.

— Mam, ale te szpilki były na promocji. Myślałam, że może się rozciągną.

— Na mnie pasują. — Stałam na palcach, a później ostrożnie wsunęłam stopy w trzewiki.

Wypiłyśmy jeszcze kolejkę, trochę się pośmiałyśmy, a później w końcu wyszłyśmy z mieszkania. Czekala nas intensywna noc, bo już idąc po ulicy wzbudzałyśmy zainteresowanie przechodniów. Mężczyźni łypali na nas wzrokiem, a kobiety mordowały pogardą. Marta miała to wszystko za nic. Szła przed siebie pewnym krokiem z wysoko uniesioną głową. Usiłowałam imitować jej zachowanie i pokusiłabym się o stwierdzenie, że wychodziło mi to całkiem przyzwoicie. Kiedy dochodziłyśmy do skraju rynku, zalotne kiwanie biodrami i rozsiewanie zalotnych uśmiechów weszło mi w nawyk. Wydawało mi się, że każda kobieta ma głęboko w sobie gen uwodzicielki. We mnie rozbudziła go pożyczona sukienka, ostry makijaż i wysokie buty. Efekt był zadowalający, bo od wejścia do klubu musiałyśmy opętać się od facetów.

Usiadłyśmy przy barze, gdzie Marta spławiała wszystkich natrętów. Mnie z kolei zachęcała do tańca z każdym, który podszedł. Dawałam się wyciągać na parkiet, ale uciekałam, ilekroć facet zaczynał pozwalać sobie na zbyt wiele.

Kiedy wróciłam do miejsca, w którym siedziała moja towarzysząca, czekały na mnie trzy kieliszki. Marta namówiła jednego z adoratorów do postawienia nam kolejki. Nie wypadało odmówić.

— To jest właśnie Laura. — Wskazała na mnie. Facet zmierzył mnie wzrokiem i uśmiechnął się z zadowoleniem. Poczułam ciepło na policzkach i bynajmniej nie była to wina alkoholu. W jego oczach widziałam błysk, od którego aż przeszły mnie ciarki.

— Miło mi, jestem Damian. Zatańcz ze mną. — Nawet nie zapytał. Złapał mnie za biodro i pociągnął na parkiet. Nie miałam nic przeciwko, bo wyglądał niezłe. Biała koszula dodawała mu powagi, której z kolei ujmowały chochliki w oczach. Na kilometr było czuć, że facet wie, co robi. Nim skończył się pierwszy utwór, czułam na szyi jego nos. Duże dłonie przesuwają się po moim ciele, a ja poczułam się skrępowana. Kiedy obrócił mnie do siebie tyłem i docisnął do swojego krocza, poczułam na tyłku sporą wypukłość, co całkowicie mnie speszyło. Uciekłam do Marty, a kiedy opowiedziałam jej o tym, co zaszło, ta się tylko roześmiała. Złapała mnie za nadgarstek i bez słowa wyciągnęła z klubu.

Stała przed wejściem i wyciągnęła papierosa.

— Tu chodzi o zabawę — powiedziała. Patrzyła w przestrzeń przed sobą, ale wiedziałam, że kieruje te słowa do mnie. — O to, żeby czerpać z chwili. Daj sobie możliwość pocucia czegoś. Jeśli facet się do ciebie klei, to znaczy, że mu się podoba. To chyba dobrze, nie?

Spojrzała na mnie przez krótką chwilę. Czekala tylko aż pokiwam głową. Traktowała mnie jak uczennicę, która powinna wysłuchać wykładu.

— Nie umiesz uwodzić, a to podstawowa umiejętność w miejskiej dżungli — kontynuowała. — Teraz nie wystarczy ładna buzia. Piękności jest na pęczki. Co trzecia jest modelką, co druga fotomodelką. Trzeba mieć coś więcej, coś więcej zaoferować. Ludzie przychodzą się tu bawić, więc daj im się bawić. Baw się. Potrafisz?

— Oczywiście, że potrafię.

— Pokaż mi to. — Spojrzała na mnie przesywającym wzrokiem. — Jak wejdziemy, uwiedz Damiana. Spraw, żeby jadł ci z ręki. Doprowadź go do wrzenia. Chcę widzieć, że ma ochotę cię pożreć.

— Potrafię to zrobić. — Nie byłam pewna, czy usiłowałam przekonać do tego ją czy siebie.

— Wątpię, laleczko z zadupia. — Prychnęła, a ja nie potrafiłam nawet odpowiedzieć. Zszokowały mnie jej słowa. Może Radom to nie centrum świata, ale znam wiele większych zadupi.

— Nie nazywaj mnie tak! — oburzyłam się.

— No to udowodnij, że się mylę. Uwiedz Damiana.

— Nie będę uwodzić człowieka, do którego nic nie czuję i z którym nie chcę być. To by była zabawa jego uczuciami. Nie jestem taka.

— Durna pało, przecież on tego chce. Nie widziałas po nim, że to nie jest typ związkowca? On chce wyjść i się pobawić. Co w tym złego?

— To nie jest w moim stylu i tyle.

— Bo nie potrafisz.

— Potrafię.

— Udowodnij. Dam ci stowę, jeśli powie, że cię pragnie.

— Wystarczy, żeby to powiedział? — usiłowałam się upewnić. Promile we krwi zachęcały mnie do podjęcia wyzwania i w końcu uścisnęłam jej dłoń. Głupia duma nie pozwoliła mi odpuścić. Kiedy wróciłyśmy do klubu, Marta klepnęła mnie w tyłek na rozpęd. Na rauszu podeszłam więc do Damiana, który zdążył już zacząć bajerować inną laskę. Złapałam go za rękę i odciągnęłam.

— Chcę jeszcze — powiedziała z zalotnym uśmiechem. Bez słowa odszedł od tamtej dziewczyny i podążył za mną. Wiedziałam, że jestem w stanie tego dokonać. Poczułam, że gram z samą sobą w jakąś dziwną grę. Chciałam sprawdzić, jak daleko mogę się posunąć.

Zaczęłam tańczyć bardziej sensualnie, ocierałam się o jego ciało i widziałam,

jak to na niego działa. Nie uciekłam, kiedy po raz kolejny obrócił mnie do siebie tyłem i przysunął biodra do mojego tyłka. Odrzuciłam włosy i odchyliłam głowę, a on jak na sygnał zaczął całować odkryty kawałek szyi. Zatoczyłam kilka kółek biodrami.

— Jesteś niesamowita — wysyczał mi do ucha. Podziękowałam i zarzuciłam mu ręce na szyję. Usiłował mnie pocałować, ale uchyliłam się tak, że jego usta wylądowały na obojczyku. Mruknął z zadowolenia. Uznałam, że właśnie wygrałam. Facet wyraźnie się na mnie napalił.

Może było to odrobinę brutalne, ale wyrwałam się i uciekłam do Marty.

— Widziałaś? Mówiłam, że potrafię.

— Dlaczego go zostawiłaś? — zdziwiła się.

— Koleś się napalił, chciał się ze mną całować.

— To dlaczego nie dałaś się pocałować?

— No bo... praktycznie się nie znamy?

— Matko boska, robisz z igły widły, to tylko pocałunek — stwierdziła, po czym chwyciła mnie za kark i przyciągnęła do siebie. Wpiła swoje twarde wargi w moje. Smakowała papierosami, jednak ten fakt dotarł do mojej świadomości dopiero po chwili, kiedy już opadł pierwszy szok. — Widzisz, to nic strasznego.

— Aee... pocałowałaś mnie?

— Mam to powtórzyć? — zapytała, a mnie zatkało. Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć, więc zaczęłam rzucać nieskładnie sylabami i wymachiwać rękami, jakby to miało cokolwiek wytłumaczyć.

Marta przyciągnęła mnie po raz kolejny, ale tym razem zbliżyła twarz do ucha.

— Idź tam i daj mu to, czego pragnie. Bądź jego boginią. Spraw, żeby cały świat przestał się dla niego liczyć. Ja w tym czasie będę sobie wyobrażała, co ci robi, kiedy znajdziecie się sami w toalecie. Jak zerwie z ciebie majtki i zerznie cię tak, że będziesz piszczała z radości — wyszeptała, jeśli w głośnym klubie można w ogóle mówić o szepcie. Złapała mnie za tyłek, a ja poczułam, jak podnosi mi się ciśnienie.

Dobra, byłam pijana, ale nie aż tak bardzo, żeby mieć jakieś omamy słuchowe. Kłóciło się to równocześnie z moim zdrowym rozsądkiem, bo nie mogłam uwierzyć, że Marta naprawdę powiedziała do mnie coś takiego i wypchnęła mnie w łapy jakiegoś przypadkowego kolesia. Damian podszedł i zabrał mnie na parkiet, ale cały czas szukałam wzrokiem Marty. Zaczęła się przemieszczać, aż przy parkiecie zaczepiła ciemnoskórego mężczyznę. Zamieniła z nim dwa zdania, dotknęła jego krocza i posłała mi uśmiech, który mówił: „Baw się dobrze”. Wraz ze swoim nowym towarzyszem zniknęła za ścianą, a ja poczułam, że muszę ją znaleźć.

— Chodźmy do mnie, mieszkam dwie ulice stąd — zaproponował Damian.

Spojrzałam na niego jak na idiotę.

— Porąbało cię? — Odepchnęłam go i uciekłam w kierunku ściany, za którą zniknęła moja towarzyszka. Zaczęłam się o nią bać. Niestety nie znalazłam ani jej, ani tego faceta. Przez chwilę błąkałam się samotnie po klubie, ale nigdzie jej nie było. Musiałam się w końcu poddać.

Wyszłam samotnie i przeszłam przez rynek szukając rzucającej się w oczy kremowej sukienki. Zamiast niej, dostrzegłam coś zupełnie innego — czarną koszulę. Znałam tę koszulę. Mroczny mężczyzna, który mnie olał i po prostu sobie zniknął, siedział na ulicy i grał na gitarze. Ludzie ustawiali się w półkoło wokół niego i słuchali jak zahipnotyzowani. Mężczyzna grał niby dla nich, ale jednocześnie tylko dla siebie. Była w nim niezależność, która przyciągała bardziej niż talent, a takowego również nie można było mu odmówić.

Byłam tylko jednym z wielu przechodniów, ale kiedy podniósł wzrok, trafił dokładnie na mnie. Uśmiechnął się. Nie wiedzieć czemu, jego uśmiech mnie rozwścieczył. W moich myślach był już martwy. Co prawda zwykłemu śmiertelnikowi mógł się wydawać całkiem normalny, bo oddychał, miał puls i bijące serce, ale tak naprawdę był już trupem. Żył tylko dzięki sile mojej woli. Byłam niemal przekonana, że jeśli jeszcze raz na mnie spojrzy, to nie wytrzymam i przywalę mu tak, że aż się przekręci. Tym samym zmazując mu z ust ten irytujący uśmiešek.

Musiałam odejść. Jak najszybciej. Zrobiłam szybki zwrot na lewej pięcie i ruszyłam przed siebie. Potrząsnęłam głową, żeby pozbyć się uciążliwych myśli. Wyszło mi to nadzwyczaj dobrze, dlatego nagły dotyk dłoni na ramieniu miał prawo mnie przestraszyć.

— Dlaczego uciekaś? — zapytał niski, męski głos. Ten sam, który chwilę wcześniej komponował się z dźwiękiem gitary. Mój tajemniczy porzucacz kobiet w pubach. Denerwowało mnie to, że jego głos tak bardzo mi się podobał. Lekko zachrypnięty, jakby przepity. Tajemniczy. Mroczny. Na pewno zdawał sobie sprawę z tego, jak działa na kobiety.

— Nie uciekłam, zatrzymałam się tylko na chwilę, a teraz idę dalej. Nie wiem, o co ci chodzi.

— Nie teraz. Wtedy.

— Kiedy wtedy?

— Dobrze wiesz.

— Nie mam pojęcia — powiedziałam. Kłamałam. Tak naprawdę wiedziałam.

Denerwowało mnie to, że zachowuję się przy nim jak głupia gówniara. Czułam się bezbronna, a wcześniej tylko raz w życiu trafiłam na osobę, która działała na mnie w podobny sposób. Tym razem było inaczej. Przy Igorze czułam się bezpieczna. Jakby już nigdy nic mi nie groziło. Kochałam to, że moje myśli się

przy nim uspokajały. Tymczasem przy tym tajemniczym mężczyźnie po prostu traciłam grunt pod nogami. Nie wiedziałam nic.

— Uciekłaś. Wyszedłem tylko na chwilę załatwić kilka spraw, a kiedy wróciłem, ciebie już nie było. I nawet pantofelka nie została.

— Ooo nieee... nie w mówisz mi tego. To ty uciekłeś. Czekałam wystarczająco długo. W dodatku kiedy wyszłam do toalety, twoje rzeczy zniknęły. Po prostu mnie olałeś!

Trochę puszczały mi nerwy, a jego cwaniacki uśmiech wcale nie pomagał mi się opanować. Zaśmiał się. Po prostu się zaśmiał.

— Głupiutka... chodź tu. — Złapał mnie za łokieć i przyciągnął do siebie. Zderzyłam się z jego ciałem, ale nie miałam zamiaru się przytulić. On za to pogłaskał mnie po głowie. — Nie uciekłbym od tak uroczej istoty jak ty, Lauro.

Pamiętał moje imię. Byłam w szoku.

— Chodź, wynagrodzę ci to. — Poklepał mnie po plecach, po czym równie bezceremonialnie, jak chwilę wcześniej mnie przyciągnął, odsunął się tak, że wyładowałam przytulona do pustej przestrzeni. Złapał mnie za rękę i porwał w nieznaną.

Dopiero po chwili zauważyłam, że nie ma ze sobą gitary. Zdziwiło mnie to, ponieważ chwilę wcześniej grał na ulicy i miał ją ze sobą, a podejrzewałam, że nie zostawiłby jej samej. Przeraziła mnie tajemnicza aura, którą wokół siebie roztaczał. Niczego nie chciał tłumaczyć i niewiele mówił o sobie. Nawet mi się nie przedstawił, choć wymagała tego zwykła grzeczność.

— Gdzie mnie ciągniesz?

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się i puścił moją dłoń. Zamiast tego chwycił mnie za biodro i przyciągnął bliżej siebie. Niczego nie tłumaczył, tylko szedł przed siebie.

— Jasne, pomilczmy sobie...

— Cisza jest dużo bardziej wartościowa niż pieprzenie o dupie Maryni.

— Tak, pod warunkiem, że wiesz, dokąd idziesz i kto cię ciągnie za rękę.

— Ja wiem, dokąd idę. — Znowu się zaśmiał. Tego już było za wiele. Wyrwałam się, a on spiorunował mnie wzrokiem. Miał usta ściśnięte w cienką linię. Samą mimiką mówił: „Nigdy więcej tego nie rób”, a ja podświadomie czułam, że czeka mnie kara.

Nie odważyłam się odezwać, kiedy zrobił krok w moim kierunku. Wyciągnął rękę, a ja zadrżałam. On tymczasem chwycił mnie za kark i pocałował krótko. Za krótko. Te dwie sekundy sprawiły, że przestałam się bać. Zamiast tego pojawiło się we mnie napięcie. Byłam zawiedziona, że tak szybko się odsunął. Dotykał mnie tak krótko, że nie zdążyłam nawet zapamiętać smaku jego ust. Jedno za to musiałam mu przyznać — potrafił sprawić, żeby kobieta poszła za nim dokładnie tam, gdzie chciał. Kiedy złapał mnie ponownie za rękę i ruszył w dalszą trasę, nie odezwałam

się ani słowem. W głowie miałam jeden wielki mętlik. Usiłowałam zrozumieć, co się stało i dlaczego podobało mi się to doświadczenie.

Tym sposobem w końcu znaleźliśmy się w niewielkim pubie w okolicach rynku. W oczy rzucał się przede wszystkim wielki plakat motocykla. Zaczynałam dostrzegać schemat miejsc, które lubił mój towarzysz. Surowe wnętrza, minimum dodatków i klimat barów motocyklowych. Tym razem dominowała stal i drewno. Nie mogłam znaleźć ani jednego wygodnego fotela, czy kanapy. W ogóle siedzeń było bardzo mało. Ludzie stali z butelkami piwa w ręce i rozmawiali lub słuchali zespołu, który grał w rogu niewielkiej sali. Wokalista z gitarą i perkusista z cajonem. Obaj uśmiechnęli się, kiedy zobaczyli mojego towarzysza. Wokalista ogłosił krótką przerwę, odłożył gitarę i szybko przebił się przez ludzi, żeby do nas dobiec.

— Elia, jesteś tutaj! — ucieszył się.

— Co ty masz z tym wiecznym potwierdzaniem rzeczywistości? Tak, jestem tu. Nie musisz mnie o tym informować. Potrzebujesz tego do czegoś? To musi mieć głębsze podłoże psychologiczne.

— Przepraszam. Zaskoczyłeś mnie. Twoja gitara...

— Nie jestem tu po to, żeby grać. — Wskazał na mnie.

— Nawet jednego kawałeczka? Ostatnio na jammie zmiotliśmy wszystkich. Kilka moich solówek i twoich riffów mogłoby zapewnić nam chleb przez parę miesięcy.

— Grasz chujowe solówki.

— Mam taką jedną knajpę, w której...

— Biznesy załatwimy innym razem — uciął, chwycił mnie za biodro i pociągnął do sąsiedniego pomieszczenia, w którym było odrobinę ciszej. Ludzi również było mniej. Wokalista poszedł za nami i cały czas próbował go namówić na wspólny występ. W końcu Elia obiecał się nad tym zastanowić.

— Siadaj, gdzie tylko zechcesz — polecił. — Za chwilę wracam i jeśli tym razem uciekniesz, to się naprawdę zdenerwuję.

Nie miałam zamiaru uciekać. Grzecznie doczekałam jego powrotu. Zanim się do mnie dosiadł, zapewnił mi towarzystwo lampki wina i wyszedł ponownie. Kiedy w końcu wrócił, westchnął ciężko i pokręcił głową.

— Człowiek nie ma ani chwili spokoju w tym cholernym mieście — powiedział.

— Właśnie widzę. Co chwilę coś załatwiasz, Elia?

— Można tak powiedzieć.

— Elia to pseudonim?

— To imię. Elia, to z włoskiego Eliasz.

— Jesteś Włochem?

— Moja rodzina stamtąd pochodzi, ale ja przez większą część życia

mieszkam w Polsce — powiedział, a ja nareszcie dowiedziałam się czegoś na jego temat.

— Wolisz Eliasza, czy Elia?

— Mów do mnie jak chcesz. Nazwy to tylko puste dźwięki.

Dalsza część rozmowy przebiegła już bez większych komplikacji. Elia w dalszym ciągu był tajemniczy i fascynujący, ale przestałam się przy nim stresować. Im więcej kieliszków wina opróżnialiśmy, tym lepiej nam się rozmawiało. Ludzie kręcili się wokół nas i niejednokrotnie zaczepiali mojego towarzysza, ale on zawsze odprawiał ich dość szybko i wracał do rozmowy ze mną. Opuszczał mnie tylko po to, żeby przynieść kolejne kieliszki wina, albo zapalić przed wejściem do pubu. Tak zleciała nam cała noc i przeraziłam się, kiedy zauważyłam, że wskazówka zegarka zbliża się do szóstej rano. Byliśmy tak pochłonięci sobą, że nawet nie zauważyłam, kiedy cały lokal opustoszał. Poza mną w pubie został tylko barman i jakiś facet przy barze.

Nie chciałam dłużej czekać. Zebrałam swoje rzeczy i ruszyłam do wyjścia. Elia stał przy szybie i opierał się o ścianę. Zwrócił wzrok w moim kierunku w tej samej sekundzie, kiedy otworzyłam drzwi.

— Lauro, wróć do środka. Jest zimno.

— Późno już, pora na mnie. Chciałam się pożegnać — poinformowałam.

— Nie żartuj...

— Nie żartuję. Dochodzi szósta. Było mi bardzo miło. — Podeszłam i przytuliłam się do niego.

— Czekał, odwiozę cię.

— Żartujesz? Piłeś.

— Czekał, mówię. — Złapał mnie za rękę. Zaciągnął się szybko papierosem, wypuścił dym i przyciągnął mnie bliżej. Złapał w dłonie moją twarz i pocałował krótko w usta. Po chwili oderwał dłoń i cisnął w chodnik niedopaloną papierosem. Obrócił mnie tak, że zamieniliśmy się miejscami i teraz to on przyciskał mnie do ściany. Po raz kolejny mnie pocałował i tym razem nie odrywał się tak szybko. Miałam wystarczająco dużo czasu, żeby stwierdzić, że smakuje winem i jagodowymi papierosami. Zdażyłam też poczuć każdą wypukłość jego ciała i chłód stalowej klamry od paska, kiedy przyciskał się do mnie tak, że niemal brakowało mi tchu.

— Elia...

— Odprowadzę cię — uparł się.

Poszliśmy pod właściwy adres, a kiedy dotarliśmy Elia zmarszczył brwi.

— Tutaj mieszkasz? — zapytał z niesmakiem.

— Coś nie tak?

— Nieważne. Złe wspomnienia — uciał.

Przeraziło mnie, kiedy chwycił za klamkę i wszedł za mną. Nie

protestowałam, choć wiedziałam, co miał w planach. Chciał wejść do mnie i to nie na herbatę. Żadne z nas nie powiedziało na ten temat ani słowa, ale to się czuje — oboje doskonale wiedzieliśmy, kiedy wszedł za mną do windy. Wcisnęłam odpowiedni numer piętra, a Elia znowu się przysunął i zaczął mnie całować.

— Laura...

— Tak? — odpowiedziałam między pocałunkami.

— Kiedyś zerżnę cię w tej windzie — powiedział. Te słowa wywołały we mnie dreszcz podniecenia, którego się nie spodziewałam. Wyobrażenia zalały moje myśli i zapragnęłam, żeby wprowadził słowa w czyn.

— Dlaczego nie zrobisz tego teraz? — zapytałam na tyle spokojnie, na ile byłam w stanie. Elia zawahał się i przez chwilę milczał.

— Jestem wystarczająco trzeźwy, żeby wiedzieć, że jestem na to zbyt pijany — powiedział i ugryzł mnie w szyję.

Winda akurat dojechała na właściwe piętro. Drzwi rozsunęły się szybciej niż bym tego chciała, a ja wylądowałam między ścianą, a dyszącym mi w policzek Eliaszem. Jego usta odnalazły moją szyję, a ja mruknęłam z zadowolenia. Przyciągnęłam go do siebie i chwyciłam za pośladki. Nie był dłużny, bo zacisnął swoje szorstkie palce na moim cycku. Nie minęło dziesięć sekund, a ta sama dłoń wylądowała pod sukienką. Odsunął na bok koronkę majtek i zatoczył kilka kółek palcami. Jęknęłam z zachwytu.

— Ciii... dzisiaj chcę cię tylko spróbować. Pieprzyć możemy się później — powiedział i wyciągnął rękę. Najpierw powąchał palce i zamruczał, a później oblizwał je patrząc mi prosto w oczy.

— Ale... — Brakowało mi słów. Nie wiedziałam jak mam się zachować. Nie rozumiałam ani swoich pragnień, ani jego zachowania.

— Dobranoc — powiedział i pocałował mnie po raz ostatni. Wcale nie chciałam wchodzić do mieszkania. Przynajmniej nie sama. On jednak odwrócił się na pięcie. Winda nie zdążyła odjechać. Zanim drzwi się za nim zasunęły, widziałam jeszcze jak przykładał palce do nosa i zaciągał się moim zapachem.

Podniecenie szumiało mi w głowie bardziej niż alkohol. Oparłam się o ścianę i osunęłam po niej, aż wylądowałam tyłkiem na betonie. Musiałam ochłonać. O mało nie przespałam się z praktycznie obcym człowiekiem. Nie mogłam w to uwierzyć. Nigdy wcześniej nawet nie przyszło mi do głowy coś podobnego.

Uzalałabym się nad sobą pewnie dłuższą chwilę, gdyby nie dźwięk, który usłyszałam po swojej prawej stronie. Zza drzwi oznaczonych numerem szesnastym dobiegło mnie coś jak sapanie. Ten dźwięk zbliżał się do mnie, więc czym prędzej podniosłam swoje żalosne dupsko, wyciągnęłam z torebki klucze i uciekłam w bezpieczną przestrzeń swojego mieszkania.

Rozdział 5

Biegnę przed siebie. Jestem w tunelu, jest ciemno. Obok przejeżdżają samochody. Muszę być pod wiaduktem, bo słyszę nad sobą stukot kół pociągu o szyny. Biegnę coraz szybciej, bo wiem, że ktoś mnie goni. Nie mam pojęcia kto i dlaczego. Wiem tylko, że muszę uciec, bo inaczej stanie się coś bardzo złego. To poczucie dodaje mi siły, pędzę pomimo zmęczenia.

Obracam się, ale nie widzę nikogo za sobą. Kiedy wiadukt się kończy, wybiegam na duży plac. Są na nim rozmieszczone przystanki tramwajowe i autobusowe. Omijam je i biegnę w stronę parku, który wylania się tuż za nimi. Coś podpowiada mi, że właśnie tam powinnam się skierować. Niestety jestem za mało uważna i prawie wpadam pod autobus. Kierowca na mnie trąbi i hamuje z piskiem opon. Boję się, że nie dam rady uciec. Biegnę tak szybko, jak tylko potrafię. Zaciskam powieki i daję z siebie wszystko. Kiedy pisk ustaje, słyszę krzyki jakiejś kobiety. Nie jest przestraszona ani zszokowana, jest wściekła.

Zatrzymuję się. Mam na rękach krew. Jestem tak bardzo przerażona, że...

Budzę się.

Nieczęsto miewam koszmary. Od przeprowadzki do Wrocławia nie śniło mi się nic konkretnego. Jakieś bzdury niewarte zapamiętania, albo w ogóle pustka. Czarna dziura. Moment położenia się do snu i za chwilę pobudka o poranku. Tym razem obudziłam się jednak zlaną potem. Za oknem ledwo zaczęło się rozjaśniać.

Wstałam po butelkę wody. Napiłam się i usiadłam na łóżku. Wciąż byłam przerażona, nie czułam się bezpiecznie. Może zbyt intensywnie o tym myślałam. Powinnam skupić się na czymś innym i poczekać aż złe przeczucia same odejdą w niepamięć. Jezu, przecież to tylko sen, a nie natrętny świadek Jehowy.

Spojrzałam na sztalugę stojącą w rogu pokoju i zapaćkane płótno. Obiecałam sobie, że w końcu coś namaluję.

Ten koszmar to musiał być wynik nadmiaru informacji, które zalewały całe miasto. Morderca grasował. Był 25 kwietnia, a więc do kolejnego morderstwa pozostało jedenaście dni. Atmosfera robiła się napięta, a ja po raz pierwszy, odkąd pamiętam, cierpiałam na bezsenność. Kręciłam się na łóżku, przewracałam z boku na bok i nie mogłam znaleźć odpowiedniej pozycji. W dodatku niepokorne myśli nie dały mi ani na chwilę zapaść w sen.

Zastanawiałam się nad tym, co wydarzyło się między mną, a Eliaszem. Ten mężczyzna budził we mnie dziwną ekscytację. Był tajemnicą i przygodą, a takie rzeczy uzależniają. Z drugiej strony, nie potrafiłam powiedzieć, że chciałabym być z kimś takim. Byłam przekonana, że poza mną, romansował z wieloma kobietami. Najgorsze, że to również w jakiś pokręcony sposób sprawiało, że miałam ochotę być bliżej niego. Wyzwał we mnie nieznaną dotąd osobowość — nieokiełznaną

i figlarną. Z drugiej strony, spotykałam się dość regularnie z Kordianem. Nie chciałam oszukiwać. Nie chciałam również go tracić, bo choć w głębi duszy czułam, że nigdy go nie pokocham, to jednak byłam przy nim w jakiś sposób szczęśliwa. Dawał mi oparcie i bezpieczeństwo. Traktował mnie jak księżniczkę, a ja byłam mu za to szalenie wdzięczna. Nie potrafiłam jednak dać mu nic ponad wdzięczność. Nie rozumiałam, dlaczego nie dopuszczam do siebie nikogo, kto nie był krótkowłosym szatynem o oliwkowej karnacji i nie nazywał się Igor. Moje serce miało kształt Igora i tylko on do niego pasował. Tylko on sprawił, że wiedziałam od pierwszej chwili. Zakochałam się w nim, a on we mnie. Nie było piękniejszych słów ponad te, które od niego słyszałam. Nie było piękniejszych oczu ponad jego, kiedy wpatrywał się we mnie. Nie było piękniejszego zapachu ponad jego zapach. To fascynujące, bo można uwielbiać wiele rodzajów zapachów, ale nic nie pachnie tak dobrze, jak osoba, którą się kocha.

Zreferowałam Marcie cały sen, kiedy przysłała do mnie na herbatę. Takie wizyty bez zapowiedzi stały się dla nas czymś normalnym. Mieszkałyśmy obok siebie, a ona trochę zastępowała mi starszą siostrę. Lena była w podobnym wieku i charakterem również odrobinę przypominała Martę. Niestety wypadek, który spowodowałam na zawsze odebrał mi siostrę. Kiedy uderzyłyśmy w drzewo, ja wylądowałam na poduszce powietrznej i doznałam zaledwie wstrząsu mózgu, a Lena zderzyła się z szybą. Nigdy nie wybaczyła mi tego, co się stało i po wyjściu ze szpitala wyniosła się z mieszkania. Nie zostawiła po sobie żadnego śladu. Chciała odciąć się od wszystkich i wszystkiego.

Marta przyglądała mi się z uwagą. Jej bystre oczy niemal mnie przewiercały. Strasznie przypominała wtedy Lenę, a ja tak desperacko pragnęłam znaleźć choć namiastkę siostry, że byłam w stanie zrobić wszystko dla tej kobiety, którą ledwo znałam.

— To tylko sen. Sny bywają głupie i bezsensowne — powiedziała w końcu. — Ludzie też bywają bezsensowni. Słuchaj tego. Ostatnio do banku przyszedł facet, któremu nie przyznali kredytu. Chciał mnie przekupić, proponował pieniądze, żebym się za nim wstawiła, jako pracownica. Powiedziałam, że nie będzie łatwo. W końcu niespecjalnie potrzebuję teraz pieniędzy. Ostatnio dostałam ponad cztery tysiące z ubezpieczenia, ale on chyba nie załapał tego, co do niego powiedziałam.

— I co zrobił?

— Zaproponował mi osiem tysięcy. Wyśmiałam go i wezwałam ochronę. Szkoda słów. Lepiej opowiedz o tym, co ostatnio robiłaś z Kordianem.

— Nic specjalnego. Byliśmy na obiedzie, a później spacerowaliśmy po pergoli. Na koniec odwiózł mnie pod samo mieszkanie i pocałował na pożegnanie.

— Nic więcej? — Marta brzmiała na niepokieszoną. — Znacie się już trochę.

— To było nasze siódme spotkanie.

— A on nic? Nie próbował cię przelecieć?

— Jest staromodny i nie lubi się z niczym spieszyć. Mi też się nie spieszy. Jak już pewnie wspominałam, stosunkowo niedawno skończyłam związek, po którym się jeszcze nie pozbierałam.

— Tak, Igor. Mówiłaś. Nie mówiłaś tylko jak właściwie zerwaliście i kiedy to było — przypomniała.

— Wiesz, że nawet nie wiem? Wszystko było w porządku, nawet się nie kłóciliśmy. Pewnego dnia się obudziłam, a jego już nie było. To był dla mnie szok. Nie potrafię tego nawet odpowiednio umiejscowić w czasie. Nie jestem pewna, czy to było przed moim wypadkiem, czy już po nim. — Usiłowałam sięgnąć w głąb pamięci, ale wertując wspomnienia, nie znalazłam żadnego punktu zapalnego, który mógłby wywołać zerwanie.

— Nie przejmuj się, pewnie wyparłaś to z pamięci, bo samo wspomnienie było dla ciebie zbyt bolesne. To już przeszłość. Teraz masz swojego tajemniczego muzyka.

— Elia? Boję się tego człowieka. Przeraza mnie to, na ile sobie przy nim pozwalam — powiedziałam. W mojej głowie pojawiło się wspomnienie minionego wieczoru. Dotknęłam szyi, która wciąż jeszcze bolała mnie po ugryzieniu. Nie miałam żadnego śladu, więc pewnie doskonale wiedział, co robi. Jednocześnie nie mogłam przestać o nim myśleć, ilekroć dotykałam własnej skóry.

— Pewnie ma w sobie pierwiastek samca alfa. Uwielbiam takich mężczyzn. Jestem silną kobietą, ale są faceci, którzy potrafią mnie sobie podporządkować. Wiesz, to ten typ, który nawet wchodząc do grupy obcych ludzi potrafi sprawić, że wszyscy będą tańczyć tak, jak im zagra. — Marta uśmiechnęła się pod nosem. Zamknęła oczy, odchyliła głowę i zamruczała. Przesunęła paznokciami od szyi w stronę dekoltu. Odsunęła materiał bluzki tak, że moim oczom ukazał się fragment krwistoczerwonego biustonosza, z którego wylewały się jej piersi.

— Kordian jest zupełnie inny — wtrąciłam, zanim zatraciła się w sobie. Wciąż peszyła mnie jej swoboda. Potrafiła chodzić wokół mnie półnaga i nie miała z tym najmniejszego problemu. Wręcz przeciwnie, zachęcała mnie do tego samego twierdząc, że nagość jest szalenie wyzwalająca. Raz powiedziała nawet, że w dzisiejszych czasach ciało to tylko obiekt. W Internecie, filmach i teledyskach jest tyle nagości, że nikogo już nie razi kawałek odkrytej skóry. W saunach siedzi się całkowicie nago, a jest się otoczonym obcymi ludźmi i nikomu to nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie — ubranie na sobie czegokolwiek jest uważane za niestosowne. Ja z kolei nigdy nie potrafiłam się przełamać. Moje ciało to moja świątynia. Uważam, że oglądanie go powinno być zarezerwowane tylko dla wybranych.

— Kordian jest pizdą. Samcem beta. Takim, który nie weźmie tego, czego

by chciał, choćbyś wysyłała mu zielone światło. Pamiętaj tylko jedno: Faceci to hipokryci. Ci, którzy najgłośniej pierdołą o romantycznej miłości i uczuciach, zwykle robią to tylko i wyłącznie po to, żeby w końcu zamoczyć. Samce beta tak mają. Wiedzą, że przelecą dziewczynę tylko, jeśli jej się najpierw podliżą, albo wzbudzą litość. — Marta bywała brutalna w swoich osądach, ale podejrzewałam, że jej szorstkość ma swoje podstawy. Pewnie zraniło ją wielu facetów i wyciągnęła gorzkie lekcje ze swoich błędów. Ja nie miałam takich doświadczeń. Igor był jedynym mężczyzną w moim życiu.

— Ale tu nie chodzi tylko o seks.

— O, kochana. Jeśli tak mówisz, to znaczy, że nie przeżyłaś jeszcze dobrego seksu. — Prychnęła.

— Seks to nie wszystko. Nie zrozum mnie źle, seks to coś wspaniałego, ale kiedy masz z kimś głębszą więź, jest lepszy. Kiedy czujesz do tego wyjątkowego mężczyzny coś więcej, to sam pocałunek może sprawić, że miękną ci kolana. Nie da się tego pobić.

— Chcesz mieć głębszą więź z muzykiem, albo z pizdusiem?

— Nie wiem. Obaj sprawiają, że głupieję — powiedziałam.

Dopiero kiedy wróciłam do siebie zrozumiałam, jak wiele prawdy było w tym stwierdzeniu. Kordian sprawiał, że czułam się jak dama. Zachowywałam się przy nim spokojnie i z gracją. Chciałam dorównać mu poziomem, więc z wolnym czasie czytałam polecone przez niego książki. Starłam się być na bieżąco z wiadomościami i polityką, aby na każdy temat móc się wypowiedzieć. Byłam wniebowzięta, kiedy zabrał mnie do opery. Czerpałam wiele radości z obcowania ze sztuką i kulturą.

Z drugiej strony Elia wyzwał we mnie zwierzęcą naturę. Przy nim nie bałam się przekląć ani kopnąć kosza na śmieci. Przy Kordianie szczytem alkoholizmu było zamówienie drugiego kieliszka wina, a czasie kiedy Elia wlewał we mnie litry szkockiej, a później rozmawialiśmy o pierdołach siedząc pod mostem.

Nie potrafiłam wybrać między nimi, a co gorsze, nie potrafiłam wybrać, która Laura jest tą prawdziwą. Gdzieś po drodze zaczęłam zatracać siebie. Chciałam za wszelką cenę przypodobać się Marcie, więc przytakiwałam każdemu jej stwierdzeniu, a jeśli się postawiłam, to później przez pół dnia zastanawiałam się, czy się na mnie za to nie obrazi. Ona strasznie lubiła pić wino, więc sama w wolnych chwilach też piłam, żeby wyrobić sobie zdanie na temat różnych gatunków. Szybko do tego przywykłam i potrafiłam nawet w łazience trzymać otwartą butelkę.

Kiedy delikatny materiał ręcznika osuszał moją skórę, wciąż jeszcze czułam smak słodkiego wina. Obok mnie stał w połowie pusty Merlot. W kieliszku samotnie tkwiło zaledwie kilka kropli, które nie zdążyły osiągnąć języka.

Polubiłam czerwone wino. Jego bogactwo aromatów i smaków. Każde było inne. Każde odznaczało się indywidualnym charakterem. Jedne były silniejsze, inne delikatniejsze. Zupełnie jak mężczyźni.

Usiadłam na łóżku i włączyłam muzykę. Zrzuciłam z siebie ręcznik, żeby wetrzeć balsam w skórę. Dotyk własnych dłoni wydał mi się szalenie przyjemny. Niejednokrotnie słyszałam od Igora, że mam magiczne dłonie. Uwielbiał, kiedy go dotykałam. Wystarczyło tylko pogłaskać go po plecach, a mruczał jak rasowy tygrys. Od tego zwykle się zaczynało. Najpierw mruczał, a potem odwracał się do mnie i sprawiał, że zaczynałam jęczeć z rozkoszy. Nie ograniczaliśmy się tylko do łóżka. Często łądownaliśmy razem pod prysznicem.

Poczułam swój zapach. Mój, ten najintymniejszy. Igor twierdził, że wyjątkowo pięknie pachnę, wręcz uzależniająco. Wciągnęłam głębiej powietrze. Słodki zapach. Nie dziwiło mnie, że znalazł swojego zwolennika. Ja z kolei znalazłam na swojej drodze mężczyznę, który nauczył mnie czerpać przyjemność z dotyku. Na samo wspomnienie zsunęłam dłoń niżej. Między udami odnalazłam cel. Zamknęłam oczy i wróciłam myślami do wspólnych pryszniców. Igor przyciskał mnie do ściany. Znajdowałam się pomiędzy chłodnymi kafelkami, a jego gorącym ciałem. Przeczesał palcami swoje mokre włosy, a po jego twarzy spływały krople wody. W oczach miał pożądanie przeplatające się z miłością. Nie przestawaliśmy się w siebie wpatrywać, kiedy chwycił moje udo i przysuwał się bliżej. Drażnił mnie chwilę. Wiedział, że wariowałam, kiedy końcówką penisa pocierał o moje uda. Kiedy już doprowadzał mnie na skraj szaleństwa, jego źrenice minimalnie się rozszerzały i od razu wiedziałam, że to ten moment, kiedy wejdzie we mnie do samego końca. Bez zapowiedzi, bez ostrzeżenia.

Palcami zwiedziłam całe swoje ciało, ścisnęłam piersi, szczyptałam dumnie sterczące sutki. Dłoń szybko odnalazła najbardziej spragnione dotyku miejsce. Oddałabym wszystko, żeby Igor mnie dotykał, nie miałam ochoty na nikogo innego. Spoglądałam na odbicie swojej nagiej sylwetki. W lustrze widziałam szczupłą kobietę opartą o poduszkę. Wilgotne włosy opadały na ramiona lekkimi falami. Jedna dłoń jeszcze nie skończyła dotykać, kiedy druga dołączała do zabawy. To był dobry orgazm, choć nie umywał się do tych, które przeżywałam przy Igorze. Szukałam ulgi, ale nic mi jej nie dawało.

Rozpłakałam się. Leżałam na łóżku i płakałam. Bałam się, że już nigdy nie znajdę nikogo, kto będzie oddziaływał na mnie tak mocno jak Igor. Chciałam wierzyć, że nowa miłość jest w stanie przyćmić starą, ale gdzieś głęboko w podświadomości wiedziałam, że tego, co czułam, nic nie jest w stanie pobić. Prawdziwa miłość zdarza się tylko raz w życiu. Każda kolejna jest jedynie cieniem tej pierwszej.

Długo leżałam i próbowałam się uspokoić. Leniwy jazz sączył się

z głośników wypełniając pustkę. Podobno tylko mężczyźni są wyposażeni w coś, co nazywają pudełkiem nicości. To takie miejsce w ich głowach, w którym nie dzieje się kompletnie nic. To ciekawe, bo poczułam się jak mężczyzna — nie myślałam o niczym. Leżałam, oddychałam i na tym kończyło się moje funkcjonowanie.

Pukanie do drzwi wyrwało mnie z letargu. Pierwsze puknięcie mnie otrzeźwiło, a drugie wróciło jasność myśli. Zrozumiałam, że rzeczywiście ktoś puka. Trzecie uświadomiło mi, że najprawdopodobniej powinnam wstać. Czwarte, że jestem naga i wypadaloby najpierw coś na siebie założyć. Piąte, że aby to zrobić, muszę się poruszyć, choć przez dobre trzy sekundy wydawało mi się to niemożliwe.

Po szóstym stuknięciu zerwałam się z łóżka jak oparzona. Szybko wciągnęłam na siebie długi sweter, który zasłaniał wystarczająco dużo, żebym nie obawiała się nalotu niespodziewanych gości.

Popędziłam do drzwi, a kiedy tylko je uchyliłam, siła pchnięcia intruza sprawiła, że zrobiłam krok w tył. Marta wepchnęła mnie do mieszkania, trzasnęła drzwiami i zamknęła je na klucz.

— Teraz już mnie nie dopadnie — powiedziała.

Nie miałam zielonego pojęcia, co miała na myśli, ale ucieszyłam się, kiedy ją zobaczyłam. Spojrzałam na nią z ciekawością i czekałam na wyjaśnienia.

— Ten psychol mnie gonił — powiedziała spokojnie. Nie była ani przestraszona, ani zdyszana. Nie wyglądała, jakby ktoś ją gonił. Jej ruchy były zdecydowane i konkretne. Ręka jej nawet nie drgnęła, kiedy przekręcała klucz w zamku.

Już miałam zarzucić jej kłamstwo, kiedy rozległo się głośne walenie w drewno. O dziwo nie dotyczyło moich drzwi. Dźwięk dobiegał z klatki schodowej, po lewej stronie.

— Marta! Marta, otwieraj! — usłyszałyśmy męski głos. Nie byłam w stanie go zidentyfikować, ale był idealnym wytłumaczeniem słów sąsiadki. — Nie daruję ci tego! Otwórz, bo wywalę drzwi! Marta, do kurwy nędzy!

Marta przysłuchiwała się temu przez chwilę, po czym uśmiechnęła się delikatnie i zamknęła oczy na trzy sekundy. Psy w ten sposób przekazują sobie informację, że nie ma się czego bać.

— Zatrzymam się u ciebie na chwilę — powiedziała cicho i położyła dłoń na moim ramieniu. Zaprowadziła mnie do pokoju. Usiadłyśmy na łóżku i chwilę słuchałyśmy krzyków. W końcu do męskiego głosu dołączył głos sąsiadki z niższego piętra, która przegoniła hałaśliwego natręta. Dopiero wtedy emocje opadły i odważyłam się odezwać.

— Wybacz na minutkę. Dopiero co się kąpałam i jeszcze nie zdążyłam się ubrać. — Podniosłam się, ale powstrzymała mnie w pół ruchu.

— Nie, nie idź.

— Co się stało? — zapytałam ostrożnie.

— Nie chcę być teraz sama. Ten psychopata mnie podglądał.

— Nie rozumiem.

— Nasz kochany sąsiad „seryjny morderca”. Podglądał mnie. Myślał, że nie widzę. Kilka dni temu zauważyłam, że przyglądał mi się, kiedy siedziałam na balkonie w samym szlafroku. Wczoraj też mi się przyglądał, więc się uśmiechnęłam. Wszedł na balkon i chwilę porozmawialiśmy. Kiedy dzisiaj spotkałam go na ulicy, patrzył na mnie jak na posiłek. Psychol pewnie upatrzył mnie sobie za ofiarę, ale się nie dałam. Zaczepiłam pierwszego napakowanego kolesia, którego spotkałam i powiedziałam mu, że ten facet, który za mną idzie jest pedofilem, a potem uciekłam.

— Sprytnie. — Pokiwałam głową z uznaniem, bo zabrakło mi słów. Ja nie byłabym w stanie myśleć trzeźwo w sytuacji zagrożenia.

— Mogę zostać u ciebie na noc? — wypaliła nagle. — Proszę?

Patrzyła na mnie swoimi dużymi oczami. Choćbym chciała, to nie potrafiłam jej odmówić.

— Jasne.

— Świetnie! — Cmoknęła mnie w usta i przytuliła mocno do siebie. — Ooo, rzeczywiście jesteś zupełnie naga pod swetrem. Mrrr...

— Ubiorę się lepiej. — Tym razem nie dałam się powstrzymać i ruszyłam ku szufladzie z bielizną. Wciągnęłam na siebie majtki. To dało mi odrobinę więcej poczucia swobody. Sweter był rozciągnięty i długi. Sięgał mi prawie do kolan, zasłaniając przy tym wszystko po drodze, więc czułam się w miarę komfortowo.

Przegadałyśmy kilka godzin i nie wiedzieć kiedy zastała nas noc. W tym czasie mój telefon cały czas leżał na stole, więc kiedy zacząć dzwonić i *Digital love* przebiło się przez nasze śmiechy, obie mogłyśmy spojrzeć na wyświetlacz i zobaczyć identyfikator dzwoniącego, zanim przykryłam telefon ręką i go wyciszyłam.

— Elia? — Marta nie ukrywała zainteresowania. — Odbierz.

Wahałam się. Marta podniosła telefon za mnie. Próbowałam jej go wyrwać, ale przegrałam tę walkę.

— Nie! — pisnęłam, ale było już za późno.

— Halo? Elia? ... Jestem znajomą Laury. Siedzimy tu właśnie we dwie i brakuje nam męskiego towarzystwa. ... Och, doprawdy? ... To przyjdź do nas.

— Co?! — zdziwiłam się. — Zwariowałaś?

— Oczywiście. ... Czułam, że można na ciebie liczyć. ... To do zobaczenia. — Kompletnie zignorowała moje protesty. Była zadowolona z rezultatu swojego lekkomyślnego zachowania.

Byłam przerażona. Kiedy rozejrzałam się po pokoju, zdałam sobie sprawę

z tego, że mam straszny bałagan i żaden mężczyzna nigdy nie powinien widzieć czegoś takiego u dorosłej kobiety.

— Kobieto, czyś ty oszalała? Dlaczego go tu zaprosiłaś?

— A dlaczego nie? — odbiła.

— Bo...

— Jeśli nie chcesz, żeby przychodził, to możesz zadzwonić i powiedzieć, że nie życzysz sobie jego obecności — zasugerowała, choć doskonale wiedziała, że tego nie zrobię.

Zostałam postawiona przed faktem dokonanym. Serce zabiło mi mocniej. Miałam przesrane. Zwłaszcza, że Marta mnie zagadywała i kiedy usłyszałam dzwonek do drzwi, w dalszym ciągu miałam na sobie tylko rozciągnięty sweter i majtki.

Elia przywitał mnie oparty o framugę. Zanim się odezwał, zmierzył mnie przeszywającym wzrokiem. Poczułam się całkowicie naga i mogłabym przysiąc, że na moich policzkach pojawiły się rumieńce, kiedy zastanawiałam się, którą część ciała zasłonić rękami.

— No no... — mruknął. Moje zawstydzenie musiało przypaść mu do gustu.

Spuściłam wzrok, a on chwycił mnie za brodę i zmusił do spojrzenia sobie w oczy. Dał mi krótkiego całusa i pchnął lekko do środka. Nawet nie czekał na zaproszenie.

— Wejdz — powiedziałam właściwie do siebie, kiedy już przekroczył próg mieszkania. Ciągnął za sobą futerał na gitarę, a przechodząc obok, zahaczył mnie nim, jakby nie zauważył mojej obecności.

— Jestem Marta.

Dziewczyna zmaterializowała się obok nas w mgnieniu oka. Eliasza przywitał się z nią i spojrzał badawczo w moim kierunku. Jakby sprawdzał, czy nie mam nic przeciwko spoufalaniu się z innymi kobietami pod moim dachem. Nie mogłam mu tego zabronić. Kimże byłam, żeby przypisywać sobie prawa do jego zainteresowania? Miał wolną rękę. Zwłaszcza, że Marta wyglądała na zainteresowaną i od razu zaczęła go zagadywać. Szybko namówiła go też do wyciągnięcia gitary. Zagrał kilka utworów, a ona wyglądała na zachwyconą.

Siedziałam obok i przyglądałam się temu ze spokojem. Przynajmniej tak starałam się wyglądać, choć skręcało mnie wewnątrz, jak tylko dotykała jego ramienia, albo szeptała mu coś na ucho. Spoglądali na mnie i zaczęli się śmiać, jakby mnie obgadywali.

— Pójdę zrobić... herbaty, czy coś. — Wstałam, bo nie mogłam dłużej wytrzymać. Od słuchania ich dostawałam kurwicy syberyjskiej i pierdolca z powikłaniami.

— Lepiej przynieś wino — zasugerowała odbijaczka facetów.

— Albo coś mocniejszego — dodał odbijany.

— Poszukam — bąknęłam jako jedyna osoba w towarzystwie, która nie bawiła się dobrze. Niestety w kuchni znalazłam tylko kilka butelek wina. Złapałam korkociąg i zaczęłam otwierać pierwszą z brzegu, mamrocząc do siebie. Pieprzone gołąbki gruchały sobie w najlepsze. Miałam ochotę wbić korkociąg w jedno z nich, zamiast w korek. Niestety nie byłby to najlepszy sposób na wyrażenie wdzięczności za wizytę znajomych. Musiałam się powstrzymać. Zamiast tego przyniosłam trzy kieliszki i odkorkowaną butelkę, której zawartością podzieliliśmy się w wysoce nierównej części. Głównie dlatego, że mój kieliszek na bieżąco był uzupełniany, kiedy goście zajmowali się miłą konwersacją.

Po odkorkowaniu drugiej butelki, czułam się wystarczająco „oprocentowana”, żeby dołączyć do rozmowy. Planowałam wręcz zdominowanie jej i tym samym zaskarżenia sobie zainteresowania obojga zebranych. Niestety nie potrafiłam na czas wymyślić nic, co dotyczyłoby poruszanych przez nich tematów. Marta spoglądała na mnie z satysfakcją i wyższością. Była dumna z tego, że facet, który mi się podobał, skupiał się na niej.

Kobiety to jednak wredne suki. Nie ma między nimi przyjaźni, kiedy w grę wchodzi uczucia.

— Jak chcecie się pieprzyć, to ja może wyjdę — wybuchłam w końcu i wypaliłam na głos to, co od dłuższego czasu kłębiło mi się pod czaszką. Chciałam zachować resztki godności, ale zachwiałam się, kiedy wstawałam i nie wyszło mi to do końca tak, jak sobie zaplanowałam.

— Gdzie leziesz, głuptasie? — Marta zaśmiała się melodyjnie i oparła dłoń na ramieniu Eliasza. To działało mi na nerwy. Nawet nie zaprzeczyła, że chce się z nim pieprzyć.

— Nie wiem. Przejść się.

— Jest środek nocy, nie powinnaś chodzić sama po mieście — wtrącił Elia.

— A co mi się może stać? Zabiją mnie? Zgwałcą? Pff! — Prychnęłam i skrzyżowałam ręce.

— Nalegam, żebyś została — upierał się. Jedno jego groźne spojrzenie sprawiało, że odechciało mi się spacerów, ale nie zamierzałam okazać słabości.

Chwyciłam kurtkę i zaczęłam zakładać ją na sweter. Najpierw powinnam pewnie ubrać spodnie, ale w nerwach człowiek nie myśli do końca logicznie.

Marta podeszła do mnie i uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Nie wygłupiaj się — powiedziała patrząc mi w oczy. Po chwili jej uśmiech zaczął mnie przerażać. — Jeśli jesteś taka odważna, to zobaczymy, jak zareagowałabyś na gwałt.

Złapała mnie za nadgarstki i wykręciła je do tyłu.

— Zwariowałaś? Co robisz?!

— Widzisz? Już nie czujesz się taka bezpieczna, a jeszcze nawet nie wyszłaś z mieszkania. To będzie dla ciebie dobra lekcja, Lauro.

Próbowałam się wyszarpnąć. Marta nie była dużo silniejsza, ale reagowała na każdy mój ruch z wyprzedzeniem, jakby się go spodziewała.

— Elia, pozwól, proszę — przywołała mężczyznę do siebie. — Pokaż jej, co mogłoby ją spotkać na ulicy.

— Nie jestem gwałtcielem, ale chętnie popatrzę jak się bawicie. — Elia oparł się o ścianę i obserwował nas z cwaniackim uśmieszkiem.

— To nie jest gwałt, jeśli ona tego chce. Wiesz, ile razy o tobie mówiła? Fantazjowała o tobie.

— Nieprawda! — wtrąciłam się.

— Mówiła, że jej się śnisz — dodała. To wszystko kłamstwa, wcale mi się nie śnił. Może rzeczywiście zdarzyło mi się raz, czy dwa myśleć o seksie z nim, ale nikomu o tym nie mówiłam, więc Marta po prostu zmyślała. — Mówiła, że budzi się mokra i cały czas jest przez ciebie napalona. Nie bądź brutalem. Każesz kobiecie prosić o to, żebyś ją zaspokoił? Przecież ci tego nie powie. Spójrz tylko na nią.

Szarpnęła mną tak, że odwróciłam się w jego stronę. Wciąż zaprzeczałam, ale czułam, że jej słowa zadziałały aż nazbyt skutecznie.

— Już wtedy w windzie było blisko. Prawda, kotku?

Elia podszedł i chwycił moją twarz. Spojrzał mi głęboko w oczy.

— Jeśli nie chcesz, to cię nie tknę. Powiedz, jeśli nie chcesz, żebym cię dotykał — poprosił i zaczął przesuwając dłonie niżej. Po szyi, po bokach, po biodrach. Kiedy zakończył wędrówkę, podniósł wzrok i zaskoczony spojrzał na Martę. — Kurwa, nie żartowałaś. Ona naprawdę nic nie ma pod tym swetrem.

— Bo nie zdążyłam... — usiłowałam się wytłumaczyć, ale nim powiedziałam cokolwiek, Elia zamknął mi usta pocałunkiem. Był silniejszy od nas obu razem wziętych, więc kiedy na nas natarł, cofnęłyśmy się aż do szafy. Marta zderzyła się plecami z lustrem, a ja wylądowałam zgnieciona pomiędzy dwoma ciałami.

— Widzisz, jaka jest spragniona? — Marta zaczęła mrużyć. Tembr jej głosu sam w sobie był zmysłowy, więc kiedy specjalnie nim modulowała, nie było osoby, na którą by to nie zadziało.

— Dotknij jej — poleciła, a Elia zareagował jak na rozkaz. Chwycił mnie za pierś i zaczął ją ugniatać.

Wyrwało się ze mnie ciche westchnienie.

— Dotknij jej — powtórzyła. Elia wsunął dłoń pod sweter i głaskał mnie po nagim brzuchu. Z każdym ruchem był coraz wyżej, aż w końcu poczułam jego palce na sutku. Z przerażeniem odkryłam, że stał na baczność i domagał się dotyku. Ciało mnie zdradzało.

— Ale... — próbowałam coś powiedzieć, jakoś się bronić. To, co się działo, było szaleństwem, na które nie mogłam sobie pozwolić. To wbrew moralności.

Wbrew jakimkolwiek zasadom. No i przecież Marta się temu wszystkiemu przyglądała! Mało tego, aktywnie uczestniczyła. Kiedy próbowałam powiedzieć, że nie podoba mi się to, co robili, poczułam na szyi dotyk jej gorących, twardych ust. Przeszedł mnie dreszcz.

Tego było już za wiele.

— Jesteście nienormalni! — Szarpnęłam się, ale Marta zareagowała śmiechem.

— Dotknij jej — powtórzyła po raz kolejny. Elia chwycił mnie za biodro, a drugą dłonią zahaczył o linię moich majtek.

— Nie! Nie zgadzam się! Nie! — krzyknęłam, ale wyglądało na to, że oboje nie zważali już na moje zdanie w tej kwestii. Elia wsunął dłoń i zaczął drażnić łechtaczkę. — Nie! Nie! Nie! — powtórzyłam jeszcze ze trzy razy.

Krzyk zamienił się w jęk, kiedy wsunął we mnie palce.

— O rany... nie. — To było ostatnie, co byłam w stanie z siebie wydusić, bo już chwilę później zawładnęły mną doznania.

Marta puściła nadgarstki, a zamiast tego zaczęła bawić się moimi piersiami. Ugniatała je i szczypała, by po chwili ściągnąć sweter i w pełni mnie odsłonić.

Elia szarpnął za rękę na tyle silnie, że wyrwał mnie z objęć Marty, a następnie pocałował i rzucił na łóżko. Szybko wskoczył na mnie i zatopiliśmy się w namiętności. Przez chwilę zapomniałam, że Marta wszystkiemu się przygląda. Była to jednak bardzo krótka przerwa, bo szybko dołączyła do nas kompletnie naga. Przytuliła się do pleców Eliasza i zaczęła ściągać z niego koszulę.

Kiedy wszyscy byliśmy już nadzy, nie było siły, która powstrzymałaby nas przed seksem. Nie mogłam uwierzyć w to, co się działo. Jeszcze na długo po wszystkim to do mnie nie docierało. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłam. Miałam nad sobą dwie pary oczu. Obie figlarne i zadziorne. Cztery dłonie krążyły wokół mnie. Dwa języki doprowadzały mnie do szaleństwa. Miałam wrażenie, że jestem ich lalką i prześcigają się w sposobach doprowadzenia mnie do obłędu. Kiedy na chwilę zostawili mnie w spokoju i rzucili się na siebie, byli jak zwierzęta. Obserwowanie tego sprawiło, że zapragnęłam znów włączyć się do zabawy. Marta wciągnęła mnie na siebie. Chwilę później ja byłam pod nią, a Elias w każdy możliwy sposób wrywał z nas kolejne jęki. Marta doszła pierwsza, ja niedługo po niej padłam wyczerpana i tylko przyglądałam się, jak zaciska usta na przyrodzeniu Eliasza. Złapał ją za włosy i pogłębiał ruchy, aż cała nasza trójka zaznała spełnienia.

Po seksie oboje preferowali wyciszenie i papierosa. Wyszli więc półnaczy na balkon, a ja zostałam na łóżku sama. Dochodziłam do siebie i nawet nie starałam się podsłuchiwać, ale mimo wszystko usłyszałam ich rozmowę. Właściwie tylko jedno dotarło do mnie bez żadnych zakłóceń. Elia powiedział, że niezapominajki stanowią dla niego bardzo ważny symbol. Taki, którego nic innego nie jest w stanie

zastąpić.

Serce zabiło mi szybciej. Czyżbym chwilę wcześniej przespała się z mordercą?

Rozdział 6

Byłam przerażona swoim odkryciem. Nie byłam pewna, czy Marta również się domyśliła, ale nie chciałam z nią o tym rozmawiać. Właściwie po tej nocy nie byłam pewna, czy w ogóle jestem w stanie spojrzeć jej w oczy. To mnie przerosło. Wykorzystałam okazję i przyjąłam zaproszenie Kordiana, kiedy zaproponował mi wyjazd do jego rodziny mieszkającej we wsi pod Wrocławiem. Mieli tam przytulną posiadłość przypominającą mały dworek. Dziwnym trafem ani trochę mnie to nie zaskoczyło. Dostaliśmy dla siebie całe skrzydło, w którym znajdowała się między innymi przestronna jadalnia. Siedzieliśmy we dwoje przy stole i jedliśmy obiad. Właściwie tylko Kordian jadł, bo ja nie mogłam nic w siebie wmusić, kiedy usłyszałam głosy dochodzące z radia. Ciotka Kordiana słuchała wiadomości w sąsiednim pokoju. Spiker akurat poruszył temat seryjnego mordercy.

— Lauro, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Spojrzałam na Kordiana nieobecny wzrokiem i dopiero nagana wypisana na jego twarzy sprowadziła mnie na ziemię.

— Przepraszam. Możesz powtórzyć?

— Powiedziałem, że gdyby przywrócili w Polsce monarchię, to byłbym księciem i wszyscy znajomi byłiby pod moimi rozkazami.

— Tak, tak... bo jesteś błękitnokrwisty — przytaknęłam.

— Wiesz... lubię twoje usta.

— Co? — zapytałam, odrobinę zaskoczona. Uśmiechnęłam się i spuściłam wzrok.

— Zwłaszcza, kiedy uśmiechasz się w ten sposób. Jesteś taka delikatna i wrażliwa. Twój uśmiech dodaje mi sił do działania, a pocałunki scałowują całe napięcie, strach i niepewność. Może to zabrzmiało infantylnie, ale... Lauro, chciałbym, żebyś była moja tak w pełni i niezaprzeczalnie.

To wyznanie sprawiło, że podniosłam wzrok i wytrzeszczyłam oczy.

— Słucham?

— Może najpierw powinienem poznać twoich rodziców, ale nie potrafię dłużej udawać, że mam do ciebie ambiwalentny stosunek. Zależy mi na tobie i chcę, żebyś ze mną była.

— Wiesz... ehm... Seneka powiedział kiedyś, że ważnych decyzji nie powinno się podejmować przed obiadem[1]. — Uśmiechnęłam się sztucznie i zapchałam usta sałatką z białej kapusty. Moje myśli były w zupełnie innym miejscu i nie potrafiłam się skupić nawet na pytaniu, a co dopiero na odpowiedzi. Spiker w radiu poinformował, że zaginęła siedemnastolatka. Podejrzewają, że to morderca ją porwał.

— Rozumiem, potrzebujesz czasu na zastanowienie. — Kordian nie

zauważył mojego rozproszenia. — Smakuje ci dziczyzna? Wyglądasz, jakbyś nie miała apetytu.

— Jest bardzo dobra, ale trochę się zasłuchałam. W wiadomościach znowu mówią o tym seryjnym mordercy.

— Jeśli czegokolwiek się obawiasz... jeśli mogę jakkolwiek pomóc...

— Nie oczekuję, żebyś bił się ze smokiem. Już i tak jesteś moim rycerzem.

— Lauro, nie bądź naiwna. Rycerskość nie ma nic do zabijania smoków. Nie polega na zakuciu się w pancerz i biciu wrogów na turniejach. Nie chodzi o to, żeby ratować księżniczkę z wieży ani uważać się za lepszego od innych. Wyzywanie na pojedynki każdego, kto to podważy nie przysparza chwały. To dzisiejsza mentalność wymyśliła iluzję rycerza. Rycerskość polega na doskonaleniu siebie, na czynieniu siebie lepszym. Na dawaniu słowa i dotrzymaniu go, choćby świat miał się zawalić. Ja pragnę jedynie złożyć ci obietnicę, że będę przy tobie zawsze, kiedy mnie wezwiesz — powiedział podniośle i przyłożył dłoń do piersi.

— Dziękuję. Po prostu cała ta sprawa mnie męczy.

— Jeśli to pomoże, mogę dać ci gaz pieprzowy. Może to sprawi, że poczujesz się ździebko bezpieczniejsza.

— To raczej zbędne.

— Ostatecznie możemy zainwestować w twój ubiór. Jak to mawiał mój dziadek: „Kamizelka kuloodporna zawsze jest przydatna. Możesz pójść wszędzie i nie obawiać się niczego. Może dostaniesz kulkę w głowę, ale przynajmniej w kostnicy nie będą się z ciebie śmiali”. Zawsze powtarzał, że grunt to zachować twarz — wygłosił dumnie.

— No... może być ciężko zachować twarz, jeśli ktoś ci w nią strzeli.

— Małe prawdopodobieństwo. Nie tak łatwo trafić w głowę — stwierdził, po czym zamyślił się na dłuższą chwilę.

— Zastanawiam się, jak zabójca dobiera ofiary — powiedziałam w końcu, usiłując nawiązać do przerwane go tematu.

Wyraz twarzy Kordiana drastycznie się zmienił. Ściągnął brwi, a na jego czole pojawiły się zmarszczki.

— Tego nie wie nikt, ale gdybym go spotkał, to nie ręczę za siebie. Znałem jego ostatnią ofiarę.

— Co?

— Wojciech Koziół był pracownikiem mojej firmy. Czasami przychodził również na treningi szermierki klasycznej do „Rebel Fencing”. On, ja i Tomasz byliśmy najlepsi. Z tym, że Tomek był instruktorem i właścicielem szkoły. Wraz ze swoją narzeczoną zarażali pasją wszystkich wokół.

— Musiało cię to mocno dotknąć.

— Nie do końca. Właściwie Wojciech był bawidamkiem i podejrzewałem,

że prędzej czy później któraś z kochanek utnie mu przyrodzenie, albo żona dźgnie go kuchennym nożem. Nie spodziewałem się tylko, że morderca odbierze im tę możliwość.

— Czyli trochę sobie na to zasłużył — podsumowałam. To była w końcu jakaś wskazówka. Możliwe, że morderca wybierał na ofiary złych ludzi. Takich smaczków nie podaje się do wiadomości publicznej, a mnie cała ta sprawa zaczynała coraz bardziej interesować. Zaczynałam sądzić, że nieprzypadkowo znalazłam się pomiędzy kobietą, która podejrzewa sąsiada o morderstwo, sąsiadem, który jest podejrzanie cicho i tajemniczym mężczyzną, którego sama podejrzewałam o to, że mógł zamordować kilka osób. Coraz więcej łączyło mnie ze sprawą, która tak naprawdę w ogóle mnie nie dotyczyła.

— Mimo wszystko, był moim człowiekiem. Przez mordercę straciłem dobrego pracownika, sparingpartnera i sekundanta najlepszych walk. Dla kobiet był potworem, ale mi nigdy nic złego nie zrobił.

— Nie podejrzewałam cię o takie znajomości.

— Był dobrym pracownikiem. To się dla mnie liczyło. Bóg by go osądził w swoim czasie. Człowiek nie miał do tego prawa.

— Wiesz, czy miał jakichś wrogów?

— Był hedonistą, nie stronił od uciech. Nigdy nie miał problemów z kobietami. Potrafił zwodzić kilka na raz i każdej wmawiać, że jest jedyną. Takie życie niełatwo zachować w tajemnicy, ale jemu się udawało.

— Myślisz, że zabiła go żona, albo któraś z kochanek?

— Jego żona bardzo ciężko to zniosła. To na pewno nie ona. Wszystkich jego kochanek nie znałem, ale wątpię, żeby jakakolwiek kobieta była w stanie mu zagrozić.

— Znaleźli go upieczonego w wannie. Kobieta mogłaby to zaaranżować. Mogła na przykład suszyć włosy, kiedy się kąpał i w odpowiednim momencie upuściła suszarkę — zasugerowałam.

— To było pierwsze skojarzenie policji, ale żadnych śladów nie znaleziono. Brak odcisków, brak jakichkolwiek dowodów. Na łóżku także brakowało śladów po stosunku. Ekspertyza wykazała obecność alkoholu w jego krwi, więc ostatecznie stwierdzono, że został odurzony, a następnie wrzucony do wanny. Kobieta raczej nie dałaby rady tego zrobić.

— Chyba, że miała pomocnika — pomyślałam głośno. Elia pasowałby do roli mściciela. Z łatwością wyobraziłam sobie, jak wchodzi do pokoju hotelowego i staje w obronie zdradzanej żony. Wraz z tym obrazem w myślach miałam również niewierną żonę, która na pewno nie oparła się wdziękowi mojego ulubionego ulicznego grajka.

— Nie mówmy o tym podczas jedzenia, proszę. Nie przystoi.

Spuściłam łeb i grzebałam widelcem w talerzu. Starłam się słuchać audycji,

którą wciąż nadawali w radiu.

„*Karolinka nic nikomu nie zrobiła. Wypuść ją proszę!*” — apelował męski głos. Ojciec zaginionej dziewczyny starał się nakłonić porywacza do zmiany planów. — „*Nigdy nic złego nikomu nie zrobiła. Dobrze się uczyła i była bardzo lubiana w klasie. To jeszcze dziecko! Miej litość, kimkolwiek jesteś! Mnie weź!*”

Po pełnej żalu wypowiedzi zdesperowanego ojca, spiker podał szczegóły. Dziewczyna ostatni raz była widziana dwa dni wcześniej. Wieczorem wyszła do koleżanki i już nie wróciła. Rzeczona koleżanka twierdzi, że Karolina nigdy do niej nie dotarła.

Mnie najbardziej zainteresował tylko jeden szczegół. Skoro zaginęła dwie noce wcześniej, to moje podejrzenia okazały się chybione. Tej nocy Elia był ze mną i z Martą. Nie mógł jej porwać. Przypomniałam sobie, co Marta mówiła o sąsiedzie i przeszedł mnie zimny dreszcz, kiedy pomyślałam, że w czasie naszych igraszek za ścianą mogła się odgrywać tragedia młodej dziewczyny. Jednocześnie wciąż nie wierzyłam w teorię sąsiadki.

— Jeśli twojego znajomego nie zamordowała kobieta, to kto mógł być z nim w pokoju hotelowym? — wróciłam do tematu, kiedy usiedliśmy wieczorem przy kominku. Popijaliśmy mrożoną kawę z lodami waniliowymi.

— Nie wiem, Wojciech nie miał jawnych wrogów. Przychodzi mi do głowy jedynie Mateusz, ale to nie mógł być on.

— Kim jest Mateusz?

— To były mąż Doroty, mojej sekretarki. Nikt nie wiedział, że ona również miała romans z Wojtkiem. Kiedy dowiedziała się o jego śmierci, wpadła w szal. Zaczęła krzyczeć, że to jej mąż go zabił z zazdrości. Oskarżyła go publicznie i wyzwała od najgorszych. Policja szybko się tym zainteresowała. Kiedy jednak zbadali okoliczności, okazało się, że facet miał alibi na tę noc.

— Wiarygodne? Alibi można przecież sfabrykować.

— No cóż, życie jest przewrotne. On także nie był wierny i, jak abstrakcyjnie by to nie brzmiało, niewierność uratowała mu skórę. Zarówno kochanka, jak i kelner z restauracji, w której byli, potwierdzili jego wersję wydarzeń.

— O matko... czy wierność jest już tylko reliktem przeszłości?

— Ludzie honoru to coraz mniej liczna grupa społeczna, ale wciąż można znaleźć jej członków. Dla mnie pojęcie zdrady nie istnieje. Zresztą... kiedy jestem przy tobie, nikt inny się nie liczy. Nie wiem, jak można spróbować twoich ust i kiedykolwiek zapragnąć innych.

Złapał mnie za brodę i dał delikatnego całusa. Patrzył na mnie jak na obrazek.

— Wciąż nie wiem, co właściwie sprawiło, że się mną zainteresowałeś. Zaczepiłeś dziewczynę, która siedziała w parku pod drzewem z zamkniętymi

oczami — przypomniałam.

— Cóż mogę rzec, fikuśnie wyszło, ale spodobałaś mi się. Zawsze w pierwszej kolejności patrzę na kompozycję, a ty po prostu wspaniale się komponujesz. Jesteś całością. Twoje oczy, uśmiech, sylwetka, to jak się czujesz, to jak się ubierasz, to jak się poruszasz, mówisz, gestykulujesz. Tworzysz spójną całość i jest to niebywale pociągające. Jesteś moim słońcem, radością życia.

Byłam pod wrażeniem jego obserwacji. Prawił komplementy jak nikt inny, jednak nie potrafiłam odpowiadać na jego wyznania. W sercu wciąż miałam tylko jednego mężczyznę. Mogłam nawet przespać się z Eliaszem, ale moje myśli zawsze zmierzały ku Igorowi. Nie miałam z nim kontaktu od ponad pół roku, a wciąż nie potrafiłam zaangażować się emocjonalnie w żaden inny związek. Kordian był dla mnie bardzo dobry, ale nie czułam do niego tego samego, co do Igora. Eliaszbudzał we mnie pragnienia, o istnieniu których nie miałam nawet pojęcia, ale jego również nie kochałam. Obawiałam się, że już nigdy do nikogo nie poczuję tego, co zdarzyło mi się tylko raz. Nie znałam go przez większość życia, aż nagle pewnego dnia stał się dla mnie jak powietrze w płucach. Bez niego się dusiłam. Byłam chora.

Przed oczami stanęło mi wspomnienie, kiedy Igor biegał po mieszkaniu w samych bokserkach i futrzanej czapce. W oczach miał czyste szaleństwo, kiedy chwycił za gitarę i zaczął udawać, że na niej gra. Przyglądałam się temu z uśmiechem. On zawsze potrafił mnie rozbawić. Skakał i wygłupiał się, a ja zastanawiałam się, ile osób uwierzyłoby, że jest zdolny do takiej swobody. Na co dzień pracował w poważnej firmie, a przy ludziach zwykle nie wychodził z roli. Sprawiał pozory statecznego, dojrzałego człowieka, choć w duszy grał mu rock'n'roll. Kochałam to w nim. Kochałam to szaleństwo, które miał w oczach — czego wiele osób nie miało okazji dostrzec, a ja nie potrafiłam zapomnieć.

Wieczorem postanowiłam topić smutki w winie i twórczości. Niestety Marta pojawiła się przed moimi drzwiami. Zdziwiła się, kiedy otworzyłam jej w starym swetrze. Nie obchodziło ją, że przerwała mi proces wzywiania weny. Zanim mi przeszkodziła, dobre pół godziny siedziałam z pędzlem w ręce i wpatrywałam się w brunatną ciapkę. Inspiracja miała nadejść, a przynajmniej bardzo głęboko chciałam wierzyć w to, że nadejdzie. Maznęłam kilka jaśniejszych kresek, które w dalszym ciągu nie przypominały niczego konkretnego. Gotowy obraz miałam gdzieś z tyłu głowy. Niestety nie potrafiłam go dostrzec, nawet kiedy się obracałam.

— Laura, a ty jeszcze nie gotowa? — Spojrzała z pogardą na mój rozciągnięty, upaprany farbami sweter.

— Gotowa... na co?

— Na wyjście! To chyba oczywiste.

— Jakie wyjście?

— Wpadłam przed chwilą na genialna myśl — powiedziała. Podeszła bliżej i na palecie do mieszania farb położyła mi obrączkę.

— Co to?

— Słuchaj. Siedziałam u siebie i myślałam o tym, że wdowcy mają w sobie coś niesamowitego. Wiesz, jak to jest z facetami. Tak naprawdę nigdy nie wiesz, czy będzie fajny, czy okaże się totalnym dupkiem. A wdowcy? To sprawdzony towar, dużo lepszy. Stary kawaler oznacza zwykle faceta, który odstraszył każdą kobietę, z którą był. Tymczasem wdowiec był na tyle dobry, żeby jakąś kobietę namówić na małżeństwo. W dodatku jeśli była dobrą kobietą i zesłała z przyczyn naturalnych, to jego wartość dodatkowo wzrasta. Jeśli taki opiekował się chorą żoną, to zdrową kobietą zajmie się równie dobrze. A pomyśl, jak to brzmi w przypadku wdowy. Taka kobieta, która już jednego była w stanie usidlić, teraz jest samotna i potrzebuje towarzystwa mężczyzny. Potrzebuje jego bliskości i wsparcia. Genialne!

— Nie rozumiem, o co chodzi. Przecież nie jesteś wdową.

— Ja nie, ale ty jesteś!

— Ja?

— Tak, ty. Umówiłam cię z kimś. Będziesz się dobrze bawiła. — Wyciągnęła z kieszeni łańcuszek, nawlekła na niego obrączkę i powiesiła mi na szyi. — Powiedziałam mu, że jesteś wdową.

— Ale ja nie jestem wdową — przypomniałam.

— Będziesz udawała. Zobaczysz, że to fajna zabawa.

— Nie lubię kłamać.

— To nie jest kłamanie. To zabawa. On jest strasznie na ciebie nakręcony. Będzie ci jadł z ręki — zapewniła. Była podekscytowana strojeniem mnie w swoje krótkie sukienki, a ja nie potrafiłam jej przerwać. Chyba nawet nie chciałam. Moja silna wola osłabła, a ja zaczęłam przyjmować świat takim, jaki jest. Marta mi to niejednokrotnie tłumaczyła: moja wizja związków była wyidealizowana, a w XXI wieku chodzi o to, żeby czerpać przyjemność. Faceci są dobrzy, żeby się z nimi przespać, albo owinać ich sobie wokół palca i trzymać w odwodzie, w razie, gdyby mogli się do czegoś przydać.

Nie chciałam w to wierzyć, ale kilka razy dałam się namówić na niezobowiązujące spotkanie. Marta za cel postawiła sobie wyzwolić mnie spod okowy moralności. Twierdziła, że to przeżytek. Banał, który dawno już stracił wartość.

— Kto to w ogóle jest? — zapytałam bardziej dla podtrzymania rozmowy niż z ciekawości. Choć każde tego typu spotkanie traktowałam pobłażliwie, to gdzieś w głębi duszy liczyłam, że może właśnie w taki sposób spotkam swoją miłość. Po Igorze nikt nie rozbudził mojego serca, ale miałam nadzieję, że jeśli poznam wystarczająco dużą liczbę mężczyzn, to w końcu coś zaskoczy. Tego

kwiatu jest pół świata. Nawet, jeśli był jednym na milion, to w samej Polsce powinno na mnie czekać jeszcze 37 takich jak on. Niestety księżę z bajki nie chciał się pojawić. Nieszczęśliwcem tej nocy okazał się Patryk, który obserwował, jak upijam się winem, a później słuchał opowieści o tym, jak dobrze było mi z Igorem. Na koniec zapłakaną odwiózł mnie do mieszkania.

I został do rana.

[1] Żartowałam, Seneka wcale tak nie powiedział. Sama to wymyśliłam, ale o ile mądrzej brzmi, kiedy człowiek myśli, że powiedział to ktoś sławny.

Rozdział 7

Był 28 kwietnia, około południa, kiedy usłyszałam walenie do drzwi. Jako że tylko jedna osoba miała w nawyku natrętne dobijanie się do mnie, wiedziałam, kogo mogę się spodziewać. W pierwszej chwili nie miałam ochoty otwierać. Marta zaczynała mi działać na nerwy, choć na początku ją podziwiałam. Miałam wrażenie, że robi wszystko, aby mnie zdołować. Kiedy mówiłam jej o Kordianie, szybko przypominała, że wszyscy faceci są tacy sami i nie warto żadnemu ufać. Jednocześnie po chwili potrafiła nakręcać mnie na obcych facetów, albo na Eliasza. Robiła to chyba tylko po to, żeby następnie przypomnieć mi, co robiliśmy w trójkę, po czym podkreślała, z jakim pożądaniem na nią patrzył. Delikatnie sugerowała, że byłam tylko pretekstem, aby mogli się pieprzyć bez wyrzutów sumienia. Nie podobało mi się to. Staralam się zająć myśli sprawą mordercy. Zabawa w prywatnego detektywa podobała mi się coraz bardziej, bo zajmowała dużo czasu i odciągała moje myśli od wspomnień. Igor wciąż błąkał się po moim sercu, ale im więcej czasu mijało, tym łatwiej przychodziło mi zaakceptowanie faktu, że już go przy mnie nie ma. Zaczynałam wierzyć, że Marta ma rację i w życiu naprawdę chodzi o zabawę. Przez tyle lat kochałam i byłam wierna. Co dostałam w zamian? Miłość mojego życia odeszła bez pożegnania. Nie usłyszałam nawet, co zrobiłam źle.

Ścianę, na której powiesiłam kilka zdjęć, powoli uzupełniałam zdobytymi informacjami. Szukałam danych na temat ofiar i sporządziłam ich krótkie metryki. Udało mi się zdobyć zdjęcia, odszukałam nawet kilka kont na portalach społecznościowych, które dały mi niezły pogląd na charakter ofiar. Myślałam, że jestem sprytniejsza, ale podobnie jak policji, nie udało mi się rozszyfrować modus operandi złooczyńcy. Ofiary nie miały ze sobą żadnego powiązania. Nie znały się. Jedną z ofiar, Emilia Popławska, miała wielu znajomych. Na jej facebooku zapłonęły setki wirtualnych zniczy. Wcześniejsze wpisy zmarłej obfitowały w optymizm i radość życia. Apelowała o adopcję psów, wspierała akcje charytatywne — sprawiała pozory dobrego człowieka. Z informacji, które dostałam od Kordiana, Wojciech Koziół był jej przeciwieństwem — bawił się ludźmi, walczył bronią białą, igrał z uczuciami i emocjami ludzi. Logika sprzeciwiała się jakiemukolwiek powiązaniu tak odmiennych osobowości. Zaczęłam wręcz podejrzewać, że morderca działał bez zastanowienia. Nie da się znaleźć logiki w czymś, co jest jej pozbawione, więc losowy wybór ofiar byłby najlepszym wytłumaczeniem.

— Laura, otwórz! To ważne! — Marta się nie poddawała. Musiałam w końcu ulec i otworzyć drzwi. — Co tak długo?! Tu się poważne cyrki odstawiają! Nasz sąsiad morderca...

— Nie wydaje mi się, żeby on był mordercą — ucięłam.

— Tak? To czemu mi groził? Przecież widziałas, jak się dobijał do moich drzwi. Tym razem mnie dorwał. Musiał zauważyć, że mu się przyglądam. Włamał się do mojego mieszkania i powiedział, że jeśli dalej będę się mieszała, to mnie zabije.

— To wszystko jest niedorzeczne. Skoro ci groził, to idź na policję i to zgłoś. Groźby są karalne, a skoro się włamał, to na pewno zostawił jakieś ślady. Będzie po nim, jak to zgłosisz.

— Myślisz, że to takie proste? Laura, obudź się! My musimy coś zrobić! Nikt nie rozwiąże tego problemu za nas! — zaczęła się wydzierać i popychać mnie.

— Ciebie chyba pogrzało, kobieto. Niby co mamy zrobić?

— Zabić go, zanim on zabije nas.

— Jesteś chora! Jak chcesz, to idź na policję. Ja się w to nie mieszam. — Wskazałam jej drzwi. Skończyło się podlizywanie stukniętej sąsiadce. To wszystko było niedorzeczne, a ja bardziej niż kiedykolwiek wcześniej poczułam się bezbronna. Chciałam wrócić w ramiona Kordiana i zapomnieć o tym wszystkim.

— Spójrz na swoją ścianę. Już się wmieszałaś. Myślisz, że nie włamał się również tutaj? Na pewno już wie, że też mu się przyglądasz. Tacy ludzie nie zostawiają po sobie śladów, uwierz mi. Sprzątnąłby nas, jak tylko zobaczyłby gliny.

— Mam tego dość, wyprowadzam się. Nie potrzebuję całego tego burdelu — rzuciłam. Wyjazd z Kordianem zmienił moje podejście. Nie mogłam wiecznie tkwić w przeszłości. Odciągnie myśli w niczym nie pomagało. Byłam pusta w środku, a bohomasz, który zaczęłam malować zaraz po przyjeździe do Wrocławia, wciąż stał pod ścianą i straszyl.

Marta spojrzała na mnie, jakbym przed chwilą zadała jej mocny policzek.

— I zostawisz mnie z tym samą? Będiesz miała krew na rękach, jeśli coś mi się stanie.

— Czego ode mnie oczekujesz? Nic o nim nie wiem. Widziałam go tylko przelotem w parku. Znam go jedynie z twoich relacji. Co niby mam zrobić?

— Zabić go. Już o tym myślałam. Mam plan.

— Zwariowałaś, Marta. Idź się leczyć. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— Laura, nie możesz mnie z tym zostawić. Nie po tym, co przeżyliśmy. — Obraz silnej, niezależnej kobiety, która była dla mnie wzorem, niczym starsza siostra, rozpadał się na kawałki. Marta załkała i chwyciła mnie w ramiona.

— To też było chore. Nigdy w życiu nie robiłam takich rzeczy.

— Pomogłam ci wyzwolić twoją prawdziwą naturę. Tak naprawdę nie jesteś grzeczną dziewczynką, za jaką się uważasz. Jesteś zdolna do wszystkiego. Możesz pieprzyć się z kim chcesz i możesz zabić kogoś, jeśli będzie ci zagrażał. Jesteś do

tego zdolna, widzę to po tobie. Jesteś drapieżnikiem, a nie ofiarą. Wystarczy tylko dosypać mu trutki na szczury do jedzenia. Wystarczy, że tam pójdziesz i pożyczysz od niego szklankę cukru. Później zaprosisz go na herbatę w ramach podziękowania. Podasz mu kawałek ciasta. Na pewno się skusi — niemal wyszeptała mi do ucha. Głos miała potulny jak baranek, co kompletnie gryzło się z przekazywanymi treściami.

— To jest chore.

— Prawo dżungli, Laura. My, albo on. Do 6 maja zostało coraz mniej czasu.

— Nie mamy żadnych dowodów.

— A groźby? Idź do niego po cukier. Chyba tyle możesz dla mnie zrobić?

— Dlaczego sama nie pójdziesz?

— Nie bądź idiotką! Przecież mi groził!

— Ale zabić go?

— Jeśli krzywdzisz, krzywdź mocno — tak, żeby zniszczyć. Inaczej będziesz żyła z obawą, że ktoś się zemści. Dlatego nigdy nie wolno odpuścić. Ludzie są bezwzględni. Zwłaszcza psychopaci.

— Sama brzmisz teraz jak psychopatka.

— Kichać mi się chce od twojego pieprzenia. Za dużo marudzisz. Idź do niego po cukier. Później zdecydujesz, czy chcesz mi pomóc. — Marta podała mi pustą szklankę. Nie chciałam jej wziąć, ale w końcu uległam. Nie dlatego, że chciałam jej pomóc. Chciałam się przekonać na własnej skórze, czy tajemniczy sąsiad jest tak przerażający. W końcu niczego nie deklarowałam. Po prostu wyszłam z mieszkania ze szklanką w ręce.

Wzięłam kilka głębokich oddechów i nacisnęłam na dzwonek.

Sekunda. Druga. Trzecia. Piąta. Dziesiąta.

Oczekiwanie sprawiało, że nogi zaczęły mi się trząść. Miałam w końcu stanąć twarzą w twarz z kimś, kogo najbliższa znajoma uważała za bezwzględnego mordercę. Im dłużej czekałam, tym bardziej się bałam. Najgorsze, że nie otwierał. Chciałam mieć to już za sobą, ale nie doczekałam się reakcji. Dłuższą chwilę zbierałam się na to, żeby przyłożyć pięść do drewna i zapukać. Wszystkie mięśnie postanowiły się zbuntować i mnie przed tym powstrzymać. Musiałam walczyć z samą sobą, żeby ostatecznie uderzyć trzykrotnie w drzwi.

W końcu usłyszałam kroki zbliżające się po przeciwnej stronie. Serce zaczęło mi walić jeszcze mocniej, kiedy słyszałam przesuwający się zamek. Kiedy w końcu zobaczyłam tego tajemniczego człowieka, zamarłam.

— Słucham? — odezwał się. Jego głos mnie przeraził. Był taki... normalny. On cały był szalenie zwykły. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie około trzydziestoletniego mężczyzny w sweterku w szaro-niebieskie pasy. W parku nie miałam okazji mu się lepiej przyjrzeć. Później, kiedy szłam do Marty, byłam zbyt przerażona, a nagle widziałam każdy szczegół. Miał zmęczoną twarz,

ale bił z niej jakiś dziwny spokój. Najbardziej przeraziło mnie to, jak jednym spojrzeniem sprawił, że czułam, jakbym mogłabym mu zaufać w każdej kwestii.

— W czym mogę pomóc? — zapytał ponownie. Musiałam wyglądać idiotycznie, kiedy się zawiesiłam. Dopiero myśl o tym wyrwała mnie z letargu.

— Cukier! — wykrzyknęłam. Nagromadziło się we mnie zdecydowanie zbyt wiele emocji. Przystawałam kontrolować swoje odruchy. Spanikowałam.

— Słucham?

— Chciałam pożyczyć. Cukier. Trochę cukru. — Wyciągnęłam w jego kierunku dłoń z pustą szklanką.

— Cukier? — Przyjrzał mi się uważnie.

— Tak, chyba nie mówię niewyraźnie? — potwierdziłam i odrobinę nachalnie zaatakowałam go pustą szklanką. Spojrzał kilka razy na nią i na mnie, po czym przewrócił oczami i westchnął.

— Zaraz wrócę — powiedział, po czym zniknął za drzwiami. Po chamsku zamknął mi je przed nosem i nawet nie wziął ode mnie szklanki. Trochę mnie to zdziwiło, ale kiedy wynurzył się z kilogramowym opakowaniem cukru, odkryłam jedną z jego cech — nie lubił się rozdrabniać.

— Odkupię — zapewniłam.

— Nie ma potrzeby — odpowiedział i zamknął drzwi zanim zdążyłam podziękować, czy powiedzieć cokolwiek. Aspołeczny typ.

Marta tylko czekała na mój powrót i zaczęła wypytywać o szczegóły, kiedy przekroczyłam próg własnego mieszkania.

— Nic z tego nie będzie. Nawet nie chciał ze mną rozmawiać — podsumowałam. Odetchnęłam z ulgą na myśl, że jej szalony plan nie ma szans realizacji. Nawet jeśli by miał, nie miałam zamiaru się w to angażować, ale tak było łatwiej. Marta wierzyła w to, że mordercę trzeba wyeliminować. No ale cóż, w końcu chyba każdy ma w głowie jakieś jedno bezsensowne gówno, w które głęboko wierzy i żadne tłumaczenia do niego nie docierają.

— Za szybko się poddajesz. To aspołeczny morderca, nie wpuści cię tak od razu do swojego życia. Jutro pójdziesz do niego z większym dekoltem. Zobaczysz, że to zadziała. Pamiętaj, że nawet czarnoksiężnik miałby niemały problem z czarem rzuconym przez kobietę — stwierdziła i pociągnęła w dół moją bluzkę, obnażając przy tym górną część biustonosza.

— Marta, ja się do tego nie nadaję. Nie potrafię i nawet nie chcę potrafić. To nienormalne. I niemoralne na dodatek.

— Jesteś taka głupia... Naprawdę chcesz podążać ścieżką utartą przez moralność? To największa głupota na świecie. Jeśli chcesz być kiedykolwiek szczęśliwa, to szukaj własnego systemu wartości, stwórz zasady i dąż do własnego celu. Spójrz na całą masę bylejakości, na twarze ludzi, którzy podążają za tłumem, nie mają swojego zdania i żyją według zasad innych. Ich życie jest nudne

i szare. Całymi dniami narzekają na to, co muszą zrobić, zamiast robić to, co lubią.

Marta patrzyła na mnie z pogardą. Ciężko było mi to znieść.

— Ale przecież w tym sęk. Ja chcę robić to, co lubię. Chcę malować, projektować, spotykać się ze znajomymi i z Kordianem. Chcę być normalna. Nie chcę nikogo otruć. Nie chcę mieć nikogo na sumieniu — próbowałam wytłumaczyć, ale spotkałam się z jeszcze większą wściekłością.

— Nie dość, że jesteś głupia, to w dodatku ślepa! Laura, zawodzę się na tobie. Nie masz pojęcia o własnym życiu. Chcesz być normalna i zachowywać się moralnie? Pijesz praktycznie codziennie. Nie chodzisz do regularnej pracy.

— Ej! Piję głównie wino i to zwykle wtedy, kiedy przychodzisz do mnie z butelką i sama napełniasz kieliszki. A to, że nie chodzę do pracy, nie znaczy, że nie pracuję regularnie. Robię projekt i złożę go w biurze terminowo. — Przyjęłam postawę obronną, bo oskarżenia zaczęły mnie denerwować.

— Uwiodłaś faceta na parkiecie i sprawiłaś, że chciał cię zaciągnąć do toalety i przelecieć. Sypiałaś z facetami, których dopiero poznałaś — wypomniała mi.

— To był twój pomysł!

— Zdradziłaś Kordiana z Elią. I ze mną. W trójkącie. To też uważasz za normalne, pani moralistko?

Zabrakło mi słów na odpowiedź. Marta spojrzała na mnie z wyższością i obie doskonale zdawałyśmy sobie sprawę z tego, że przegrałam tę walkę.

— Tak właśnie myślałam — dodała. — W takim razie słuchaj, bo nie mam zamiaru powtarzać dwa razy. Wykończymy go.

Spuściłam głowę, podkuliłam ogon i spokojnie wysłuchałam wszystkiego, co miała mi do powiedzenia. Jednakże nie oznaczało to, że miałam zamiar kogokolwiek otruć. Chciałam tylko, żeby sobie poszła i dała mi spokój. Potrzebowałam odrobiny samotności, żeby poukładać myśli. Kiedy tak bezpośrednio uderzyła we mnie szkalującymi faktami, poczułam się źle z samą sobą.

Rozdział 8

Co robi człowiek, który czuje się źle moralnie po tym, jak zdradził kogoś, kto pokochał go miłością czystą i bezinteresowną? Otóż ktoś taki idzie na spotkanie z osobą, która w owej zdradzie uczestniczyła. Czy to się w jakikolwiek sposób trzyma kupy? Nie, ale przecież nie wszystko w życiu musi mieć sens. Czasami ludzie robią głupoty tylko po to, żeby poczuć się lepiej, a ja uważałam, że w takim momencie właśnie spotkanie z Eliaszem mi pomoże.

Ciepły, piątkowy, kwietniowy wieczór sprzyjał wyjściom na miasto, a to sprawiało, że z dużym prawdopodobieństwem mogłam znaleźć swojego ulubionego muzyka gdzieś w okolicach rynku z gitarą w ręce. Miałam wielką nadzieję na to, że uda mi się go odszukać. Chciałam wierzyć we własne szczęście, ale niestety nie było go w żadnym z czterech punktów, które przysły mi do głowy. Chciałam, żeby to wyglądało na przypadkowe spotkanie, ale nie wyszło. Odrobinę zawiedziona musiałam zaczerpnąć najbardziej oczywistej formy komunikacji — wyciągnęłam telefon i zadzwoniłam. Okazało się, że istotnie jest na mieście z gitarą, ale wystarczy mu niewielka publika w skrzętnie ukrytym pubie w samym sercu miasta. Choć w jego okolicy przechadzały się setki ludzi, niewielu wiedziało o jego istnieniu. Wszystko za sprawą tego, że nie był w żaden sposób oznaczony, a wejście znajdowało się we wnętrzu lodziarni. Elia zapewnił, że koniecznie muszę tam przyjść, jeśli jestem w okolicy, a ja chętnie skorzystałam z okazji.

Do pubu prowadziły schody w dół. Pokonanie ich doprowadziło mnie do niewielkiego pomieszczenia z barem. Wnętrze miało piwniczny klimat. Ściany witały chłodem surowej cegły. Zadziwiła za to obsługa. Kelner ubrany w biały fartuszek od razu zapytał, czy potrzebuję stolika. Odpowiedziałam, że kogoś szukam, a on wskazały mi przejście, które prowadziło do niewiele większej sali ze stolikami. Bez problemu zlokalizowałam w niej poszukiwanego.

— A więc to tutaj można cię złapać — stwierdziłam, kiedy zobaczyłam mężczyznę z gitarą otoczonego wianuszkami kobiet zasłuchanych w jego grze. Wśród nich były również trzy kelnerki.

— Nie, nie można — odpowiedział ostro.

— Nie rozumiem.

— Źle dobierasz słowa. Mnie się nie łapie. Mnie nie można złapać. — Spiorunował mnie wzrokiem, a kiedy zobaczył przerażenie na mojej twarzy, drastycznie zmienił minę. Uśmiechnął się tak szeroko, jakby gołąb nasrał na kogoś, kogo nie lubił. — Ale można usiąść obok mnie i spędzić miło czas. Chodź tu. Miejsce czeka.

Poklepał stołek, na którym opierał nogi. Niektóre z jego słuchaczek zabijały mnie wzrokiem, kiedy przeciskałam się na miejsce tuż obok niego. Ich oczy

zapłonęły jeszcze bardziej, kiedy odłożył gitarę, przytulił mnie i pocałował w policzek na powitanie. Potem wrócił do grania i śpiewania. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że choć starał się obdarzyć uwagą wszystkich słuchaczy, tylko kiedy patrzył na mnie, szczerze się uśmiechał.

Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy będziemy mieli więcej prywatności i będziemy mogli swobodnie porozmawiać. Obecność kobiet, które łaknęły każdego jego słowa odrobinę mnie irytowała i męczyła. Piliśmy whisky, a ja myślałam o tym, jak uciec.

— Wyglądasz na niezadowoloną — zauważył, jakby czytał mi w myślach.

— To aż tak bardzo widać? — zdziwiłam się.

— Nie. Trzeba umieć patrzeć.

— Jesteś dobrym obserwatorem.

— Nie jestem. Ja po prostu zauważam to, co ludzie bagatelizują. Widzę emocje w każdym geście. Nawet w sposobie picia Jamesona. Ludzie tego nie dostrzegają tylko dlatego, że są zbyt zajęci pić ze swojej własnej cholernej szklanki.

— Coś w tym jest — przyznałam i zrobiłam dokładnie to, o czym powiedział. Spuściłam wzrok na swoją szklankę. Obracałam ją w palcach, żeby zabić podenerwowanie jakąś prostą czynnością.

— Więc w czym rzecz? Dlaczego jesteś niezadowolona? Znam jedną dobrą metodę na taki humor.

— Jaką?

— Zwykłem mawiać, że ostry seks jest jak taśma klejąca. Potrafi bardzo wiele naprawić.

— Nie o to chodzi.

— To co? Czujesz się beużyteczna i smutna jak bezalkoholowe piwo?

— Nie. Tylko... chciałabym teraz być gdzieś daleko stąd. Z dala od ludzi i gwaru miasta. Gdzieś, gdzie mielibyśmy spokój — przyznałam się, choć nie byłam w stanie podnieść wzroku i spojrzeć mu w oczy.

— Mówisz i masz — rzucił. Zerwał się z fotela. Zrzucił skórzaną kurtkę, w jedną dłoń chwycił gitarę, a w drugą moją rękę.

— Co robisz? — zdziwiłam się.

— Znowu zadajesz za dużo pytań — uciszył mnie i pociągnął za sobą, jak to już miał w zwyczaju robić. Po drodze zostawił gitarę za barem. Rzucił do barmana, że odbierze ją później, po czym bez zawahania wyszedł przed lokal. Przeszliśmy przez zaułek solny i weszliśmy w ciemne podwórze. Elia podszedł do czarnego motocykla i usiadł na nim. Poklepał zapraszająco miejsce za sobą i podał mi kask. Nie wiedziałam do końca, co robię, ale założyłam go bez zastanowienia.

Zajęłam swoje miejsce i przycisnęłam się do jego pleców. Jeszcze zanim ruszył, postanowił obwieścić mi zasady jazdy. Na szczęście nie było ich wiele.

Skupiały się na tym, że on obiecał za bardzo nie szaleć, a ja miałam za głośno nie krzyczeć. Zgodziłam się, ale ostatecznie on nie dotrzymał słowa, więc i ja nie żałowałam gardła. Zwłaszcza kiedy na zakrętach składał motor tak, że prawie dotykaliśmy kolanami asfaltu.

Mimo strachu, jaki mi napędził poprzez prucie po mieście chyba ze sto na godzinę (i to po alkoholu!), chciało mi się śmiać, kiedy w końcu zsiadłam. Wszystko przez to, że wywiózł mnie za miasto. Do miejsca gdzieś pośrodku lasu, gdzie prowadziła jedna polna ścieżka. Znaleźliśmy się z dala od cywilizacji, choć jednocześnie w oddali można było dostrzec jakąś drogę szybkiego ruchu. Nas z kolei otaczały drzewa i rowy, którymi spokojnie płynęła woda. Przy przecięciu dwóch kanałów znajdował się fragment zburzonego mostu, który prowadził z jednego brzegu na drugi. Nie dało się nim przejść, ale można było usiąść na kamiennych wspornikach. To wydało nam się najrozsądniejszym pomysłem.

— Zadowolona? — zapytał mój porywacz. On na pewno był z siebie dumny. Rozejrzał się dokoła i wyciągnął papierosa.

— Tak. Tutaj jest dużo lepiej. Nie muszę znosić tych wszystkich kobiet — wyrwało mi się. Nie planowałam powiedzenia tego, ale to chyba oczywiste, że wolałam mieć go tylko dla siebie.

Eliasz otworzył szerzej oczy i spojrzał na mnie badawczo.

— Zazdrość? Tego się po tobie nie spodziewałem.

— No cóż, po tym, co między nami zaszło... to chyba nic dziwnego, prawda?

— Zazdrość jest bezsensowna, kotku — powiedział i zaciągnął się dymem nikotynowym. — Do niczego dobrego nie prowadzi. To tylko twoje ego się burzy, a ego jest najgorszym doradcą. To ta część ciebie, która chce posiadać i łapać. Ja wolę tę część, która jest przy mnie. Jesteś wolna. Możesz i chcesz tu teraz ze mną być, dlatego siedzimy obok siebie w tym pięknym miejscu. Nikt nam nie kazał tego zrobić. Nie ma żadnych norm społecznych, które by nas do tego zobligowały. Jest tylko to, co sami chcemy, żeby było.

— Nie do końca rozumiem. Nie mam nic do twoich poglądów, ale to brzmi jak odwracanie kota ogonem.

Elia zaśmiał się głośno.

— Może masz rację — odpowiedział.

— Jak mam to rozumieć? To, co się stało nic nie znaczy? Nic nie czujesz?

— Och, kotku. Cieszę się, że o to zapytałaś. Chcesz wiedzieć, co do ciebie czuję? — zapytał i zbliżył się do mnie na odległość mniejszą od oddechu. Złapał mnie za rękę. Przyłożył ją do serca, a później delikatnie zaczął zsuwać niżej. — Włóż dłoń w moje spodnie, to dowiesz się dokładnie, co czuję — dodał, a ja od razu się odsunęłam.

— Nie o to mi chodzi.

— A o co? — zapytał, ale nawet nie czekał na odpowiedź. Cisnął petem w stronę wody. — Dobrze wiemy, o co. Chcesz wiedzieć, czy jesteś dla mnie tylko jedną ze zdobyczy, smakowitym kąskiem, czy kimś więcej. Chcesz słów, które miałyby być potwierdzeniem mojego przywiązania. W tym problem, ja nienawidzę być uwiązany. Nie nadaję się do tego.

— Nie oczekuję niczego. — Uniosłam się dumą. Wstałam i przez chwilę miałam ochotę wrócić do miasta na pieszo. Już w głowie obmyślałam cały plan, łącznie z łapaniem stopa sposobem „na odsłonięte kolano”. — Ja cię po prostu...

— Nie. Nie kochasz mnie. Kochasz emocje, które przy mnie czujesz — uciąż. Wcale nie chciałam powiedzieć, że go kocham. Miałam tylko wrażenie, że jestem jak ocean, a on jak księżyc — przyciąga mnie i odpycha w zależności od fazy.

— Nic nie wiesz.

— Chodź tu, głuptasie. — Na szczęście Elia wstał za mną, zanim zdążyłam odejść gdzieś dalej. Obrócił mnie w swoją stronę, chwycił twarz w obie dłonie, przyciągnął i pocałował. Czułam w ustach mulisty smak dymu i jagód. — Kocham cię... jak tydzień w porównaniu do całego życia. Chcę, żeby ta chwila trwała, ale jak się skończy, to nie będę tęsknił.

Choć brzmi to absurdalnie, to mi wystarczyło. Rozluźniłam się i roztopiłam w jego silnych ramionach. Wziął mnie na ręce i przeniósł z powrotem na murek. Usiadł i posadził mnie sobie na kolanach, nie przerywając jednocześnie pocałunków.

Wsunął palce w moje włosy i pociągnął. Odchyliłam głowę i poczułam gorące wargi przykładające dużą uwagę do każdego centymetra szyi. Całowały, zasysały się, delikatnie kąsały. Elia w tym czasie zwiedzał dłońmi resztę ciała. Wsunął się pod bluzkę i zlokalizował zapięcie biustonosza. Poradził sobie z nim jedną ręką. Mało tego, zajęło mu to mniej niż dwie sekundy. Sprawne palce były tylko jedną z jego licznych zalet.

Nie potrafiłam się oprzeć, kiedy zamruczał i poprosił, żebym na chwilę z niego zesła. Kiedy to zrobiłam, rozpiął mi spodnie i zsunął je do kostek wraz z majtkami. Wsunął dłoń między moje uda i potarł, po czym zaciągnął się tym zapachem. Ponownie zamruczał.

— Wiesz, gdybyśmy kiedykolwiek mieli dzieci, co nigdy nie nastąpi, ale hipotetycznie rzecz biorąc, gdybyśmy je mieli, to byłyby one idealne genetycznie. Sądząc po tym, jak bardzo działa na mnie twój zapach, miałyby najlepszą możliwą mieszankę genów — powiedział i był tą myślą szczerze zauroczony. Dziwny komplement, jeśli w ogóle można to rozpatrywać w takich kategoriach. — Jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety, która działałaby na mnie w taki sposób. Muszę cię mieć. I to teraz.

Nie cackał się długo. Kiedy zobaczył, że jestem gotowa na więcej,

bezceremonialnie wdepnął w moje spodnie i wyszarpnął stopy z nogawek. Pociągnął mnie do drzewa, oparł o nie i przycisnął się całym ciałem. Wsunął się we mnie szybko i mocno. Do końca. Dziękowałam Bogu, że wywiózł mnie za miasto, bo przynajmniej mogłam głośno jęknąć w odpowiedzi na jego działanie.

Elia był inny niż wszyscy mężczyźni, których poznałam. Co prawda wcześniej byłam w łóżku tylko z dwoma (ostatnich jednorazowych akcji po alkoholu nie liczyłam, bo większości nie pamiętałam), z czego jeden był nieporadny, a drugim był Igor. Z nim miłość była zmysłowa i subtelna. Dbał o mnie. Kiedy tylko zrobił coś mocniej, zaraz pytał, czy aby na pewno nic mi nie jest. Z Eliaszem było inaczej. On brał to, na co miał ochotę i na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że moja przyjemność wcale go nie obchodzi. Jednocześnie widziałam, jak mi się przygląda i pilnuje, aby całe moje ciało przeżywało ekstazę. O nic nie pytał, ale obserwował i wyciągał wnioski. Wiedział w jaki sposób dotykać. Był wrażliwy na każdy ruch i emocję. Uwielbiam delikatnych facetów, którzy wiedzą, kiedy być niedelikatnymi, a on doskonale wyczuwał, kiedy może sobie pozwolić na więcej.

Nie do końca o seks z nim mi chodziło, kiedy planowałam spotkanie, ale nie potrafiłam odmówić sobie tej przyjemności. Ciągnęło mnie do niego w jakiś bardzo zwierzęcy sposób, a skoro już i tak zarzucałam sobie zdradę z nim, to jeden raz więcej niczego nie zmieniał.

Po wszystkim usiedliśmy znowu na murku i rozmawialiśmy o górnolotnych ideach. Po moich myślach krążył jednak zupełnie inny temat. Marcie nie można było odmówić inteligencji. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak bardzo uparła się na popełnienie zbrodni. Przypomniałam sobie również, że jeszcze dwa dni wcześniej to Eliasza podejrzewałam o morderstwo, a nie wyobrażałam sobie zamachu na niego.

— Zapytałbym, czy nie było ci dobrze, ale sądząc po twoich krzykach, musiało być. Co więc zaprzęta ci głowę na tyle, że znowu masz smutną minę, złotko? — Elia wyrwał mnie z zamyślenia.

— Różne myśli. Świat jest przerażający. Przyszłość zapowiada się mgliście.

— Ale pierdolisz... Nie obawiaj się przyszłości, to bez sensu.

— Nie boję się jutra, boją się dnia dzisiejszego.

— Życie jest brutalne. To żadna nowość.

— Wczoraj słyszałam w radiu, że morderca porwał młodą dziewczynę. Jej rodzice są przerażeni. Nawoływali o wypuszczenie jej. Każdy, kto ma jakiegokolwiek informacje na jej temat byłby dla nich na wagę złota. To straszne. Najgorsza jest bezradność. Ich córka została uprowadzona, a oni nie mogą nic zrobić. Żyją ze świadomością, że morderca najprawdopodobniej zabije ich dziecko.

Elia się zaśmiał.

— Bawi cię to? — zapytałam.

— Bawi mnie twoja troska o osobę, której nie znasz.

— Ten facet kręci się po mieście. Mógł porwać każdego. Mnie również. To mnie martwi.

— Skąd w ogóle wiesz, że to facet? A może to kobieta? Za bardzo skupiasz się na tym, żeby zbawić świat. Niektórych rzeczy nie jesteś w stanie powstrzymać.

— Bierność jest twoim zdaniem odpowiedzią? Tu chodzi o życie ludzkie! Ludzie są porwani i mordowani, a ty wzruszasz ramionami?

— Nie martw się o Karolinę. Ta dziewczyna, którą rzekomo porwano, wcale nie została porwana. Uciekła z domu, bo matka ją gnębiła. Chciała kontrolować każdy jej krok, więc młoda spakowała manatki i uciekła do chłopaka, który siedzi w Irlandii.

— Skąd wiesz?

— To moja znajoma.

— Szerokie masz grono znajomych.

— Kręcę się po mieście. Wiele widzę, wiele słyszę, wiele osób znam. Taki urok życia muzyka. Nie chodzi o to, żeby wszyscy cię znali. Ważniejsze, żebyś ty znała wszystkich. Wtedy załatwienie czegokolwiek staje się dużo prostsze. Zresztą to takie moje małe hobby. Lubię poznawać ludzi, a później tworzyć między nimi powiązania. Jeśli znam kogoś, kto gra na basie i później poznam zespół poszukujący basisty, to sprawiam, żeby stanęli na swojej drodze.

— Kręcisz się wśród muzyków, więc to oczywiste.

— Nie chodzi tylko o muzykę. Znam specjalistów z różnych dziedzin. Jeśli ktoś potrzebuje dobrego mechanika, albo elektronika, to również mogę pomóc. Czasami zdarza mi się spotkać naprawdę zajebistych ludzi. Znam takich, których obrazy wiszą w galeriach, znam takich, którzy pracują na ulicy, albo w swoich garażach. Kiedyś poznałem perełkę. Dziewczyna miała może z dwadzieścia dwa lata, a mogła się pochwalić siedmioletnim doświadczeniem w pisarstwie. Była błyskotliwa i piekielnie inteligentna. Strasznie ją lubiłem i to nie tylko dlatego, że chciała napisać o mnie książkę. — Mimo mroku dostrzegłam, że jego twarz się rozjaśniła. Wspomnienie musiało wywołać falę pozytywnych uczuć. Nieczęsto widziałam Eliasza w takim stanie. Zwykle był mroczny i nie okazywał emocji. Tym razem rzucało się w oczy, że osoba, o której mówił, musiała zapaść mu głęboko w pamięć. I to w pozytywnym sensie.

Poczułam ukłucie zazdrości i chciałam wiedzieć więcej.

— Chciała, ale nie napisała?

— Nie zdążyła, niestety.

— Nie wytrzymała twojego sposobu bycia? — Szturchnęłam go zadziornie, ale nie podłapał. Miał kamienny wyraz twarzy.

— Nie. Zginęła. Przyczynił się do tego wspomniany wcześniej morderca. I nie mów mi tu o bierności, bo poświęciłem pół roku, żeby go znaleźć. Na marne.

Czasami nic nie można zrobić.

— Nie wiedziałam.

— Emilka była wyjątkowa. Zawsze się uśmiechała i zarażała pozytywną energią. Nie znam nikogo, kto mógłby jej nie lubić. Też byś ją polubiła.

— Skąd taki pomysł? — prychnęłam. Nie czułam się zainteresowana kimś, kto tak bardzo fascynował jego. Wolałabym, żeby o mnie wypowiadała się w podobny sposób.

— Byłybyście sąsiadkami. Mieszkała w tym samym budynku, piętro wyżej.

Serce zabiło mi szybciej. Coraz więcej wskazywało na to, że sąsiad spod szesnastki mógł mieć na sumieniu więcej niż przypuszczałam. Może Marta miała rację.

— Przynajmniej śmierć miała spokojną — kontynuował. — Została zabita we śnie, uduszona poduszką. To nabiera sensu, jeśli się ją znało. Nikt nie byłby w stanie zamordować jej w brutalny sposób. Nie była agresywna, brzydziła się przemocą, pracowała w bibliotece. Jeśli się z kimś nie zgadzała, używała inteligencji. Żelazną logiką i silnymi argumentami potrafiła przekonać każdego.

— Myślisz, że mogła w jakikolwiek sposób podpaść mordercy? Może miała jakieś tajemnice? Mroczną stronę, albo coś w tym stylu? — Pomyślałam o zdradzającym żonę Wojtku i usiłowałam przypisać mordercy szczyptę heroizmu. Łudziłam się, że mordował tylko złych ludzi.

— Emilka? W życiu! Najcieplejsza osoba, jaką poznałem. Dałbym sobie rękę uciąć, że trafiło na nią przypadkiem. Moim zdaniem ten cały niezapominajkowy zwyrol działa bez żadnego planu. Improwizuje, kiedy poczuje zew mordu. Później działa na tyle mądrze, żeby nie zostawić śladów, albo zatrzeć wszystkie pozostawione.

— Nie ma morderstwa idealnego.

— Zgadza się, ale policja w naszym kraju to nie jest CSI, złotko. Jeśli nie mają dowodów wyłożonych na tacy, to olewają sprawę. Nikt się nie pierdoli z analizowaniem jednej sprawy.

— Ale spraw powiązanych jest więcej. Może gdyby odkryć jakieś...

— Kto ma odkryć? Rutkowski, albo inny prywatny detektyw? Na jakim ty świecie żyjesz? Laura, tu jest Polska. Kogo obchodzi kilka morderstw? Dla władzy jesteśmy tylko pionkami.

Nie chciałam myśleć w taki sposób. Naiwnie wierzyłam, że mam wpływ na swoje życie. Naoglądałam się motywacyjnych mówców i nie przyjmowałam do wiadomości, że jestem tylko nieistotnym trybikiem. W końcu każdy trybik ma swoje zadanie i bez niego cały system może przestać działać.

— Pozwolę sobie zmienić nieco temat. Wiesz, co to jest przekomarzanie? To spacer wieczorem nad Odrą. Dosłownie musisz przedzierać się przez komary. Tutaj też zaczyna być coraz bardziej tłoczno, spadajmy — powiedział

z niesmakiem, po czym odwiózł mnie pod samo mieszkanie. Byłam w tym czasie dość milcząca. Własne myśli nie dawały mi spokoju.

Kiedy tylko zamknęłam za sobą drzwi, podążyłam prosto do ściany, na której rozwiesiłam zdjęcia wraz z informacjami o zbrodniach. Nic do siebie nie pasowało. Przypominało to papkę bez powiązań i logiki. Wpatrywałam się w mieszaninę faktów. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że coś mi umyka. Jedno ze zdjęć nie dawało mi spokoju. Przedstawiało młodego mężczyznę — Szymona Ciepłuchę. Wysokiego, szczupłego, z ciemnym, gęstym zarostem. Trzymał w rękach ramę od obrazu, czyniąc z samego siebie dzieło sztuki. Uśmiechał się do obiektywu. Samym spojrzeniem mówił, że można mu zaufać i pewnie rzeczywiście wiele osób to robiło. Zwłaszcza kobiet, bo idealnie wpisywał się w kanon hipsterskiego piękna i na pewno nie narzekał na powodzenie. To przywodziło mi właściwie jedyny powód, dla którego mógł zginąć z rąk mordercy — zazdrość. Pewnie dlatego ofiara miała zmasakrowaną twarz.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie mały, przytulny pub, w którym ludzie najchętniej pijają kolorowe shoty. Umieściłam Szymona właśnie w takim miejscu. Stał tam w szarym sweterku wśród znajomych i delikatnie bujał się w rytm muzyki. W regularnych odstępach czasu w niebo wznoszone były kolejne toasty, a śmiechom nie było końca. Niemal słyszałam przeboje ostatnich lat i pełne radości głosy, które prześcigały się w opowiadaniu zabawnych historii. Co najzabawniejsze, byłam w stanie wkleić do tego wyobrażenia również siebie. Stałam między tymi ludźmi i śmiałam się razem z nimi. Szymon patrzył na mnie dokładnie tym wzrokiem ze zdjęcia. Aż się cieplej robiło na sercu. Jednocześnie byłam pod wrażeniem, że potrafiłam stworzyć w głowie nawet jego zapach. Poczułam go, kiedy założył na mnie swoją kurtkę, bo bał się, że zmarznę.

Potrząsnęłam głową i wyrwałam się z tego śnienia na jawie. Czułam, że moja wyobraźnia pracuje na pełnych obrotach, więc uprzątnęłam rzeczy walające się wokół sztalugi, wciągnęłam farby i oddałam się czystej radości twórczej.

Rozdział 9

Pukanie do moich drzwi stało się codziennym rytuałem Marty. Jednakże ostatniego dnia kwietnia nie zobaczyłam w progu sąsiadki. Tym razem wizytę postanowił złożyć mi sąsiad spod szesnastki. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Jeszcze nie zaczął się maj, a ten już wyszedł na łowy. I to na mnie! Zastanawiałam się, czy powinnam zacząć krzyczeć, skoro domniemany morderca właśnie mnie nawiedził. Z drugiej strony takie zachowanie mogło mnie jeszcze szybciej wpakować do grobu. No i obiektywnie oceniając sytuację, facet wyglądał na spokojnego.

— Dzień dobry, sąsiadko — odezwał się pierwszy. Dygnęłam na przywitanie, ale nie potrafiłam wydobyć z siebie głosu. — Przyniosłem cukier.

— Yyy... cukier? — Szczyt mojej elokwencji w zderzeniu z mordercą.

— Ostatnio pani brakowało, więc tym razem postanowiłem wyprzedzić zapotrzebowanie. — Uśmiechnął się. — Przyznam szczerze, że jest mi trochę głupio za to, jak się wczoraj zachowałem. Może herbata w ramach zadośćuczynienia?

— Ja... yyy... no... — wydukałam. Przeszedł mi po plecach nieprzyjemny dreszcz, kiedy mężczyzna uznał to za zaproszenie. Przemknął przez framugę i znalazł się w przestrzeni mojego małego mieszkanka. Poczulałam się jak w klatce, w której sama się zamknęłam. Zwłaszcza, kiedy przypominałam sobie o ścianie zapełnionej informacjami o morderstwach. Wpadłam jak śliwka w kompot! Tymczasem morderca zatrzymał się przed rzeczona ścianą i zamarł na chwilę, przyglądając się moim odkryciom.

— Czuję farbę. Administrator nie będzie zachwycony — wspomniał, kiedy wyrwał się z letargu. Zamarłam. Bałam się wykonać jakikolwiek ruch.

— Neee... ja tylko obraz malowałam.

— Jest pani malarką?

— Troszkę. — Wskazałam płótno oparte na sztaludze.

Oczom gościa ukazały się niepozorne kreski w czarno-czerwonej kolorystyce. Na pierwszy rzut oka nie przypominały niczego, ale ja widziałam tam tunel do jakiegoś tajemniczego miejsca. Sama nie wiedziałam do końca, co to było. Dałam się ponieść inspiracji i słowo daję, że wtedy to miało większy sens. Sąsiad chyba podzielał moją opinię, bo przewrócił oczami i nie skomentował dzieła. Nie wchodziłam w polemikę. Na szczęście mojej sztuki ściennej również nie uraczył wypowiedzią.

Zniknęłam w kuchni pod pretekstem zrobienia herbaty. Przez myśl przemknęło mi wspomnienie o dosypaniu trutki na szczury. Na szczęście moje mieszkanie było czyste i nie potrzebowałam tego typu specyfików. Siłą rzeczy

nawet jakbym chciała, nie miałam mu czego dosypać. Nie wiedziałam, czy ta myśl powinna mnie uspokoić, czy wpędzić w jeszcze większą panikę.

— Tak w ogóle to jestem Andrzej — usłyszałam z pokoju.

Przedstawiał się wszystkim ofiarom przed morderstwami?

— Laura. Miło mi — odpowiedziałam, kiedy wróciłam z dwoma filiżankami. Mój gość usiadł w tym czasie na brzegu łóżka.

— Jeszcze raz przepraszam za moje wczorajsze zachowanie. Ostatnio nieczęsto miewam niezapowiedzianych gości, zrobiłem się trochę aspołeczny.

— Jak na aspołecznego człowieka jesteś dość towarzyski — zauważyłam. To się gryzło z moim pojęciem profilu psychologicznego zabójcy. Powinien być pozbawiony empatii i zimny, a on tymczasem uśmiechał się miło. W ogóle jakoś dziwnie normalny był. Może wcale nie chciał mnie zabić? Może przyszedł najpierw na przespiegi, bo chciał sprawdzić, czy nadaję się na ofiarę.

— Przez ponad dziesięć lat byłem dziennikarzem. Pewne nawyki pozostają w człowieku nawet, kiedy robi sobie dłuższą przerwę. Trochę zgrzybiałem, ale rozmawiać chyba jeszcze potrafię.

— Nie ukrywam, że jestem trochę zaskoczona wizytą.

— Nie ukrywam, że wizyta nie jest przypadkowa. — Puścił do mnie oczko i wziął dużego łyka herbaty. Byłam w szoku, że wrzątek go nie poparzył. No i dlatego, że chyba ze mną flirtował.

— Jak mam to rozumieć?

— Sprowadziłaś się stosunkowo niedawno. Mieszkamy po sąsiedzku. Drzwi w drzwi, balkon w balkon. Czasem słyszę śmiechy, czasami muzykę. Miło byłoby wiedzieć, kto jest za ścianą. Powiedz mi coś o sobie. Gdzie mieszkałaś wcześniej?

— Jestem z Radomia.

— Mhm, od dawna we Wrocławiu?

— Jak sam zauważyłeś, sprowadziłam się stosunkowo niedawno. Jestem tu od niecałego miesiąca — przypomniałam, ale nim skończyłam formować zdanie, miałam ochotę ugryźć się w język. Nie powinno się mówić mordercy, że jest się nowym w mieście i nie ma się znajomych, bo to czyniło mnie idealną ofiarą. Taką, której nikt nie będzie szukał. Czym prędzej rozgadałam się więc o tym, ilu wspaniałych ludzi poznałam, jak często się z nimi widzę i jak codziennie do mnie dzwonią.

Nie wyglądał na przekonanego. Pił herbatę i nie spuszczał ze mnie wzroku. Ja z kolei nie wiedziałam, na czym zawiesić spojrzenie. Migrowałam nim po całym pokoju.

— Dlaczego akurat Wrocław? Byłaś tu wcześniej?

— Przejadkowy wybór. Chciałam uciec, a Wrocław jakoś się napatoczył. Subskrybuję kilka czasopism architektonicznych i oferty z Wrocławia po prostu mi się spodobały. Spakowałam się i przyjechałam.

— Zdecydowałaś na podstawie ofert. I nigdy wcześniej tu nie byłaś?

— Nie. Nie wydaje mi się. Może przejazdem jeszcze jako dziecko. Właściwie jak o tym myślę, to coś w tym jest. Bardzo możliwe, że przejeżdżałam przez miasto, kiedy byłam mała. Musiało mi się spodobać, bo w jakiś sposób to miejsce wydaje mi się bliskie.

— Ciekawe. Lauro, powiedz mi, proszę, uważasz się za osobę skrytą, czy pewną siebie i otwartą na świat?

— Dziwne pytanie. Nie wiem. Chyba bardziej skrytą. Dusza artystki i te sprawy — rzuciłam bez zastanowienia. Sekundę później przypomniałam sobie, do czego byłam zdolna z Martą i Eliaszem. — Ale otwarta też jestem.

— Artystka. No tak. W to jestem w stanie uwierzyć. Nie jestem jednak pewien, jakiego rodzaju artystką jesteś. — Zaczął świdrować mnie wzrokiem, po czym zajrzał do filiżanki. Jej zawartość szybko wyparowała. — Herbata herbata, ale napiłbym się kawy. Kofeina pomaga mi się skupić. Mogę cię prosić? Pijam zwykłą czarną, sypaną z dodatkiem odrobiny mleka. A ty jaką kawę pijasz?

— Ja... — zawiesiłam się. Cholera, takie proste pytanie okazało się dla mnie zabójcze. Przed przyjazdem do Wrocławia praktycznie wcale nie piłam kawy, bo mi nie smakowała. Później Kordian zaproponował mi swoje wyszukane latte, którego nie miałam odwagi odmówić. W dodatku okazało się całkiem smaczne. Przy Eliaszu zgrywałam znawcę i razem piliśmy kawę czarną jak jego dusza. Z kolei po wieczorach z Martą o poranku niezastąpione było espresso. Każdemu oczywiście przytakiwałam, kiedy powtarzał, że to co pija, jest najlepszą wersją.

— Wolę sok — odpowiedziałam w końcu i uciekłam do kuchni.

— Sok z buraków jest podobno mocno energetyczny. Działa nawet lepiej, ale nie potrafiłem się przekonać do smaku. Kawa o poranku jest jak rytuał, którego ciężko sobie odmówić. Choć przyznaję, że może picie dziesięciu filiżanek dziennie to lekka przesada.

— Dziesięciu? — zapytałam. Nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam liczbę. To by oznaczało ponad dwukrotne przekroczenie bezpiecznej dawki kofeiny. Czyżby psychopaci mieli większą odporność?

Starłam się zostać w kuchni jak najdłużej, ale w końcu musiałam się wynurzyć. Denerwowało mnie to, że nie potrafię improwizować na bieżąco i wymyślić sobie jakiejś wymówki. Usiadłam tak daleko, jak tylko się dało usiąść, żeby jednocześnie nie wyglądało to na celowe budowanie dystansu.

— Taki tryb życia. Jak już wspominałem, ostatnio sporo siedzę w mieszkaniu.

— Mówiłeś, że byłeś dziennikarzem. A czym teraz się zajmujesz? — zagadnęłam, żeby zmienić temat. Męczyło mnie udzielanie odpowiedzi. Wołałam zadawać pytania. Może udałoby mi się przy okazji wyciągnąć z niego jakieś informacje o popełnionych zbrodniach.

— Obecnie jestem bezrobotny, ale zamierzam wrócić do zawodu. Byłem w tym dobry. Dalej jestem. Potrafię czytać ludzi — powiedział. Minę miał grobową.

Przełknęłam ślinę i zaczęłam się zastanawiać, czy jest szansa, że nie zginę skacząc z piątego piętra. Innej opcji ucieczki chyba nie miałam. Nie zdążyłabym dobiec do drzwi, otworzyć ich i uciec. Andrzej zdołałby mnie dopaść.

— Dlaczego kłamiesz, Lauro? — zapytał. Czułam, jak kolana zaczynają mi się trząść, a fala ciepła nieprzyjemnie rozlewa się po ciele. Miałam wrażenie, że zaraz zemdleję.

— Nie kłamię — szłam w zaparte.

— Rozumiem nieufność. Nie znamy się, a ja nagle cię nachodzę. Zapewniam jednak, że nie mam złych zamiarów — powiedział. Poglaskał mnie po wierzchu dłoni w uspokajającym geście. To trochę zbiło mnie z tropu. — Jestem tu dlatego, że coś mnie tknęło po tym, jak przyszłaś po cukier. Wcześniej minęliśmy się przy drzwiach, ale nie skojarzyłem od razu. Dopiero wczoraj, kiedy siedziałem przy materiałach, to zdjęcie rzuciło mi się w oczy.

Wyciągnął z kieszeni wydrukowaną fotografię, na której można było dostrzec bawiących się ludzi. Na pierwszym planie dwaj mężczyźni przybijali sobie piątkę. W jednym z nich rozpoznałam Andrzeja. W pierwszej chwili nie zrozumiałam, o co mogło mu chodzić.

— To zdjęcie sprzed roku wykonane przez lokalnego fotografa w Aferze. To dość mocno oblegany pub — wytłumaczył.

— Co w związku z tym?

— Jeśli spojrzysz w lewy róg, przy kolumnie zobaczysz jedną z ofiar grasującego po Wrocławiu mordercy. To Szymon Ciepłucha. — Wskazał odpowiednią postać. Jednakże nie to najbardziej mnie zszokowało. Dosłownie zamarłam. Obok chłopaka stała dziewczyna kropka w kropkę podobna do mnie. Mało tego, zdjęcie aż nazbyt realistycznie oddawało wyobrażenie, które niedługo wcześniej zrodziło się w mojej głowie.

— Jak cię zobaczyłem, to czułem, że już gdzieś cię widziałem, ale nie skojarzyłem. Kiedy przekopywałem się przez materiały, wpadłem na to zdjęcie. Dlaczego nie przyznałaś się, że już byłaś we Wrocławiu?

— Bo nie byłam.

— To zdjęcie temu zaprzecza. Znałaś Szymona Ciepłuchę.

— Nie znałam. — Pokiwałam głową. Wciąż przypatrywałam się zdjęciu i zastanawiałam się, czy takie podobieństwo jest w ogóle możliwe. Niby co chwilę słyszy się o sobowtórach sławnych ludzi, ale jakoś ciężko było mi znaleźć odpowiednią reakcję, kiedy chodziło o mnie.

— Laura, proszę, to dla mnie ważne. Jeśli wiesz coś, co mogłoby mi pomóc zidentyfikować mordercę...

Znowu poczułam się wybita z rytmu. Jeśli chciał znaleźć mordercę, to raczej... nim nie był?

— Sama chciałabym go zidentyfikować!

— Widzę. — Skinieniem głowy wskazał ścianę. — Tym bardziej uważam, że możemy sobie pomóc. Myślę, że jesteśmy w podobnej sytuacji. Straciłaś kogoś, kto był dla ciebie wszystkim, prawda?

— W sumie... prawda. — Nie potrafiłam zaprzeczyć. Utrata Igora była dla mnie ciężkim doświadczeniem. — Ale to nie to, co myślisz. On ode mnie po prostu odszedł. Nikt go nie zamordował.

— A moją żonę zamordował ten psychopata. I, choć twoja historia również jest dla mnie ważna, to naprawdę nie obchodzi mnie, jakie pobudki tobą kierują. Widzę, że chcesz dorwać mordercę Szymona i to mi wystarcza. Obiecałem sobie, że pomszczę żonę i słowa dotrzymam.

— Żonę... — powtórzyłam po nim. Spojrzałam na swoje notatki ścienne i od razu wiedziałam, o kim mówiliśmy. Tylko jedna osoba pasowała do roli żony.

— Była młoda i piękna. Dopiero rozwijała skrzydła. — Westchnął, a ja jeszcze raz spojrzałam na notatki. Ciężko szło mi skupianie się. Nie mogłam oderwać wzroku od fotografii, którą miałam w rękach. Ukradkiem zerkałam na ścianę, żeby przypomnieć sobie wizerunki ofiar. Elżbieta Trzebiatowska nie należała do najpiękniejszych. Emilia z kolei nie wyglądała na taką, która miałaby męża. Zresztą myślę, że Elia by mi o tym wspomniał.

— Z pewnością odeszła zbyt szybko — powiedziałam w nadziei na to, że rozwinię temat i rozwieje moje wątpliwości.

— Kilka miesięcy przed śmiercią dostała awans. Ciężko zapracowała na stanowisko kierowniczkę działu ubezpieczeń. Może nie jest to szczyt marzeń, ale cieszyła się. Zawsze dawała z siebie wszystko i w końcu ktoś to docenił. A później ta tragedia. Na samo wspomnienie dostaję szału. Ktoś mi ją brutalnie odebrał i to właśnie wtedy, kiedy mieliśmy ogłosić światu radosną nowinę.

— Radosną nowinę?

— Ela była w ciąży. Szósty tydzień.

— O matko... tak mi przykro. — Nawet nie starałam się zrozumieć, jakie piekło przeżył ten człowiek. Byłam jednak pewna, że nie był mordercą. Jeśli się myliłam, to znaczy, że był najlepszym mordercą w historii morderców, bo tak przekonującej gry aktorskiej w życiu nie widziałam.

Schował twarz w dłoniach i zaszlochał cicho.

— Byliśmy razem od dziewięciu lat. Rok po ślubie. Przez dobre siedem miesięcy staraliśmy się o dziecko, a kiedy nam się udało, ten bydlak odebrał mi wszystko. Moją ukochaną Elę i nasze nienarodzone dziecko... Załamane się. Nie wytrzymałem tego. Wypieprzyli mnie z roboty, bo nie potrafiłem już dotrzeć do ludzi. Zgorzkniałem, odciąłem się od świata. A potem ten psychol znowu

zaatakował. Zginął kolejny człowiek, ten twój znajomy. — Andrzej podniósł głowę i spojrzał na mnie, jakby oczekiwał podobnej reakcji emocjonalnej na wspomnienie Szymona. Ja wciąż jednak nie kojarzyłam ani człowieka, ani sytuacji. Na potrzebę chwili, postanowiłam nie upierać się przy prawdzie. Twierdząc, że go znałam, mogłam wyciągnąć więcej informacji.

— Tak, to było straszne dla nas wszystkich — potwierdziłam.

— Zacząłem bardziej się temu przyglądać. Szukałem powiązań, ale jak pewnie sama zauważyłaś, żadnych nie ma. Nikt nie potrafi wskazać zabójcy. Ofiary nie miały żadnych wspólnych znajomych. Na chwilę przed śmiercią nikt nowy nie pojawiał się w ich życiu. Nikt nic nie wie. Nikt nie ma nawet przypuszczeń, co do tego, kto może być kolejną ofiarą. Najprawdopodobniej to zostanie tajemnicą aż do 6 maja. Kurwa, nie mogę tego znieść! — Uderzył pięścią w stół. Aż filiżanka się zatrzęsała.

— Spokojnie.

— Nie mogę! Obiecałem sobie, że dopadnę go przed kolejnym morderstwem, a tymczasem jestem bezradny! Bezradność to najgorsze uczucie na świecie. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. Nie wiem, gdzie skierować wzrok. Jak podejść do tematu. Myślałem już o wszystkim, ale to musi być jakiś geniusz, bo nikt nie potrafi go rozpracować. Zastanawiałem się nad symboliką niezapominajek — oznaczają wierność w miłości. To pasowałoby do pana Kozła, ale nie do reszty ofiar. Moja żona była mi wierna. Ja jej również. Zacząłem więc rozważać dostępność kwiatów i okazuje się, że niezapominajki można znaleźć tylko w jednej kwiaciarni we Wrocławiu, ale z relacji właścicielki, nie ma na nie popytu i w ciągu ostatnich lat, tylko dzieciaki z gimnazjum decydowały się na ich zakup. Skąd więc bierze je morderca? To wszystko jest jedną wielką niewiadomą. Nic nie jest pewne. W jednej chwili myślę, że to mężczyzna, bo trzeba nie lada siły, żeby zmasakrować kogoś nogą od krzesła. W drugiej chwili mam wrażenie, że to kobieta, bo morderstwo pana Kozła wyglądało na robotę kochanki. Nie potrafię ustalić nawet tak banalnej cechy, jak płeć mordercy, a byłem dziennikarzem śledczym. Pieprzonym dziennikarzem śledczym, Laura. Prośenie o pomoc nie leży w mojej naturze, ale... pomóż mi, proszę. Szymon Ciepłucha to jedyna ofiara, o której nie mam prawie żadnych informacji. Jeśli go znałaś, to powiedz mi wszystko, co mogłoby być istotne. Razem złapiemy tego bydlaka.

Najpierw zrobił mi cały wywód, a później właściwie postawił przed faktem dokonanym. Musiałam mu pomóc, bo nie wypadało zrobić inaczej. Problem tylko w tym, że sama nie wiedziałam, jak podejść do tematu. W końcu wcześniej to właśnie jego podejrzewałam o morderstwa. Był głównym podejrzanym, bo przecież groził Marcie.

— Nie wiem, czy mam jakiegokolwiek przydatne informacje — przyznałam się, a później opowiedziałam mu o tym, czego dowiedziałam się na jego temat

z Internetu. Nic mu to nie dało, bo zrobił podobne rozpoznanie.

— Nie wiem, co dalej. — Westchnął i przeczesał dłonią włosy. Miał nieobecne spojrzenie, a ja postanowiłam wykorzystać jego rozkojarzenie.

— Mam do ciebie pytanie — powiedziałam i czekałam na reakcję. Spojrzał na mnie, więc kontynuowałam: — Kojarzysz naszą sąsiadkę spod osiemnastki?

— Martę? — zapytał, a ja przytaknęłam. — Bardzo dobrze ją kojarzę.

— A więc przyznajesz się, że ją śledziłeś i groziłeś jej?

— Słucham? To ona łąziła za mną krok w krok. Umówiliśmy się raz na kawę, ale to wszystko.

— To wszystko? I wcale nie dobijałeś się do jej drzwi tydzień temu? — zapytałam. Aż za dobrze pamiętałam, jak Marta przybiegła do mnie roztrzęsiona.

— Ach, to... — Przewrócił oczami. — To trochę żenująca historia. Wolałbym o tym nie rozmawiać.

— Myślała, że chcesz ją zamordować. Wzięła cię za mordercę i już nawet zaplanowała, jak się ciebie pozbyć.

— Ta kobieta to wariatka. Trzymaj się od niej z daleka. Dla własnego bezpieczeństwa.

— Marta jest specyficzna, ale mam z nią całkiem dobry kontakt. Nie jest groźna. Jest po prostu... — Znowu przypomniało mi się to, co robiłyśmy z Eliaszem. — ... oryginalna.

— Wróćmy, proszę, do tematu — rzucił, a ja przytaknęłam. Tak było prościej.

Zaczęliśmy wspólnie analizować po kolei wszystkie morderstwa, licząc na to, że wymieniając myśli, będziemy w stanie dojść do jakichś nowych wniosków. Andrzej miał większe możliwości i dotarł do raportów policyjnych, z których można było wywnioskować, że ofiary były zaskoczone. Za każdym razem brakowało oznak ataku — żadnego naskórka pod paznokciami, żadnych śladów przetrzymywania, czy porwania. Jakby ofiary dobrowolnie dopuściły mordercę bardzo blisko — jakby to była osoba, którą znali.

Rozdział 10

Rozpoczął się maj, a wraz z nim zamiast słońca i wyższych temperatur, przyszło narastające napięcie. Miasto niby żyło swoim życiem, ale jednocześnie na twarzach ludzi można było odnaleźć strach i niepewność. Bardziej niż zwykle obawiali się o własne życie. Ja z kolei im dłużej siedziałam w tym mieście, tym bardziej przestawałam poznawać samą siebie. Coraz częściej nie rozumiałam własnego zachowania i podejmowanych decyzji. Uciekałam od stabilizacji, choć zawsze lubiłam poukładane życie. Lgnęłam do adrenaliny i niebezpieczeństwa, a jednocześnie biernie patrzyłam na wszystko, co mnie otacza. Starłam się odciąć. Szczególnie po tym zdjęciu, które pokazał mi Andrzej. Miałam ochotę uciec jak najdalej od tematu morderstw. Szumiało mi w głowie od nadmiaru myśli. Próbowałam je odgonić, dryfując bezwładnie. Wybrałam się na basen, bo szum wody zawsze mnie uspokajał. Jako nastolatka uwielbiałam przesiadywać godzinami w wannie i słuchać wypadającego z kranu strumienia.

Nareszcie udało mi się odprężyć. Niestety właśnie w takiej chwili poczułam, jak ktoś wpycha mnie pod wodę. Poczulałam ucisk na ramionach. Chciałam krzyknąć, ale przez to tylko straciłam resztki tlenu, który miałam w płucach. Otworzyłam oczy i spod wody zobaczyłam twarz Leny. Podtapiała mnie.

Szybko się wyrwałam i wynurzyłam. Przede mną nie było Leny, tylko jakiś gruby dzieciak. Śmiał się, jakby właśnie wyszedł mu świetny kawał. Dwa metry za nim pędziła równie otyła matka, która wydzierała się, jakby ją obdzierali ze skóry.

— Karolek! Karolek! Nie wolno! — kwiczała, po czym kiedy w końcu doleciała do nas, zaczęła mnie szarpać za ramiona i wyciągać z wody. — Nic się pani nie stało? Strasznie przepraszam. Karolek ma czasami głupie pomysły. Wie pani, jakie te dzieci są. Strasznie przepraszam.

— Nic się nie stało — odpowiedziałam, kiedy w końcu byłam w stanie odetchnąć. Kaszlnęłam kilka razy i przetarłam oczy.

Ratownik zdążył zainteresować się sytuacją. Stał na brzegu basenu ze skrzyżowanymi rękami i przyglądał mi się z grobową miną. Nie odezwał się nawet słowem. Ja z kolei miałam dosyć pływania. Wyszłam z wody czując jeszcze jak chlor drapie mnie w gardło. Nie pozbyłam się tego uczucia aż do wejścia pod prysznic. Tam z kolei wszystkie wewnętrzne bariery puściły i zaczęłam płakać. Nie wiedziałam do końca dlaczego. Chyba po prostu to wszystko mnie przerastało. Tęskniłam za Leną. Nie potrafiłam żyć bez Igora. Zdradzałam Kordiana. Podążałam jak głupia za Eliaszem. Tylko Marta była mi w tym wszystkim oparciem. Zawsze mogłam z nią pogadać. Odkąd Lena zniknęła, to była pierwsza kobieta, z którą miałam tak dobry kontakt. Może desperacko próbowałam znaleźć kogoś na miejsce siostry. Czułam, że moje życie jest strasznie puste, a ja jestem

samotna jak nigdy wcześniej.

Tymczasem wieczorem, zamiast szykować się do spotkania z rodzicami Kordiana, wolałam pędzić na motorze. Wtulałam się w Eliasza, a on przygryzał wykałaczkę i uśmiechał się do pustej drogi. Później wylądowaliśmy w barze, słuchałam jak gra, piliśmy, pieprzyliśmy się i rozchodziliśmy w swoje strony. Podobała mi się dawka adrenaliny, którą przy nim czułam. Wiedziałam, że nie traktuje mnie poważnie, a jednak nie przestawałam się z nim spotykać. Imponowała mi jego niezależność. Chciałam stać się podobna, wolna od zobowiązań i przywiązania. Chciałam zapomnieć w końcu o Igorze, choć Marta powtarzała, że wcale go nie kochałam. Nie byłam zakochana w nim, tylko w samej wizji bycia zakochanym. Ten stan podobał mi się tak bardzo, że chciałam w nim trwać bez względu na wszystko. Nie do końca kupowałam takie tłumaczenie, bo choć z psychologicznego punktu widzenia miało sens, to jednak uczucia temu przeczyły. Kochałam Igora i potrafiłam wymienić, za co konkretnie go kocham. Usiłowałam jednak tłumić w sobie to uczucie. Potrzebowałam wolności, skoro on nie chciał być przy mnie. Sumienie, które niegdyś powstrzymywałoby mnie przed podobnym zachowaniem, teraz krzyczało jakby ciszej, niemal niesłyszalnie. Zatraciłam gdzieś grzeczną Laurę na rzecz wulgarnej, szalonej dziewczyny, której do końca nie poznawałam. Czułam, jakbym gdzieś po drodze zatraciła siebie, ale nie potrafiłam zlokalizować konkretnego momentu, w którym to się stało.

— Dlaczego masz taką głupią minę? — Elia wyrwał mnie z zamyślenia. Czarujący jak zwykle.

— Jaka?

— Jakby coś cię bolało. Masz złe dni?

— Nie. Zamyśliłam się. Chyba... chyba tęsknię za tym, co było. Jaka byłam.

— To nieistotne. Swoją drogą, uwielbiam ten tekst: „to nieistotne”. Możesz powiedzieć wszystko, a te dwa słowa zawsze będą pasowały. Tak naprawdę nic nie jest istotne. To ty w swojej małej główce nadajesz znaczenie wszystkiemu. Ja nie tęsknię za przeszłością. Nie mam za czym tęsknić. Moja przeszłość to porażka. Nie umiałem kochać ani doceniać ludzi, teraz też nie potrafię. Popelniam błędy, które są sprzeczne z tym, co mówię innym. Ale to nieistotne.

— A ja tęsknię.

— Tęsknota to słabość.

— Najwidoczniej jestem słaba, ale cóż... taka już jestem. Gdybym się zmieniła, przestałabym być sobą.

— Co za pieprzenie... gówno prawda. Rozwój wiąże się ze zmianami. Nie można zmieniać się dla kogoś, ale zmiana sama w sobie to nie jest coś złego. Nie znoszę, kiedy ludzie używają tego, jako pretekstu do pozostania biernym. Jeśli coś ci w sobie nie pasuje, to to zmieniasz. Jeśli komuś coś w tobie nie pasuje, ale ty tę cechę lubisz i akceptujesz, to każesz mu się walić i idziesz dalej.

Eliasz i jego filozofie. Dla niego wszystko było proste. Świat był czarny, albo biały. Ja z kolei miałam wrażenie, że popadam w szarość, bezbarwność.

— Ja się chyba aż za bardzo zmieniałam. — Spuściłam głowę i wlepiłam wzrok we własne palce. Przebierałam nimi nerwowo.

Eliasz uderzył pięścią w stół. Wszyscy wokół nagle zamarli, a ja spojrzałam na niego lekko przestraszona. Piorunował mnie spojrzeniem, a usta miał ściśnięte w cienką kreskę.

— Nigdy nie odwracaj wzroku. Patrz przed siebie. Spójrz życiu prosto w oczy. Pierdol to, czy jest dobrze, czy źle. Masz wszelką sposobność do tego, żeby zmienić wszystko.

— A co ja mogę...?

— Mogłabyś proszę zamknąć na przykład ryj, zanim kompletnie stracę do ciebie szacunek.

— Trochę przeginasz — upomniałam go.

— Przecież powiedziałem „proszę”.

— Nie mam ryja — rzuciłam naburmuszona.

Eliasz przewrócił oczami, powiedział coś po włosku i westchnął do nieba.

— Nie znasz się na żartach. No dobra, mordkę w ostateczności. — Nagle jego nastrój odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Na ustach miał uśmiech, a w oczach diabliki.

— Przerażasz mnie...

— Jestem jak ocean. To zabawne, że ludzie uwielbiają go w słoneczny dzień, kiedy bryza lekko smaga ich twarze. Jednak kiedy zachodzi słońce, zrywa się przeszywający wiatr, a woda ciemnieje, każdy ucieka w popłochu. Nikt nie chce pływać z rekinami i przeciwstawić się falom. Kiedy mieszkałem nad morzem, uwielbiałem przyglądać się sztormom. Sprawily, że czułem się wolny, ale ty się w to nie baw. Jestem jak sztorm. Zmokniesz i się przeziębisz, więc lepiej uciekaj.

— Nie chcę uciekać.

— Bo jesteś głupia. — Uśmiechnął się i chwycił mnie za podbródek. Po chwili czułam już na sobie jego usta. Szybko przyciągnął mnie bliżej i wziął na kolana. Usiadłam na nim okrakiem, zatopiliśmy się w sobie. Wszystko było nieistotne. Zwłaszcza to, że otaczali nas ludzie, którzy z niesmakiem patrzyli na nasze igraszki. Elia miał ich gdzieś, więc ja także nie zamierzałam się przejmować. Kiedy wsunął mi dłoń pod bluzkę, serce zabiło mi szybciej. Przeginaliśmy. Łamaliśmy wszelkie normy społeczne i kulturowe. Świat kręcił się tylko wokół nas, więc kiedy kelnerka podeszła zwrócić nam uwagę, posłałam jej mordercze spojrzenie. Sama się sobie dziwiłam, ale zareagowałam bardzo agresywnie. Eliasz wręcz przeciwnie, uśmiechnął się zadziornie.

— Jeśli komuś przeszkadzamy, może odwrócić wzrok, ale jeśli ktoś jest zazdrosny — zaczął mówić głośniej — to zapraszamy. Można się przyłączyć.

Przesunął dłonią po moim boku, jakby chciał zaprezentować sprzedawany towar, po czym klepnął mnie w tyłek.

— Ona jest naprawdę niesamowita — dodał, a kilku mężczyzn spojrzało lubieżnie w moim kierunku.

— Przeginasz — warknęłam.

— Och, słonko... nie jestem zazdrosny. Mogę się tobą podzielić.

— Nikt nie będzie się mną dzielił. Mam tego dość.

Wstałam i ruszyłam w kierunku wyjścia. Nie zabrałam nawet płaszcza. Właściwie liczyłam, że Eliasz pójdzie za mną i chociaż spróbuje mnie przekonać, żebym została. Niestety się przeliczyłam. Zaśmiał się pod nosem i oznajmił wszystkim, że już nie muszą się obawiać zgorszenia. To sprawiło, że wściekłam się jeszcze bardziej. Przyspieszyłam kroku, żeby jak najszybciej znaleźć się z dala od niego.

To było ponad moje siły. Usiłowałam sobie wmówić, że nie potrzebuję skonkretyzowanej relacji, że jestem ponad to, ale okłamywałam samą siebie. Czułam, jak łyzy cisną mi się do oczu i robiłam wszystko, żeby je powstrzymać. Nigdy nie lubiłam publicznego okazywania negatywnych emocji. To nie są zachowania społecznie akceptowalne. Ludzie wolą patrzeć na uśmiechniętych przechodniów, niż na takich, którzy krzyczą, albo płaczą. Każdy ma wystarczająco dużo swoich problemów, żeby przejmować się cudzymi. Powinnam mieć to gdzieś, tak jak jeszcze przed chwilą, ale nie potrafiłam. Marta powtarzała w nieskończoność, że przesadna emocjonalność to droga donikąd, ale emocje były częścią mnie. Dzięki nim czułam się człowiekiem.

Byłam w części miasta, której nie znałam. Trochę się zagalopowałam i wylądowałam na skraju ulic, których nazwy nic mi nie mówiły. Zaczęłam iść przed siebie szukając jakiegokolwiek wyznacznika — wysokiego budynku, albo charakterystycznego punktu. Z Eliaszem wiele jeździliśmy, z Kordianem sporo zwiedzałam, ale miesiąc, to wciąż było za mało czasu, aby dobrze poznać miasto. W końcu się poddałam i sięgnęłam do kieszeni, aby skorzystać z gpsa. Niestety właśnie wtedy odkryłam, że zarówno komórka, jak i dokumenty, zostały w płaszczu. Płaszcz z kolei został z Eliaszem.

Rozejrzałam się jeszcze raz i z przykrością musiałam stwierdzić, że jestem w dupie. Jak to zwykle w takich momentach bywa, właśnie wtedy pogoda musiała się spieszyć. Z nieba przykrytego coraz gęstszymi chmurami powoli zaczęło kropić.

Nie miałam gdzie się schować. Znalazłam się pomiędzy blokami, które nie miały nawet zadaszonych wejść na klatkę schodową. Drzewa z kolei nie miały wystarczająco dużo liści, by można było się pod nimi schronić. Zaczynałam czuć, jak krople deszczu spływają po mojej twarzy, więc przyspieszyłam kroku. Dostrzegłam najwyższy budynek w mieście, co dało mi podstawy do spekulacji.

Oczywiście okazało się, że idę w nieodpowiednią stronę. Jakby to powiedział Kordian: „Kierunek właściwy, ale zwrot przeciwny”. Czym prędzej odwróciłam się i popędziłam w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Deszcz zasiekał coraz mocniej, a wiatr wiał prosto w twarz. W dodatku wracając musiałam przejść obok pubu, w którym byłam z Eliaszem. Usiłowałam się zmusić do szybkiego przebiegnięcia, ale mimowolnie zatrzymałam się na moment. Eliasz wciąż siedział w środku z gitarą w ręce. Grał ku uciechu gawiedzi. Wyglądał, jakby nawet nie zauważył mojej nieobecności, a ja zrozumiałam, że nigdy nie byłam mu potrzebna.

Kiedy w końcu dotarłam na przystanek autobusowy, byłam przemarznięta i mokra. Oparłam się o szybę wiaty przystankowej, zamknęłam oczy i uśmiechnęłam w duchu. Ciekawe, czy Igor byłby bardzo zniesmaczony moim zachowaniem. Może wręcz przeciwnie, spodobałoby mu się to, że potrafię przekraczać własne granice. Może chciałby przekraczać je ze mną. Wciąż miałam w pamięci, ile przyjemności sprawiał mi każdy jego dotyk.

Spojrzałam w kierunku ulicy, z której wyjeżdżał samochód. Środkiem skrzyżowania przebiegała młoda blondynka, na którą kierowca krzyknął. Wyzwał ją, zatrąbił jeszcze raz i odjechał z piskiem opon.

Jeszcze dłuższą chwilę wpatrywałam się w to miejsce. Nie dlatego, że facet prawie rozjechał tam dziewczynę. Nie dlatego, że było to jakieś piękne miejsce. Nie dlatego, że znajdowało się tam coś fascynującego, ciekawego, interesującego architektonicznie. Miałam po prostu wrażenie, że mam *déjà vu*. Jakbym już tu wcześniej była. Jakbym szła tą ulicą. Jakbym słyszała jak szumią te drzewa.

Autobus podjechał, więc nie miałam czasu dłużej się nad tym zastanawiać. Wpadłam w coś w rodzaju próżni. W kobiecej głowie zwykle krąży miliard myśli na minutę, a moja była bardziej pusta niż skrzynka pocztowa posłanki Grodzkiej w walentynki. Zwracałam uwagę na miasto tonące w deszczu, rozpoznawałam trasę autobusu i wiedziałam, kiedy mam wysiąść, a jednak miałam wrażenie, że myślami jestem w zupełnie innym miejscu.

Kiedy wysiadłam, szybkim krokiem ruszyłam do mieszkania. Przeraziłam się, kiedy ktoś dotknął mojego ramienia.

— Pani Lauro, spokojnie, to tylko ja — odezwał się znajomy głos. Odwróciłam się i zobaczyłam Andrzeja.

— Przestraszył mnie pan.

— To nie było celowe, ale dobrze, że na siebie wpadliśmy. — Wziął mnie pod ramię i wciągnął pod swój parasol. — Całkowicie pani przemokła. Chodźmy czym prędzej do środka.

— Nie spodziewałam się deszczu. Wcześniej była ładna pogoda — starałam się wytłumaczyć. Dopiero kiedy się odezwałam, zrozumiałam, jak zimno mi było. Głos mi drżał, a kolejne słowa z trudem przechodziły przez gardło.

— W tym mieście trzeba spodziewać się niespodziewanego. W maju lepiej mieć lekką kurtkę, niż jej nie mieć. Wie pani jak to jest. Przewrotny zawsze ubezpieczony.

— Nie mam jeszcze ubezpieczenia. Dopiero co zatrudniłam się w nowej firmie. Jeszcze nie wypełniłam wszystkich papierów, ale M... — zacięłam się — ...znajoma ma mi pomóc z ubezpieczeniem.

— Marta? Prosiłem, żebyś trzymała się od niej z daleka. Ta kobieta jest niezrównoważona.

— To pana opinia — odparowałam. Marta była najbliższą mi osobą w całym mieście. Miała swoje dziwactwa, ale któż nie ma? Czułam się nieswojo, kiedy ktoś ją obrażał.

— Co do opinii, mam nowe dane na temat morderstw. Staralem się podejść do tematu odrobinę inaczej. Stanąć z boku i spojrzeć na wszystko jeszcze raz. Zacerpnałem więc opinii osoby, która nie jest w to wszystko zamieszana. Rozumiesz, chodzi o kogoś z czystym umysłem. Kogoś, kto rzuci na sprawę nowe światło. Taką osobą okazał się mój stary przyjaciel — zaczął opowiadać. W tym czasie dotarliśmy już na nasze piętro.

— Przepraszam, że przerwę, ale jestem zmęczona, zmarznięta i mokra. — Jedną dłonią chwyciłam za klamkę, a drugą zaczęłam grzebać w kieszeni w poszukiwaniu klucza. Dziękowałam sobie w duchu za to, że nie zostawiłam go w płaszczu, jak reszty rzeczy.

— Ale przyjdź koniecznie później. Dokończymy rozmowę.

— Właściwie... — zastanowiłam się. Tak naprawdę nie miałam ochoty siedzieć sama. Nie do końca czułam też potrzebę spotkania się z Martą. Ona wciąż z ekscytacją w głosie mówiła o Eliaszu i nakręcała mnie na niego przy każdej okazji. Nie była odpowiednią osobą do rozmowy. Zasadniczo Andrzej też nie był do tego odpowiedni, ale przy nim przynajmniej mogłam czymś zająć myśli. — Może wezmę u ciebie szybki prysznic, a ty o wszystkim mi opowiesz?

— Jak uważasz — odpowiedział lekko zdziwiony. — Zapraszam, jeśli tylko masz ochotę.

— Nie chcę siedzieć teraz sama. To był ciężki dzień.

— Zaparzę herbatę. Mam co prawda tylko klasycznego Earl Greya, ale musisz mi to wybaczyć. Nic innego nie pijam.

— Nie szkodzi. Klasyczne rzeczy są dobre. — Uśmiechnęłam się. Weszliśmy do mieszkania, gdzie Andrzej od razu rzucił się do szafki, z której wyciągnął dla mnie ręcznik.

— Dam ci również koszulkę. Mokrych ubrań raczej na siebie nie założysz. To mijałoby się z celem. Mydło, szampon, korzystaj z czego chcesz. W łazience jest też szlafrok, jakbyś chciała się okryć.

— Dziękuję — rzuciłam. Spojrzałam na niego krótko. Właściwie w jakiś

nieporadny sposób był uroczy. Przez chwilę miałam nawet ochotę go pocałować, choć to najprawdopodobniej efekt nagromadzenia złych emocji. Brakowało mi bliskości — to zawsze mnie uspokajało.

Powstrzymałam się przed wykonaniem jakiegokolwiek ruchu. Zamiast się na niego rzucić i odreagować, zamknęłam się za drzwiami łazienki. Powoli zsuwałam z siebie mokre ubrania, jakbym w jakiś ekshibicjonistyczny sposób chciała, żeby mi się przyglądał przez dziurkę od klucza. Dopiero, kiedy stanęłam pod prysznicem i usłyszałam szum wody, pomyślałam o Kordianie. W jego ramionach mogłam się schować. Sęk w tym, że nie chciałam. Nic do niego nie czułam i nie potrafiłam tego dłużej ukrywać. Był świetnym facetem, ale nie dla mnie. Wiedziałam, że muszę z nim zerwać.

— Jeśli lubisz klasyczne rzeczy, to mam coś, co przypadnie ci do gustu — dobiegło mnie zza drzwi. Chwilę później po pomieszczeniu rozniosły się dźwięki *Adagio* Albioniego. Trochę mnie to uspokoiło. Jakby czysta woda i czyste dźwięki potrafiły zdziałać cuda. Zmywały ze mnie problemy i zmartwienia. Wyszłam czysta i zrelaksowana. Owinęłam się szlafrokiem, który pachniał wodą kolońską Andrzeja. Otulił mnie delikatnie piżmowy aromat, który w jakimś stopniu skojarzył mi się z Igorem. Poczułam się dużo lepiej.

— Tak, muzykę klasyczna też lubię — powiedziałam ze szczerym uśmiechem na ustach. — Czajkowski zawsze pozytywnie mnie nastrajał, a Bach mobilizował do działania.

— Herbata już czeka.

— Nie dajmy jej stygnąć. Mówiłeś coś o swoim przyjacielu — przypomniałam.

— Tak, tak, właśnie. Nie widzieliśmy się ze sto lat. Wyjechał zaraz po maturze i dopiero teraz wrócił z emigracji. Dotąd nawet słowa nie słyszał o morderstwach, więc z ciekawością wysłuchał wszystkiego, co miałem do powiedzenia. Zwrócił mi tylko uwagę na jedną rzecz. Nigdzie nie ma dowodów na to, że mordercą jest mężczyzna. Wręcz przeciwnie, wiele wskazuje na to, że zabija kobieta. Niepozorna, potrafiąca przeniknąć do świata ofiary i podejść blisko nie wzbudzając podejrzeń. Pomyśl. Każdy może podłożyć ogień w samochodzie. Każdy może udusić kobietę we śnie. Każdy może wrzucić facetowi suszarkę do wanny. W przypadku kobiety jest to nawet bardziej prawdopodobne. Dotarłem też do raportów koronera. Okazuje się, że rany zadane Eli, były dość płytkie. Zgon nastąpił z powodu wykrwawienia, a nie przebicia organów wewnętrznych. Takie rany spokojnie mogła zadać kobieta. I to nawet niespecjalnie silna.

— Niezapominajki też w sumie bardziej pasują do kobiety, niż do mężczyzny.

— To akurat tylko szczegół, znak firmowy.

— A może właśnie nie... może to wiadomość. „Nie zapomnij o mnie” —

zasugerowałam. Przypomniałam sobie, jak Lena w dzieciństwie przed każdym wyjazdem dawała mi pęczek niezapominajek i powtarzała: „Nie zapomnij o mnie”. W tym samym momencie stanęła mi przed oczami jej twarz. Najbardziej charakterystyczne były w niej oczy. Piękne, duże, zielone oczy. Tak bardzo podobne do oczu Marty.

Potrząsnęłam głową, żeby odgonić myśli, które nagle zaczęły się kotłować w mojej głowie. Marta potrafiła przewidzieć każdą moją reakcję, jakby znała mnie od zawsze. Czasami zachowywała się tak podobnie do mojej siostry. Bardzo mocno się też od niej różniła, ale niektóre drobne gesty miała bardzo podobne. I te oczy. Z tym, że Lena na prawym oku miała małą brązową plamkę. Nagle zapragnęłam jak najszybciej spojrzeć na oczy Marty. Zbliżający się termin kolejnego morderstwa mieszał mi w głowie. Podejrzywałam, że to tylko paranoja, ale musiałam się upewnić.

— Co masz na myśli? — Andrzej wyrwał mnie z zamyślenia.

— Nic. Muszę już lecieć.

— Co? Dlaczego?

— Później ci powiem — zbyłam go i ruszyłam do wyjścia.

Usiłowałam sobie wmówić, że to tylko paranoja. Przecież to się nie trzymało kupy. To było ponad moje siły. Zamiast do siebie, pobiegłam w kierunku mieszkania sąsiadki.

— Marta, otwórz! — Zastukałam nerwowo. — Marta, proszę! To ważne! Marta! — Jeszcze raz uderzyłam w drzwi. Za nimi nie było słyhać nawet najmniejszego szmeru. Uderzyłam jeszcze kilka razy i nerwowo pociągnęłam za klamkę. Ku mojemu zaskoczeniu, drzwi uległy i stanęły przede mną otworem.

— Marta? — zapytałam wchodząc do ciemnego pomieszczenia. Nikt mi nie odpowiedział. — Marta? — powtórzyłam i zapaliłam światło w przedpokoju. W łazience było ciemno, pokój również nie wyglądał, jakby ktoś w nim był. Pomyślałam o włamywaczu, ale jego także nie znalazłam. Gdybym miała telefon, zadzwoniłabym do Marty, niestety wszystko zostawiłam w płaszczu. Wróciłam więc do siebie, żeby napisać jej na facebooku o zaistniałej sytuacji i liczyłam na to, że odpowie jak najszybciej. Musiałam poczekać, aby przekonać się, czy moje podejrzenia po raz kolejny okażą się irracjonalne. W myślach oskarżałam już chyba wszystkich ludzi ze swojego otoczenia.

A jeśli została porwana i stała się kolejną ofiarą? Do następnego morderstwa pozostały już tylko dwa dni.

Rozdział 11

Czułam narastający niepokój. Coś mi w tym wszystkim nie pasowało. Spojrzałam po raz kolejny na ścianę, z której spoglądały na mnie oblicza ofiar. Odwróciłam wzrok na swój mizerny obraz, który w dalszym ciągu niczego nie przypominał. Najgorsze, że coraz bardziej bolała mnie głowa. Za oknem deszcz nie przestawał padać, a ciśnienie mnie dobijało. Nie potrafiłam myśleć w takich warunkach.

Rozległo się pukanie do drzwi, za którymi czekał Andrzej.

— Coś się stało? Czymś cię przestraszyłem? — zapytał.

— Nie — rzuciłam od niechcienia i wróciłam na łóżko. Miałam cichą nadzieję, że uzna mnie za niezainteresowaną i pójdzie do siebie.

— Wybiegłaś tak nagle w środku rozmowy. Nie zdążyłem powiedzieć ci wszystkiego. — Ku mojemu rosnącemu niezadowoleniu, zamiast się wycofać, wszedł do środka. Ostrożnie, niczym łasica na polowaniu, przesuwał się w głąb mieszkania.

— Głowa mnie boli. Chyba przemokłam i się przeziębiam — powiedziałam i dla pogłębienia efektu wsunęłam się pod koc. Zamknęłam oczy i coraz mocniej liczyłam na to, że niezapowiedziany gość sobie pójdzie.

— Podać ci coś? Masz jakieś tabletki przeciwbólowe? — zapytał. Zaczął myszkować po moich szafkach.

— Coś powinno być, ale chyba już się uodporniłam. Za dużo tego ostatnio biorę — jęknęłam i schowałam się jeszcze głębiej.

— Co to jest? — Pytanie Andrzeja sprawiło, że musiałam wysunąć głowę i otworzyć oczy.

— Co? — Nie rozumiałam, w czym rzecz, zważywszy na to, że wpatrywał się w jedną z półek. Nie pamiętałam, co na niej leży. Uniosłam nawet odrobinę głowę, ale wciąż nie rozumiałam. Zwłaszcza tego, że jego mina nagle stężała.

— To! — Podniósł mały przedmiot. — Obrączka!

— Aa, to...

— Skąd masz obrączkę mojej żony?

— Twojej żony?

— To obrączka Eli! Wewnątrz jest wygrawerowana data naszego ślubu — powiedział, a głos zaczął mu się łamać. Wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać. Mnie tymczasem zatkało. — Skąd masz tę obrączkę?!

— Marta ją przyniosła.

— A skąd ona ją miała?! — Wściekł się i zaczął krzyczeć. — Odpowiadaj!

— Nie wiem. — Byłam odrobinę przestraszona. Wsunęłam się pod koc tak, że ledwo wystawały mi spod niego oczy.

— Laura, jeśli za chwilę nie dostanę odpowiedzi, to się wkurwię. To jest skradziona obrączka mojej zmarłej żony!

— Nie patrz na mnie, jakbym to ja ją zabiła. Sama chciałam wiedzieć.

— Idę do Marty — postanowił.

— Musisz poczekać. Nie ma jej teraz w mieszkaniu.

— Zabiję ją — warknął Andrzej, a ja przestraszyłam się jeszcze bardziej. Wyglądał dokładnie tak, jak kiedy wyobrażałam go sobie w roli mordercy. Patrzył na mnie ze wściekłością i choć po części rozumiałam jego emocje, to nie powstrzymało strachu. Próbowałam ukryć się jeszcze bardziej. Chciałam, żeby był przy mnie Igor. Albo chociaż Kordian. W całej tej sytuacji mocno go zaniedbałam, ale zależało mi. Był dobrym człowiekiem. Dobrze mnie traktował. Dużo lepiej niż Eliasza. Umiałby mnie obronić przed wściekłym sąsiadem.

— Znajdę Martę i oboje dowiemy się, skąd wzięła tę obrączkę — zapewniłam. — Prawie codziennie do mnie przychodzi, więc to tylko kwestia czasu.

— Oby! Czasu jest coraz mniej. Jeszcze chwila, a dowiemy się o nowej ofierze. Ktoś znowu straci członka rodziny, ukochanego, albo przyjaciela. Nie mogę na to pozwolić!

Ścisnął obrączkę w pięści i wyszedł z mieszkania, trzaskając przy tym drzwiami. Jeszcze w tej samej chwili chwyciłam za laptopa i napisałam do Kordiana. Facebook stał się moją jedyną formą komunikacji z ludźmi. Wspomniałam również przy okazji Eliaszowi, żeby przywiózł mi płaszcz.

Czekałam prawie pół godziny na jakąkolwiek odpowiedź od kogokolwiek, ale się nie doczekałam. Zasnęłam, a sen wcale nie przyniósł ukojenia.

Śniło mi się, że znowu jestem w mieszkaniu Marty. W środku panuje mrok. Poza tykaniem zegarka nic nie zaburza ciszy nocy. Rozglądałam się po salonie, ale nic tam nie znajduję. Wtem z pokoju obok słychać ciche jęknięcie. Idę w tamtym kierunku i po cichu otwieram drzwi do sypialni. Przedemną rozgrywa się scena jak z horroru. Dwie kobiety stoją tyłem przy łóżku. Jedna z nich pochyla się i dusi poduszką kobietę, która jeszcze przed chwilą słodko spała. Domyślam się, że to Marta. Jej zakneblowane usta nie są w stanie wydobyć z siebie nawet krzyku. Jej oprawczynie wyglądają, jakby się kłóciły, ale nie słyszę żadnych słów. Ta, która dusi, prawie się nie porusza. Druga za to żywo gestykułuje i wymachuje palcem.

W chwili, kiedy Marta przestaje się poruszać, robię krok w tył. Niefortunnie trafiam w szafkę, co zwraca uwagę oprawców.

Obudziłam się w chwili, kiedy odwracały głowy w moją stronę. Znowu byłam zlana potem i nie czułam się wyspana. Głowa bolała mnie od samego rana, a potrzeba spotkania z Kordianem zaczynała mi doskwierać. Choć wciąż nie doczekałam się odpowiedzi, ruszyłam w drogę. Kiedy leżałam bezradnie na łóżku, doszłam do wniosku, że był najlepszym, co spotkało mnie we Wrocławiu.

Musiałam go ponownie do siebie przekonać.

Podróż ciągnęła mi się w nieskończoność, ale pocieszałam się myślą, że u jej kresu schronię się w ramionach człowieka, któremu na mnie zależało. Nie potrafiłam wmówić sobie miłości do niego, ale w takiej chwili wystarczyło to, co on czuł.

Kiedy dotarłam do jego dzielnicy i wstukałam kod do bramy, nie mogłam się już doczekać jego miny. W głowie ułożyłam kilka wersji tego, co mu powiem. Niestety musiałam zachować to dla siebie, bo dzwonek do drzwi nie wywołał żadnej reakcji. Stałam na deszczu i miałam ochotę się rozpłakać. W chwili, kiedy potrzebowałam kontaktu z ludźmi, nie miałam nikogo. Nie było Marty, nie było Eliasza, nie było Kordiana.

Bezradnie opadłam na przystanku autobusowym. Na transport musiałam czekać około piętnastu minut, więc oparłam głowę o wiatę i zamknęłam oczy. Odetchnęłam głęboko, licząc na to, że poczuję się lepiej. Zamiast tego, wcisnęłam chyba niewłaściwy przycisk w swoim organizmie, bo spał się całkowicie, kiedy pod powiekami przemknął mi cały szereg niezwiązanych ze sobą obrazów. Pędziły tak szybko, że większości nawet nie zarejestrowałam. Mogłam jedynie stwierdzić, że rozbolała mnie głowa od prób skupienia się na jednym konkretnym slajdzie. Kiedy w końcu mi się udało, przed oczami miałam zdjęcie, które pokazał mi Andrzej. To, na którym była dziewczyna ładną podobną do mnie. Teraz, nie wiedzieć czemu, zdjęcie ożyło. Słyszałam puszczone głośno muzykę i przedzierające się przez nią rozmowy ludzi. Rudy barman spojrzał na mnie z niesmakiem.

Pewnie dlatego, że złamałam serce jego przyjacielowi — pojawiło się w mojej głowie. Nieznane myśli nachodziły mnie bez uprzedzenia. Gdzieś w głębi wiedziałam wszystko. To byłam ja? Ta ze zdjęcia?

— Proszę panią? Proszę panią? — Jakaś staruszka szturchała mnie za ramię. Obudziłam się. — Nic pani nie jest?

— Nie, przysnęłam tylko.

— A jechało już 132? Nie wie pani?

— Nie wiem, nie zauważyłam.

Miałam tego wszystkiego dość. Nie spałam dobrze od dłuższego czasu. Ciągłe towarzyszył mi niepokój i coraz ciężiej było mi odróżnić sen od jawy. Po powrocie do mieszkania nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Zapukałam do Marty, ale nie doczekałam się odzewu. Sprawdziłam komputer, ale odpowiedzi od Kordiana nie było. Eliasz z kolei odpisał, że moje rzeczy są tam, gdzie je zostawiłam. Podobno powierzył je barmanowi, abym mogła odebrać je w każdej chwili. Bardzo to wielkoduszne z jego strony. Zwłaszcza, że nie byłam pewna, czy trafię na miejsce. No i uziemił mnie na cały dzień, bo z tego, co pamiętam, bar otwierali dopiero wieczorem.

Nie wiedziałam, czym się zająć. Miałam ochotę wyjść na ulicę i zaczepić pierwszego człowieka, który będzie przechodził, byle tylko nie wpatrywać się we własne odbicie. Ostatecznie jednak nie miałam ochoty na poznawanie nowych ludzi, więc usiadłam do sztalugi i zaczęłam bezmyślnie ciapać farbą, aż moim oczom ukazał się konkretny obraz. To był pokój. Panowały w nim ciemne odcienie. Bordowe ściany wypełniały brązowe meble. Wyglądały na poniszczone i dotknięte zębem czasu. Jedyne białe fotel zaburzał kompozycję. Stał asymetrycznie na środku obrazu nadając mu tajemniczego zabarwienia. Nie dało się rozpoznać, czy ktoś na tym fotelu siedzi i wpatruje się w okno, czy pomieszczenie jest puste. Trochę mnie to przerażało — podobnie jak ciemność. Nie sposób bać się ciemności samej w sobie. Można bać się tego, że w ciemności ktoś lub coś się czai. Tak i ja odczuwałam niepokój, patrząc na ten odwrócony fotel.

— Lauro? — Usłyszałam zza drzwi tuż po tym, jak rozległo się pukanie. Rozpoznałam głos sąsiada, choć w pierwszej chwili miałam nadzieję, że za chwilę w progu zobaczę Martę.

— Taaaak? — rzuciłam bez wstawania.

— Wpuścisz mnie? — zapytał grzecznie. Miał spokojny głos, więc chwilowo nie obawiałam się, że mnie zamorduje.

Zostawiłam obraz do wyschnięcia. Zwykle zakrywałam swoje dzieła, żeby obserwatorzy nie mieli do nich niekontrolowanego dostępu. Aby jednak uniknąć pytań, odwróciłam sztalugę w stronę okna, po czym wpuściłam sąsiada.

— Przepraszam cię za moje wczorajsze zachowanie. Poniosło mnie. — Od wejścia zaczął się tłumaczyć. Opowiedział mi o tym, ile stresów miał przez cały dzień i jak bardzo ruszyło go znalezienie obrączki zmarłej żony.

— Rozumiem — przytaknęłam i nie wdawałam się w dłuższe dyskusje. — Jakby się nad tym zastanowić, to też pewnie zareagowałabym podobnie na twoim miejscu.

— Marta się nie odzywała?

— Nie, wciąż cisza. Jej mieszkanie stoi puste, drzwi ma otwarte. Aż strach pomyśleć, co się stanie, jeśli wpadną tam jacyś złodzieje. Zaczynam się martwić, że coś jej się stało.

— Chyba nie myślisz, że...?

— Ktoś ją porwał? — dokończyłam, zanim Andrzej zdążył sformułować pytanie. — Przeszło mi to przez myśl.

— Ja szedłbym raczej w kierunku, że to ona kogoś porwała. Niepozorna kobieta, wyjęta spod wszelkich podejrzeń. Pasowałaby do profilu sprawcy.

— Poszła kogoś porwać i nawet nie zamknęła drzwi do mieszkania? No... nie sądzę. Morderca jest przebiegły, podstępny i bardzo inteligentny, bo nie zostawia po sobie żadnych śladów. Marta nawet na własnej koszuli potrafi zostawić ślad szminki. Ona się nie nadaje na mordercę. — Prychnęłam

i skrzyżowałam ręce.

— A ja, mimo wszystko, jestem za tym, żeby złożyć jej wizytę. Tak z czystej sąsiedzkiej grzeczności popilnować mieszkania, zanim nie wróci.

— To nedorzeczne.

— Możesz iść ze mną, albo mogę iść sam. Wolałbym jednak, żebyś poszła ze mną. Mogłoby to wyglądać nieodpowiednio, gdyby zastała mnie tam samego. Ty z kolei jesteś jej przyjaciółką, więc nie powinna mieć problemu z twoją wizytą — upierał się. Ciężko przychodziło mi szukanie wystarczająco dobrego kontrargumentu, więc w końcu odpuściłam i poszłam razem z nim do mieszkania sąsiadki.

Usiadłam na kanapie i skrzyżowałam ręce. Przypatrywałam się sąsiadowi, który zaczął myskować po pomieszczeniu. Rozglądał się na wszystkie strony i szukał jakichś dowodów zbrodni.

— Jeśli miała obrączkę Eli, to może ma też inne pamiątki po swoich ofiarach. Rozejrzyj się. Poszukaj czegoś, co nie pasuje do kobiety takiej jak Marta. Czegoś męskiego, albo kobiecych rzeczy w nieodpowiednim rozmiarze — rzucił, a mi stanęły włosy dęba. Przypomniałam sobie, jak którymś razem przyniosła mi buty. Mówiła, że na nią są za małe.

— Może to nedorzeczne pytanie, ale... skąd wiesz, że ofiary nie nosiły takiego rozmiaru jak ona? — zapytałam, żeby nie wzbudzać od razu zbyt wielu podejrzeń.

— Znam akta sprawy na pamięć. Jeśli chodzi o męskie rzeczy, to oczywiste. Z kolei damskie fatalaszki... powinnaś znać się na tym bardziej. Marta nosi rozmiar M i buty w rozmiarze 41.

— Skąd wiesz?

— Wystarczy na nią spojrzeć. Nie jest na tyle drobna, żeby mieścić się w S, a jednocześnie nie jest tak wielka, żeby nosić L. Pozostaje więc tylko M — wywnioskował.

— A rozmiar buta?

— Wystarczy spojrzeć na te, które stoją w przedpokoju. Na brązowych sandałach masz wystarczająco duże oznaczenie z rozmiarem, żeby zauważyć je podczas przechodzenia obok. Powinnaś przykładać większą uwagę do szczegółów, Lauro.

— No dobra, a ofiary? Przecież to, że ma jakieś inne ubrania nie znaczy od razu, że kogoś zabiła.

— Ela też nosiła rozmiar M, ale miała same markowe żakiety i koszule. Rozpoznałbym je wszędzie. Tak samo jak szpilki Jimmiego Choo, które tak kochała. Sprowadzała je na zamówienie, rozmiar 39. Tutaj żadnych nie widzę. Jeśli znajdziesz jakieś schowane buty, to po prostu je wyjmij. Na pewno rozpoznam. — Przeszedł do przedpokoju i zaczął grzebać w dużej szafie. — Jeśli chodzi o Emilię,

to była drobną dziewczyną. Stópka w rozmiarze 36, ubrania XS. Zwróć też uwagę na dodatki. To mogłaby być jakaś drobnostka. Kolczyki, albo bransoletka. Wiemy już, że ma skłonność do błyskotek, skoro ukradła obrączkę.

— Wcale nie wiemy, czy ją ukradła. Może znalazła — starałam się jej bronić. Ostatecznie buty, które mi podarowała nie były żadnym dowodem. Ja nosiłam rozmiar 38, a to nie pasowało do żadnej z ofiar.

— Aha! Męski zegarek! Kolejna błyskotka! — wykrzyknął triumfalnie i wyciągnął z szafy chromowany zegarek na ciężkiej bransolecie.

— To żaden dowód. Marta prowadzi dość bogate życie towarzyskie. Może jakiś znajomy go u niej zostawił. — Próbowałam uspokoić Andrzeja. Przypomniało mi się, jak udawałam wdowę i przez przypadek zostawiłam kolczyki u faceta, z którym spędziłam noc. Co prawda to były plastikowe kolczyki, ale nawet gdyby były ze szczerego złota, to bym tam nie wróciła.

— Co do bogatego życia towarzyskiego... idź do sypialni. Tam nie mam ochoty wchodzić — powiedział i skrzywił się na samą myśl o łóżku Marty.

— Nie rozumiem, dlaczego tak na nią reagujesz. Przecież Marta jest piękną kobietą — wspomniałam.

— Mówiłem ci, że to wariatka.

— Mówiłeś też, że umówiliście się na kawę. Później dobijałeś się do jej drzwi i krzyczałeś, że jej czegoś nie wybaczysz. Może w końcu wytłumaczysz mi, o co chodziło?

— Sam nie wiem, o co chodziło. W jednej chwili mnie uwodziła, a za chwilę zachowywała się, jakbyśmy się nie znali. Poszliśmy w końcu na kawę. Na początku było miło, ale później ni stąd, ni zowąd oblała kelnerkę wrzątkiem za to, że ta się do mnie uśmiechnęła. Zaczęła krzyzczeć i robić sceny. Dla mnie było jasne, że więcej się nie spotkamy. Tymczasem spirala szaleństwa dopiero się rozkręcała. Marta zaczęła mi składać niezapowiedziane wizyty i łązić za mną do parku. Zupełnie, jakby cały czas mnie obserwowała i wiedziała dokładnie kiedy wychodzę. Któregoś razu spotkaliśmy się niby przypadkiem na schodach. Nerwy mi puściły i powiedziałem jej kilka nieprzyjemnych słów. To nie dało żadnego efektu, bo później i tak widziałem ją w parku. Chyba nawet była tam z tobą.

— Pamiętam to — wtrąciłam się. — Wpadła do mnie i powiedziała, że jesteś mordercą i musimy cię śledzić. Jak później wróciłam do mieszkania, to czułam się jak idiotka. To było tak bardzo niedorzeczne.

— Niedorzeczne to drugie imię Marty. Któryś razem spotkaliśmy się na ulicy, a ta napuściła jakiegoś koka, żeby mnie pobił. Jednak miarka się przebrała dopiero po tym, jak włamała się do mnie i znalazłem ją leżącą w stercie moich koszul. Wybiegła, kiedy mnie zobaczyła. Dopiero po chwili odkryłem, że podarła cały mój ślubny album. Moje zdjęcia z Elą były doszczętnie zniszczone. Wybiegłem za nią, ale nie otwierała. Myślałem, że wywalę drzwi. Prawie

wyrwałem je z zawiasów.

— Była wtedy u mnie — powiedziałam cicho. Nie wiedziałam, że Marta miała obsesję na punkcie Andrzeja. Nigdy nie przejawiała żadnych skłonności w jego kierunku.

— Tego się nie domyśliłem. W każdym razie... nie mam zamiaru wchodzić do jej sypialni. Jakby mnie tam zobaczyła, znowu mogłoby jej odbić, a po tej popieprzonej akcji trochę się uspokoiła. Wolałbym, żeby tak zostało.

— Myślę, że znalazła sobie inny obiekt westchnień.

Przypomniałam sobie o Eliaszu i o tym, jak chętnie o nim wspominała. Nie zdziwiłabym się, gdyby spotkali się po tym, co działo się u mnie. Znając Eliasza spotykali się wielokrotnie. Czasem pewnie nawet kilka razy w ciągu jednej nocy, przez co jakaś część mnie również nie chciała wchodzić do jej sypialni. Co więcej, sama myśl o tym wzbudzała we mnie wściekłość.

— Chwała Bogu! Już facetowi współczuję.

— A ja nie — powiedziałam pod nosem. Nie miałam ochoty ciągnąć tematu. Już wolałam iść do jej sypialni i znaleźć jakieś rzeczy należące od Eliasza. Mogłabym je podrzeć i w jakiś sposób wyżyć się za to, jak mnie potraktował.

Otworzyłam drzwi sypialni i uświadomiłam sobie, że choć wielokrotnie bywałam u Marty, to tego pomieszczenia jeszcze nigdy nie widziałam. Pokój zalewał mrok, dopóki nie wymacałam włącznika światła.

— Znalazłaś coś? — zapytał Andrzej. Ja jednak przez dłuższą chwilę nie mogłam przestać wpatrywać się w jedno miejsce. Serce jakby jednocześnie mi przyspieszyło i zwolniło. Zwoje w mózgu przestały współpracować. Jakby całe ciało odmówiło posłuszeństwa. Nie pamiętałam jak się mówi i jak przekonać głowę, aby się odwróciła. Zamarłam w drzwiach, a dopiero słowa sąsiada sprawiły, że odtajałam. Nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Musiałam podejść bliżej, przekonać się, że wzrok mnie nie myli.

— Andrze-ej?

— Co jest? — Mężczyzna zajął moje miejsce w drzwiach i również zdębiał, jak tylko zajrzał do środka.

— Chyba mamy problem — powiedziałam wskazując na to, co i bez mojej ingerencji przyciągało wzrok. Andrzej wyglądał jednak na mniej zaskoczonego ode mnie. Na jego twarzy rysowało się więcej wściekłości niż zdziwienia i przerażenia, które królowało u mnie.

Na stoliku przy łóżku stała niebieska doniczka, która idealnie komponowała się z niebieską pościelą i obrazem wiszącym nad łóżkiem — również w niebieskiej tonacji. Zawartość doniczki musiała więc pasować do otoczenia. Właścicielka wybrała sobie za ozdobę niezapominajki. To samo w sobie nie stanowiło większego zdziwienia. Dość oryginalny wybór co prawda, bo niezapominajki nie są zbyt często hodowane w mieszkaniach, ale bardziej szokował nas fakt, że

w domowej grządce można było dostrzec braki widoczne gołym okiem. Spora część była świeżo ścięta, a to oznaczało jedno... Marta znalazła kolejną ofiarę.

Rozdział 12

Wciąż nie mogłam uwierzyć, ale fakty mówiły same za siebie. Osoba, którą uznałam za najbliższą, okazała się mordercą. Nie było ku temu już żadnych wątpliwości. Ona zniknęła, kwiatki zniknęły, daty się zgadzały. Tylko ofiara pozostawała niewiadomą. Nagle poczułam rosnące przerażenie, bo człowiek, którego jeszcze przed chwilą nienawidziłam, nagle wydał mi się bardzo bliski. Choć Eliasz bardzo mnie zranił, nie chciałam, żeby stało mu się coś złego. Po głowie błędziły mi wszystkie te komentarze, które Marta mówiła na jego temat.

— Trzeba wezwać policję — pomyślałam na głos.

— Nie masz żadnych dowodów — przypomniał Andrzej.

— W tej sytuacji wystarczą poszlaki. Przecież data się zgadza, a tych pieprzonych niezapominajek brakuje! To nie jest przypadek.

— Jesteśmy zbyt blisko, Laura. Nie możemy pozwolić, żeby jej się upiekło.

— To co masz zamiar zrobić? — Byłam zdezorientowana. Nikt nie przygotował mnie na to, że przeprowadzka przyniesie tyle nieszczęść. Jednocześnie przypomniał mi się telefon od matki, która ostrzegała, że wyjazd nie jest dobrym pomysłem. Uświadomiłam sobie, że od tego czasu nie zamieniłam z nią ani słowa i zapragnęłam z nią porozmawiać.

— Musimy ją znaleźć! Nie odpuszczę morderczynie mojej żony. Zapłaci za to, co zrobiła. — Andrzej zacisnął pięści, jakby to mogło przyspieszyć procesy myślowe. Na jego twarzy widać było zacięcie. Nie miał zamiaru pozostawić sprawy samej sobie, jednak oboje nie mieliśmy pojęcia, od jakiej strony podejść do tematu.

Andrzej zarządził dalsze przeszukiwanie mieszkania, tym razem pod kątem informacji o miejscu, w którym mogła być Marta. Szukaliśmy jakichś zapisków, adresów, czegokolwiek, co mogłoby nas naprowadzić. Znaleźliśmy kilka niepodpisanych kluczy różnych rozmiarów, ale żadnych adresów. Ja jednak miałam swoją teorię — Marta niczego nie planowała, działała pod wpływem chwili. Tak jak z tym otruciem Andrzeja.

Nagle mnie olśniło.

— Andrzej! Przecież ona chciała zabić ciebie! — dotarło do mnie. — Co jeśli właśnie wpakowaliśmy się w jej sidła?

— Kurwa, możesz mieć rację. Już wcześniej mi groziła. Spieprzajmy stąd — zarządził. Starał się myśleć na tyle trzeźwo, na ile pozwalała sytuacja.

— Zadzwońmy na policję, możesz być w niebezpieczeństwie — usiłowałam go przekonać, ale był nieugięty. Wybiegliśmy z mieszkania i stanęliśmy na korytarzu.

— Wyjedź gdzieś — zarządził. — Idź do siebie, zabierz tylko

najpotrzebniejsze rzeczy i wyjedź jak najszybciej. Nie ma sensu, żebyś się narażała. Ja to załatwię.

— Jak to załatwisz? Przecież nie masz pojęcia, gdzie ona może być.

— Coś wymyślę. Teraz wiem, na co zwracać uwagę. Przejrzę jeszcze raz notatki i ją znajdę. Wiem, że mi się uda. Nie mógłbym jednak spać spokojnie do końca życia, gdyby okazało się, że przez moją zemstę tobie się coś stało. Wyjedź, proszę.

— Dobrze, wyjadę. Już i tak mam dość tego miasta. Miałam znaleźć tu spokój, a nie jeszcze więcej nerwów. Wyjazd z Radomia to wcale nie był dobry pomysł — przytaknęłam.

— W takim razie to chyba pożegnanie. Ciężko w takiej sytuacji powiedzieć, że było miło, ale trzymaj się.

— Ty również. Życzę rozwiązania sprawy. Mam nadzieję, że nic ci się nie stanie. Może jednak wezwać policję?

— Nie. Oni mogliby wszystko zepsuć. Wiesz, jak działa wymiar sprawiedliwości w naszym kraju. Jeśli sam się tym nie zajmę, ona się wywinie.

Jeszcze przez dobre pół minuty patrzyliśmy na siebie i nie wiedzieliśmy, co zrobić z niezręczną ciszą. W końcu dygnęłam i uciekłam do mieszkania.

Nie wiedziałam, co właściwie miałabym ze sobą zabrać. Wszystkie ubrania? Nie było ich zbyt wiele, a jednocześnie nużyła mnie wizja pakowania. Mogłam zabrać tylko kosmetyki pierwszego użytku, coś na przebranie i dokumenty. Niestety wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy zostały wraz z moim płaszczem. Było dopiero po osiemnastej, a bar otwierali za dwie godziny. Jedną z nich mogłam spokojnie odliczyć na dojazd i znalezienie odpowiedniego miejsca, ale to wciąż dało mi sporo czasu, którego nie wiedziałam jak wykorzystać.

Usiadłam na łóżku i patrzyłam tępo w podłogę. To wszystko mnie przerastało. Może zachowywałam się jak tchórz próbując uciec w krytycznej chwili, ale... może byłam tchórzem. Może te wszystkie desperackie akty śmiałości, które poczyniłam we Wrocławiu miały mi uświadomić tylko to, że jestem tchórzem. To nie byłam ja. To miasto mieszało mi w głowie. Czułam się nieswojo. Kordian dalej nie odpisywał i nawet przestałam mu się dziwić. Na pewno dostrzegł, co się ze mną działo i zrezygnował ze znajomości. Z Laury, którą znałam pozostało mi już chyba tylko malowanie i projektowanie. Zważywszy na to, że projekt na zlecenie oddałam terminowo, a w rogu pokoju pod płachtą czekał mój najnowszy obraz, mogłam uznać chociaż to jedno za fundament mojej osobowości. Choć również moja twórczość się zmieniała. Na przestrzeni czasu zaczynałam dostrzegać, że maluję coraz bardziej tajemnicze obrazy. Zaczynałam od malowania tego, co znałam, a później wyobraźnia zaczęła przejmować kontrolę. Czasami nie wiedziałam nawet, co maluję, dopóki nie skończyłam. Tak było z pokojem, który ostatnio stworzyłam.

Podeszłam do sztalugi, żeby jeszcze raz mu się przyjrzeć. Odrobinę zachwiałam się, kiedy wstawałam. To był wynik bólu głowy, który stawał się niemal nierozłączną częścią mnie. Przytrzymałam się szafki i po chwili zawroty minęły.

Ciemny pokój i biały fotel. Za oknami dwa młode drzewka, które dopiero co zdążyły się zazielenić. Spojrzałam na nie uważniej, po czym podniosłam wzrok. Zatrzymałam się na ścianie, którą ozdabiały zdjęcia. Przymrużyłam oczy i spojrzałam ponownie, po czym pognałam do ściany. Zerwałam jedno ze zdjęć. Były na nim dwa młode klony rosnące obok siebie, a w tle stare odrapane okno. Niech mnie piorun strzeli, jeśli to nie jest miejsce z mojego obrazu!

Co najgorsze ból głowy się pogłębił. Pod powiekami majaczyły mi obrazy. Ten klub. Zdjęcie, które pokazał mi Andrzej. Szymon Ciepłucha, który patrzył na mnie rozczulonym wzrokiem. Przytulił mnie i od razu wiedziałam, że się znamy. To nie był przypadek. Marta doskonale wiedziała. Zaprosiła nas do swojego mieszkania na Podwalu. Usiedliśmy na tym starym fotelu, a później się zaczęło.

Nie mogłam znieść tego, co się ze mną działo. Nachodziły mnie wizje wydarzeń z przeszłości, które wydawały mi się obce, a jednocześnie jakoś dziwnie bliskie. Musiałam coś z tym zrobić. Choć jeszcze chwilę wcześniej nie miałam pojęcia, co znajduje się na zdjęciu i na obrazie, zdobyłam pewność, że jest to stare mieszkanie Marty.

Wybiegłam z pokoju i od razu skierowałam się do Andrzeja. Pociągnęłam za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Zaczęłam walić w nie pięścią.

— Andrzej! Andrzej, wiem, gdzie ona jest! Wiem, gdzie ona jest! — krzyczałam, ale odpowiadała mi jedynie cisza. Na całym piętrze byłam tylko ja. Andrzej zdążył się ulotnić najprawdopodobniej w celu zbadania własnych tropów. Możliwe, że również trafił na jakiś ślad.

Nie pozostało mi nic innego niż iść tam w pojedynkę. Wpadłam ponownie do mieszkania Marty. Potrzebowałam klucza. Nie byłam pewna, który będzie pasował do drzwi, więc zabrałam wszystkie, które znaleźliśmy wcześniej z Andrzejem. Musiałam jeszcze przedostać się na drugą stronę miasta, co zajęło mi prawie godzinę, ale w końcu dotarłam pod odpowiednią kamienicę. W takich chwilach każda sekunda się liczyła, a mi zaczynały już trząść się ręce.

Klucz zaskrzypiał w zamku i drzwi stanęły przede mną otworem. Ukazał mi się biały fotel. Wyglądał na jeszcze bardziej zniszczony niż na moim obrazie. Stał tyłem, lecz od razu wiedziałam, że ktoś w nim jest. Słyszałam zduszone krzyki. Ostrożnie podeszłam bliżej, żeby w końcu przekonać się o tym, że na fotelu siedzi związany Kordian.

— O Boże. — Zakryłam usta dłonią.

Wyglądał na zmęczonego, jakby siedział w tym fotelu od kilku dni. Nie miał głębszych ran, ale na kości policzkowej widniał fioletowy siniak. Przez

zakneblowane usta nie mógł powiedzieć nawet słowa. Miał podkrążone oczy i najsmutniejszy wyraz twarzy, jaki w życiu widziałam. Tak mógł patrzeć tylko człowiek, który spodziewał się, że wkrótce spotka go śmierć.

— Już dobrze, jestem tutaj. Uwolnię cię — zapewniłam. Omiotłam wzrokiem sznur, którym był przytwierdzony do fotela. Szarpnęłam za niego, ale nic nie działałam. Musiałam znaleźć wiązanie, żeby spróbować je rozplątać. Najprawdopodobniej było schowane za plecami Kordiana.

Trzask drzwi wybił mnie z toku myślowego. Podskoczyłam jak oparzona i spojrzałam w kierunku wejścia. Marta nie wyglądała na zaskoczoną moją obecnością. Przekręciła klucz w drzwiach i oparła się o futrynę. Zapaliła papierosa i wypuściła dym w moim kierunku.

— Witaj, Pokemonku. — Uśmiechnęła się złośliwie i rzuciła pęczkiem niezapominajek w moim kierunku. — Nie zapomniałaś o mnie?

Rozszerzyłam oczy, a moja szczeka prawie zderzyła się z podłożem. Wiedziałam, że coś jest nie tak. Tylko jedna osoba nazywała mnie Pokemonem.

— L—Lena?

— Brawo, geniuszu.

— Ale... jak to możliwe? Przecież... Lena? Wyglądasz...

— Zupełnie inaczej. Wiem. To zasługa prywatnych lekarzy. Nie chciałam wyglądać tak, jak wcześniej. To się nie sprawdzało, bo nie byłam już taka jak wcześniej.

— Lena! — Podbiegłam bliżej nie zważając na wszelkie zagrożenia. Musiałam się przekonać. Musiałam spojrzeć jej z bliska w oczy i sprawdzić, czy ma na nich taką plamkę, jaką miała moja siostra. Serce uderzyło mi mocniej, kiedy przekonałam się, że dziewczyna nie kłamała.

— Powinnaś usiąść, bo zetnie cię z nóg to, co mam do powiedzenia. Wiem o tym, bo już wcześniej ci o wszystkim opowiadałam i niemal zemdłałaś. To był fajny widok, ale mam dla ciebie lepsze — powiedziała spokojnie.

— Jakie? O czym ty mówisz? Lena, dlaczego nic nie powiedziałaś? Czy to ty zabiłaś tych wszystkich ludzi? — usiłowałam uporządkować myśli. O ile do szalonej, tajemniczej Marty potrafiłam przypisać zbrodnie, to... przecież stała przede mną własna siostra. Krew z krwi!

— Jak ty nic nie rozumiesz... rodzice zawsze uważali cię za tę mądrzejszą, a okazujesz się z roku na rok głupsza.

— O czym ty mówisz? — wciąż nie rozumiałam. Siostra, za którą tak tęskniłam, teraz stała przede mną z kpiącą miną.

— Nigdy cię nie lubiłam. Rodzice od małego cię faworyzowali. Laura jest mądrzejsza, Laura ładniej rysuje, Laura ładniej śpiewa. We wszystkim musiałaś być lepsza. Wiesz w czym okazałaś się gorsza? W prowadzeniu samochodu — przypomniała.

— Przepraszam, to była moja wina. Ponoszę za to pełną odpowiedzialność — przyznałam. Spuściłam głowę, a moje serce zalała gorycz tamtego doświadczenia. Zagadałam się, rozproszyłam, nie zwróciłam uwagi, nie zareagowałam na czas.

— A jasne, że ponosisz! Za wszystko, co mi się stało! Przez ciebie straciłam jedyną rzecz, w której byłam lepsza! Ludzie zwracali na mnie większą uwagę, bo byłam ładniejsza. Lgnęli do mnie, a przez ciebie przestali. Oszpeciłaś mnie!

— Przepraszam, to był wypadek.

— Ty oberwałaś w ten swój dumny łeb i poza krótkimi zanikami pamięci mogłaś dalej funkcjonować. Dalej miałaś swoje talenty, dalej miałaś faceta, który skoczyłby za tobą w ogień. A co ja miałam? Odebrałaś mi wszystko i za to musisz ponieść karę!

— Już poniosłam. Straciłam ciebie. Straciłam rodzinę. Ojciec od nas odszedł, a matka bez ciebie nie potrafiła dalej funkcjonować. Oszalała z żalu.

— Jesteś straszną egoistką. Myślisz tylko o sobie. Nic nie straciłaś, ale ja dopilnuję tego, żebyś straciła wszystko. Poczujesz, jak to jest nie mieć nic ani nikogo — zagroziła. Jej oczy niemal płonęły nienawiścią, a mnie ten obraz przerażał bardziej niż wszyscy najwięksi psychopatyczni mordercy wszechczasów. — Za zniszczenie mi życia, ja zniszczę ciebie. Zniszczę wszystko. Zawsze byłaś takim uśmiechniętym dzieckiem. Ja ci ten uśmiezek zmażę. Zniszczę twoje życie, twój charakter, twoją osobowość. Obedrę cię z uśmiechu, moralności i sumienia.

— Matko święta, Lena, co ty gadasz?

— Zamknij się i słuchaj! — warknęła. — Myślisz, że nie wiem, o czym mówię? To trwa już od trzech lat. Z każdym rokiem udaje mi się zniszczyć oraz większą część ciebie. Spójrz na to, co robiłaś ostatnio. Czy kiedyś odważyłabyś się na tak frywolne zabawy? Kłamstwa i udawanie kogoś, kim nie jesteś? Udawałaś nawet wdowę. Sypiałaś z przypadkowymi facetami i wpuściłaś do łóżka nawet inne kobiety.

— Kobiety? Przecież my z Eliaszem... o Boże! — jęknęłam. Zgodnie z zapowiedzią Leny, moje nogi się ugięły i padłam na podłogę. Kordian szarpnął się z fotela, żeby sprawdzić, czy nic mi się nie stało.

— Zniszczyłam twoją moralność, świętoszku. To jednak za mało — kontynuowała. — Nie mogłam znieść twojego szczęścia. Kiedy patrzyłam na to, jak jesteś zakochana w Igorze, to zbierało mi się na wymioty. Kiedy wróciłam po wypadku, ciągle się kłóciłyśmy. Igor zawsze stawał po twojej stronie, aż w końcu namówił cię na przeprowadzkę do Wrocławia. Chcieliście uciec ode mnie.

— Nigdy nie chciałam od ciebie uciekać. Jesteś moją siostrą. Kocham cię, Lena — zapewniłam.

— Zamknij się, powiedziałaś! Przeprowadziliście się. Poznałaś nową

koleżankę i bawiłaś się z nią lepiej niż ze mną. Dogadywałyście się, trajkotałyście jak przyjaciółeczki. Kiedy do was przyjechałam, to były już trzy osoby przeciwko mnie. Tego było za wiele. Przerwałam przewód w samochodzie, który pożyczaliście od kumpla Igora. Wiedziałam, kiedy do niego wsiądzie. Podpaliłam strugę benzyny... i tyle zostało po twoim kochasiu. Zwęglone kości i bukietek niezapominajek, które ci kupił. Dureń! Niezapominajki były naszym symbolem!

— Nie... Igor! — krzyknęłam, a łzy poleciały ciurkiem po moich policzkach.

— Szybko udało się ukryć zbrodnię. Okazało się, że rodzice chłopaka nie wiedzieli o jego wyjeździe, a że Igor nosił jego kurtkę, identyfikacja ciała nie była konieczna. Myślałam, że to cię złamie i rzeczywiście przez chwilę napawałam się twoim cierpieniem. Tylko ta Emilia wszystko psuła. Cały czas była przy tobie i poprawiała ci humor. To rujnowało moje plany, więc musiałam się jej pozbyć. Mogłam ją zamordować, ale wpadłam na lepszy pomysł. Ty mogłaś ją zamordować. To zniszczyłoby w pełni twoją duszę.

— Nie wmówisz mi tego!

— Ależ ja nie mam zamiaru niczego ci wmawiać. Przypomnij sobie. Jeśli sięgniesz pamięcią wystarczająco głęboko, to będziesz wiedziała, że nie kłamię — zapewniła. — Przypomnij sobie, jak dusiłaś ją poduszką.

Skupianie się na czymkolwiek w takim stanie, nie jest rzeczą prostą, ale skojarzyłam odpowiednią wizję. Scena, kiedy dwie kobiety nachylały się nad łóżkiem. Jedną z nich byłam ja, drugą Lena. Na łóżku leżała Emilia. Tym razem do moich uszu docierały głosy. Lena przysięgała, że jeśli nie uduszę Emilii, to ona zabije nas obie, a później wymorduje całą rodzinę dziewczyny. Miałam więc do wyboru jedno życie, albo kilka, w tym moje.

Płakałam rzewnymi łzami, kiedy przykładalam poduszkę do jej twarzy.

— Nie kłamałaś — potwierdziłam.

— Głupia dziewczucha hodowała na oknie te cholerne niezapominajki, które jej podarowałaś. Przypomniałam sobie, jak bardzo je lubiłaś. Wyrwałam kilka i rzuciłam jej nimi w twarz. To była zwykła złość, a policja później uznała to za schemat. Ja w każdym razie po tym mogłam uznać się za zwycięzcę. Byłaś w stanie, który cieszył moje oczy. Wpadłaś w agonię. Kiedy odwiozłam cię do mieszkania, zaczęłaś łykać tabletki na uspokojenie, ale nic nie pomagało. Mało tego, zemdliałaś. Padłaś na podłogę, uderzyłaś się w głowę, czy cholera wie, co tam ci się stało. Okazało się, że tabletki weszły w reakcję z lekami, które brałaś po wyjściu ze szpitala. Następnego dnia obudziłaś się i niczego nie pamiętałaś. Wyparłaś ze świadomości śmierć koleżanki. Trochę mi to pokrzyżowało plany, ale jednocześnie otworzyło pomysł na nowe. Wieczorem dorzuciłam ci do soku większą porcję leków. Niestety przestałaś oddychać, więc musiałam zabrać cię do szpitala. Nie chodziło mi przecież o to, żeby cię zabić. Nie, to by było zbyt proste.

Chciałam, żebyś cierpiała, a musiałaś żyć, żeby cierpieć. Tak też trafiłaś do szpitala, gdzie okazało się, że doszło do jeszcze większego zaniku pamięci. Zawiozłam cię więc do Radomia, położyłam w szpitalu i przekupiłam lekarza, żeby powiedział ci, że jesteś po wypadku samochodowym. Sama skojarzyłaś fakty i poprzestawiałaś daty.

— Lena...

— Cicho bądź. Po tym właśnie zmieniłam wygląd. Chciałam być kimś innym, zacząć nowe życie. Nawet mi się to udawało. Przez pół roku pracowałam w dobrej firmie, walczyłam o awans. Tylko ta durna cipa, Elka we wszystko mi się wpięprzała. Jak przyznali awans jej, a nie mi, to się wściekłam. Zabiłam ją. Zasługiwała na to. Ale wiesz co?

— Ona była w ciąży.

— Tego dowiedziałam się dopiero po fakcie. Czułam się z tym źle. Kiedy rzuciłam koło niej niezapominajki, poczułam się samotna. Przypomniało mi się, jak kiedyś przed każdym wyjazdem dawałam ci niezapominajki i prosiłam, żebyś o mnie nie zapomniła. Nie chciałam, żebyś o mnie zapomniła, więc musiałam się przypomnieć. Bez Igora prowadziłaś raczej smutne i nudne życie, więc łatwo dałaś się przekonać do wyjazdu starej koleżance, za jaką się na początku podałam. Przyjechałaś i dobrze się bawiłyśmy. Z tą tylko różnicą, że poznałaś faceta. Kolejnego, który zrobiłby dla ciebie wszystko. Szymon Ciepłucha, czyli tak zwana „ciepła klucha”, jak zwykłam na niego mówić. Odbierał mi ciebie. Znowu czułam się samotna. To wszystko twoja wina. Musiałam go zabić. Zaprosiłam was do siebie. Właśnie tutaj. Chciałam, żebyś przyglądała się, jak rozwalam mu tę jego śliczną buźkę. Później kolejny raz musiałam cię naćpać i wywieźć do szpitala. Po drodze zrozumiałam, że wycucie czasu mam perfekcyjne. Elkę zabiłam rok po Igorze, a Szymona prawie rok po Emilii. To mnie zainspirowało. Kiedy odwiozłam cię do szpitala, wróciłam po ciało. Okazało się, że Szymon jeszcze żyje, więc przetrzymałam go do 6 maja i dobiłam, kiedy przyszedł czas. Później wyrzuciłam ciało, dołączając oczywiście bukietek niezapominajek, które stały się dla mnie już znakiem rozpoznawczym — ja nigdy nie zapomnę. Media zaczynały trąbić na mój temat. Przechadzałam się ulicami i napawałam niewiedzą przechodniów. Uwierz mi, jest w tym coś magicznego.

— Jesteś chora!

— To świat jest chory! Interesowali się mną dużo bardziej, kiedy mordowałam, niż kiedy byłam normalnym człowiekiem. W tym roku zaplanowałam wszystko dużo dokładniej. Zrobiłam rozeznanie. Zająłam mieszkanie obok tego, które wynajmowałaś z Igorem. Zarezerwowałam je dla ciebie, podsyłałam ci na maila zachęty, a później na dworcu podrzuciłam gazetę z zaznaczonym ogłoszeniem. Wiedziałam, że pójdziesz dokładnie w to miejsce, bo rok wcześniej zrobiłaś to samo. Zorientowałam się w sytuacji na mieście

i wpuściłam cię wprost w sidła Eliasza. Wiedziałam, że on sobie poradzi z twoimi oporami moralnymi. Kiedy do was dołączyłam, to był finalny test. Zniszczyłam to, kim byłaś, Laura. Tylko znowu pojawił się jakiś frajer! — Spiorunowała wzrokiem Kordiana. Podeszła do niego i jednym ruchem zerwała mu z ust knebel.

— Zapłacisz za to! — warknął.

— Powiedz mi, co ona takiego w sobie ma, że latacie za nią jak psy za suką w rui? — zapytała.

— Jesteś niespełna rozumu. Nie widzę wartości w prowadzeniu dialogu z kimś takim — odpowiedział Kordian.

— Nie pieprz — warknęła. Choć wydawało jej się to rozluźniające, to jednak osobiście znałam dużo lepsze sposoby na wprowadzenie swobodnej atmosfery, niż gaszenie papierosa na karku rozmówcy. — Jeszcze zanim się spiknęliście, poznałam kogoś. Wojciech był wspaniały. Traktował mnie jak damę. Niestety okazało się, że poza mną ma żonę i jeszcze kilka kochanek. Sami rozumiecie, że nie mogłam mu tego darować. Zrobiłam wręcz przysługę światu, kiedy go zabiłam. Łajdak potrafił zaprosić mnie do hotelu, a chwilę później umawiać się z kolejną. Usłyszałam, jak rozmawia przez telefon w łazience. Chciał się pieścić z inną, kiedy ja byłam za drzwiami. No to dopilnowałam, żeby go popieścił... prąd. Raz a dobrze.

— Skrzywdził cię — przytaknęłam.

— A żebyś wiedziała, że mnie skrzywdził! Myślisz, że ja nie mam serca? Mam serce! Mam uczucia!

— Masz nasrane w głowie, twoje tłumaczenia są złamanego szeląga niewarte — wtrącił Kordian.

— Wszyscy faceci są tacy sami! Wszyscy zasługujecie na śmierć! — Marta rzuciła się w stronę Kordiana. Zerwałam się z podłogi i próbowałam ją odciągnąć.

— Nie! Lena! Wystarczy!

— Nie wystarczy! Obiecałam, że zamienię twoje życie w koszmar! Zabiję każdego, kto będzie wywoływał uśmiech na twojej twarzy!

— Nie dam ci go zabić! Nic ci nie zrobił! — Wskoczyłam między nią, a Kordiana. Przykryłam go własnym ciałem.

— Odsuń się, albo zabiję was oboje! — Marta wyciągnęła z kieszeni pistolet. Nie miałam jednak zamiaru się ruszać. Nie mogłam znieść myśli, że przeze mnie miałyby zginąć kolejny człowiek.

— Nie! Nie zabijesz nas. Musiałabyś skrócić moje cierpienie, a tego przecież nie chcesz zrobić! — krzyknęłam. Uświadomiłam sobie, że to daje mi nad nią przewagę, więc rzuciłam się w jej kierunku i próbowałam wyrwać broń. Upadłyśmy razem na podłogę i chwilę się po niej kotłowałyśmy.

— Głupia dziewucho, jesteś słabsza ode mnie — warknęła i przygniotła mnie do ziemi. — Będiesz patrzyła, jak twój kochaneczek ginie.

— Nie! Nie ujdzie ci to na sucho! Nie tym razem, Lena. Andrzej cię namierzy. Już wie, że to wszystko twoja sprawka. Jeśli następna osoba zginie, to już się nie wywiniesz. Na razie możesz uciec — usiłowałam ją przekonać. Grałam na czas, bo szczerze wierzyłam, że Andrzej nas znajdzie.

— Nikt cię nie znajdzie — rzuciła i wymierzyła w Kordiana.

— Nie! Kordian!

— Spokojnie — usłyszałam jego głos. — Pięknie i słodko umrzeć za ciebie, Lauro — sparafrazował swojego przodka i uśmiechnął się z gracją godną szlachcica.

— Pierdolenie... — warknęła Lena. Nacisnęła na spust zanim zdążyłam zareagować.

— Nie wybaczę ci tego! — Zaczęłam się szarpać wykorzystując wszelkie pokłady energii, które w sobie miałam. Podobno człowiek w chwili zagrożenia działa pod wpływem adrenaliny, a to dodaje siły. Miałam nadzieję, że uda mi się przechwycić broń, postrzelić ją w kolano, albo zrobić cokolwiek, żeby ją powstrzymać.

— Ja cię nie proszę o wybaczenie. Masz tylko cierpieć.

Lena związała mi ręce i przyczepiła je do haka nad sufitem na wprost ciała Kordiana, z którego zaczynało uchodzić życie.

— Pogadajcie sobie, póki jeszcze możecie — zarządziła Lena. — Ja wychodzę. Wrócę nad ranem, żeby jedno z was rzucić mediom na pożarcie, a drugie napoić lekami i odwieźć do szpitala. Tymczasem życzę miłej zabawy.

— Lena, nie... — rzeziłam ostatkiem sił. Powinnam spodziewać się najgorszego i właśnie tego się spodziewałam. Tak, jak człowiek spodziewa się nadjeżdżającego pociągu, kiedy jest przywiązany do torów.

— W życiu nie zawsze układa się tak, jak byśmy tego chcieli, siostrzyczko. To nie jest bajka. Tutaj częściej wygrywają czarne charaktery. Zapamiętaj to — powiedziała i zamknęła za sobą drzwi.

Epilog

Kwiecień był cholernie zimny tego roku. Jako osoba z natury przygotowana na wszystko, na szczęście zapakowałam ciepły płaszcz. Wyruszałam w podróż życia, więc wolałam zabezpieczyć się na każdą ewentualność. Jeszcze w pociągu okazało się, że zestaw kanapek i ciepły sweter to był bardzo dobry wybór. Żałowałam tylko, że nie zabrałam herbaty w termosie. Tak to niestety już jest, kiedy człowiek decyduje się na spontaniczny wyjazd.

Wrocław wybrałam pod natchnieniem chwili. To miał być mój nowy start. Optymistycznie patrzyłam na nadchodzące zmiany. Nowe miasto, nowe możliwości. Chciałam zacząć wszystko od nowa gdzieś, gdzie nikt mnie nie zna i nie będzie miał pretensji za to, co zrobiłam kilka miesięcy temu. Wciąż nie mogłam sobie wybaczyć wypadku, który spowodowałam, ale dużo bardziej męczyło mnie to, że cała rodzina mnie obwinia. Kochana siostra zniknęła, matka majaczyła bez sensu, a ojciec przestał utrzymywać z nami kontakt. Znalazł sobie nową rodzinę, a nas zostawił same. Wszystko się rozpadło, a ja nie mogłam dopuścić do tego, żebym i ja rozpadła się na kawałki. Musiałam zadbać o siebie, abym była na siłach zadbać o matkę.

Tylko czy nowe miasto może cokolwiek zmienić?

Stałam na dworcu i spojrzałam na zielony napis „dobry wieczór we Wrocławiu”. Coś sprawiało, że miałam dobre przeczucia względem tego miasta. Podobał mi się piaskowy kolor dworca i odrestaurowane wnętrza. Ławeczki przed wejściem również dodawały mu uroku. Te kamieniczki, które rozciągały się wzdłuż ulicy wręcz zachęcały, żeby im się przyjrzeć.

Nastał nowy dzień, a wraz z nim nowe możliwości.

Usiadłam na schodkach przy MacDonaldisie, żeby chwilę odpocząć. Z lokalu dochodziła mnie muzyka, która nagle ucichła przzerwana wiadomościami.

Wybiła godzina dwunasta, dnia czwartego kwietnia. Pora na informacje. Jak donosi komendant Drogowski, zostało już oficjalnie potwierdzone, że ciało znalezione w Odrze można uznać za kolejną ofiarę seryjnego mordercy. Po tym, jak w zeszłym roku zamordował trzy osoby, tym razem powraca do swojej wcześniejszej frekwencji. Ofiarą jest młoda kobieta, w której włosach znaleziono bukiet niezapominajek. Dla przypomnienia dodam, że w zeszłym roku ofiarami byli Wojciech Koziół i Kordian Żółkiewski. Kiedy miasto odetchnęło spokojniej i ludzie przestali obawiać się o swoje życie, odnaleziono trzecie ciało zidentyfikowane jako Andrzej Trzebiatowski. Policji udało się ustalić, że był on mężem jednej z poprzednich ofiar, Elżbiety Trzebiatowskiej. Komendant Drogowski obiecał zająć się sprawą osobiście, jednak również tym razem nie udało się odnaleźć żadnych śladów, które pozwoliłyby ująć sprawcę. W tym roku odnaleziono już pierwszą

ofiare. Ile ich będzie? I czy krwawa passa nigdy się nie skończy? Tego dowiemy się w ciągu najbliższego miesiąca, a tymczasem zapraszam na spotkanie z zespołem Lady Pank i „Na co komu dziś”. Po przewie porozmawiamy z kryminologiem Józefem Stańczykiem na temat motywacji psychopatów.

Nic nie było w stanie zepsuć mi dnia. Musiałam zacząć od nowa, a Wrocław miał być moim startem.

Dość chłodnym startem — trzeba przyznać, ale nie było rzeczy, która mogłaby sprawić, żebym wróciła do rodzinnego miasta. Chciałabym powiedzieć, że lubiłam Radom, ale cóż, nigdy za nim nie przepadałam. Teraz Wrocław stał się moim domem. Chciałam go bardziej niż czegokolwiek innego. Ze wszystkimi jego wadami i zaletami.

